

AGNIESZKA
ZAKRZEWSKA



Błękitny
koliber



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LILLO13

AGNIESZKA
ZAKRZEWSKA

Błękitny
koliber





Projekt okładki
Grzegorz Bociek

Redakcja
Anna Seweryn

Zdjęcia na okładce
© *Fabrizio Conti* | *unsplash.com*
© *Ashraful Arefin* | *Trevillion Images*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz przygotowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerk
Anna Jeziorska
Anna Seweryn
Anna Żochowska

Wydanie I, Gdańsk 2023

tekst © Agnieszka Zakrzewska, 2023
© Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-67402-42-2

Wydawnictwo FLOW
biuro@wydawnictwoflow.pl
tel. 538 281 367

*Delikatność porcelany jest jej zaletą,
kruchość człowieka jest jego przekleństwem.*

Prolog

Cornelia

Delft, 1882

Padające z otwartego na oścież okna jaskrawe światło wyostrzyło kontur stojącego przy stole mężczyzny. Miał na sobie poplamiony fartuch z długimi rękawami rozciętymi od nadgarstków po łokcie. W głębi pomieszczenia znajdowało się zasłane starannie łóżko, a tuż przy nim – pokryta mahoniowym fornirem komoda. Wszędzie unosił się aromat oleju lnianego przemieszany z zapachem wilgoci, dobywającym się z przepływającego w dole kanału.

Mężczyzna spojrzał na mnie z roztargnieniem w oczach. Zauważyłam, że jego długie palce pokrywała delikatna mgielka białego pyłu. Pomiędzy nami panowała przedłużająca się cisza. Skubałam wstążkę od zawiązanego pod szyją spranego lnianego czepka i modliłam się o cud.

– Moja żona kazała mi na ciebie zerknąć – rzekł w końcu. – Podobno poleciła cię pani van Keulen. Znam jej męża, Hermana. To świetny zegarmistrz, jedyny taki fachman w okolicy. Ale co do ciebie... doprawdy nie wiem, w czym mógłbym pomóc żonie... – mruknął po sekundzie wahania. – Chyba już podjęła decyzję...

Urwał nieoczekiwanie, wpatrując się ze zdumieniem w wystający z mojej kieszeni błękitny kwiat. Wepchnęłam go czym prędzej w czeluści ubrania, zgniatając bezlitośnie delikatne płatki.

– To ostróżka, prawda?

– Tak, panie. Nie powinnam, ale... Przepraszam... – Próbowałam powiedzieć coś sensownego, ale jego obecność paraliżowała mój język. – Zerwałam je na łące.

– Umiesz układać kwiaty? – Czułam, że jego wzrok wędruje po szorstkim materiale mojej żebraczej sukienki. – Widzisz ich kolory, ich teksturę?

Drgnęłam mimowolnie. Dlaczego zapytał mnie właśnie o to? Dziewczyna na dole, w kuchni, powiedziała, że szukają posługaczki do najcięższych prac. Palenie w piecu, zmywanie podłóg, sprawunki w hali rzeźniczej, szorowanie wiecznie brudnych okiennic...

– Lubię je zbierać... – zaczęłam wolno, żebym w porę mogła się wycofać z pułapki, którą zapewne dla mnie przygotował. – Oddzielam je barwami. Czerwone, żółte, pomarańczowe, fioletowe... – dodałam, chyba niepotrzebnie.

– Dlaczego to robisz?

– Bo zbyt intensywne kolory się kłóć – powiedziałam lekko i błyskawicznie ugryzłam się w język.

On za to spojrzał na mnie uważniej. Jego źrenice się rozszerzyły.

– Wyjrzyj na ulicę – polecił krótko. – No, rusz się, na co czekasz?!

Zamarłam. To był jakiś podstęp, którego nie rozumiałam. Wtedy jeszcze nie...

Podeszłam z ociąganiem do okna. Poczułam na twarzy smagnięcie wiatru. Był przesycony solą i morzem, w którym poławiano świeże ryby, układane później na straganach na targu tuż obok Domu Wagi Miejskiej.

– Widzisz chmury? Jakie są?

– Białe. Niebieskie. Szarawożółte. A nawet... – Zawahałam się, mrużąc oczy i szukając odpowiedniego słowa. – Szmaragdowe.

– *Incredibilis*... Czy moja żona zaproponowała ci już zapłatę za posługę?

Poczułam, że stanął za moimi plecami. Bardzo blisko. Na odległość oddechu.

– Nie, panie. Powiedziała, że potrzebujecie silnej i rosnącej służącej – wyszeptałam, ze spuszczonej oczami odwracając się w jego stronę. – I że mam za drobne ręce... nienawykłe do pracy, i mizerną posturę. Ale ja naprawdę dam radę! Jestem silna, zdrowa. Pomagałam już w bogatym domu, u państwa Vermeulenów w Alkmaar! Mogę pracować od rana do nocy, bez przerwy! – zapewniłam, składając ręce jak do modlitwy.

Uniósł szybko dłoń, ucinając w jednej sekundzie mój słowotok.

– Możesz zacząć jutro – rzucił stanowczo. – Jak ci na imię?

– Cornelia. Cornelia Smid – wyjąkałam, czując zbierające się pod powiekami łzy.

– Smid? Ktoś taki pracuje w naszej manufakturze. Jest kaflarzem.

– To mój ojciec. – Postanowiłam nie mówić mu całej prawdy.

– Dobrze. Dosyć na dziś. Będziesz spać w piwnicy. Merel pokaże ci gdzie. A teraz możesz już odejść.

Skłoniłam się nisko i wyszłam z pokoju. Moje serce biło tak mocno, jak dzwony kościoła Nieuwe Kerk, a ręce trzęsły się jak w febrze.
To jakiś cud! Nie do wiary! Byłam uratowana!

Rozdział I

Bogna

Amsterdam, 2020

Staliśmy w samym sercu amsterdamskiej dzielnicy Jordaan. Poprzez rosnące przy kanałach kasztanowce przebijało się delikatnie słońce, pieszcząc miękko moją bladą skórę. Zewsząd dochodziły pokrzykiwania turystów, dzwonki wszędobylskich rowerów i skrzypienie błękitnych tramwajów, kolebiących się na torach gęsto przecinających krzywe brukowane uliczki.

– Widzimy przed sobą pomniki najbardziej znanych tutejszych muzyków... Johnny’ego Jordana, Johnny’ego Meyera... – dudnił monotonny głos miejscowego przewodnika.

Podczepiliśmy się do oprowadzanej przez niego grupy w ostatniej chwili, chcąc liźnąć, jak to powiedziała trywialnie Małgosia, nieco więcej lokalnej kultury, a nie tylko wciągać opary wszechobecnej marihuany, która płynęła chyba we krwi wszystkich amsterdamczyków.

– Każdy z tych artystów związany był z tym miejscem – ciągnął przewodnik, próbując ściągnąć wzrokiem naszą uwagę. – Nazwa dzielnicy Jordaan pochodzi najprawdopodobniej od francuskiego słowa *jardin*, czyli ogród...

– Błagam was, urwijmy się stąd jak najszybciej, bo wieje nudą. – Ignacy ziewnął dyskretnie. – Już wystarczy, że chcecie mnie zaciągnąć do Rijksmuseum. Kuszony obietnicą nieziemskich artystycznych doznań, podskórnie czuję, że czekają tam na mnie wyłącznie dzikie tłumy, zapach staroci i kiepska kawa za niebotyczną cenę!

– Mówiłam, żeby go ze sobą nie zabierać – szepnęła mi do ucha Tereska i przewracając oczami, pociągnęła Ignasia za kolorową bluzę. – Czy ty zawsze musisz tak marudzić? Nie pisałam się na litanie skarg i zażaleń. Muzeum Narodowe ci nie odpowiada? Złoty wiek holenderskiego malarstwa? Rembrandt van Rijn, Vermeer, de Hooch...? – recytowała jak na wykładzie.

Ożywiłam się nagle na dźwięk nazwiska Vermeera. To przecież jego obraz wisiał w jadalni domu moich dziadków w Przesławicach.

Przedstawiał dziewczynę w żółtym kaftanie i białym czepku na głowie, przelewającą w skupieniu mleko z glinianego dzbana do garnka stojącego na stole. Babcia śmiała się zawsze, że korpulentna sylwetka służącej odpowiada dziadkowi, gustującemu w okrągłych niewiastach.

– To dlatego się ze mną ożeniłeś, Michale. – Gładziła przyprószoną siwizną czuprynę męża spracowaną dłonią, pociętą siateczką drobniutkich żył. – A ja tak marzyłam o tym, żeby być wiotka i powabna jak motyl.

– To niemożliwe, moja duszko. – Dziadek zadziornie mrużył oczy. – Masz złote serce i żelazne nerwy, a one, jak wiemy, sporo ważą.

– Popatrz, a ja, naiwna, myślałam, że ta moja waga to od czekoladek, które nieustannie tutaj znosisz – przekomarzała się, patrząc na niego z czułością.

Kochałam dziadków miłością niepodzielną. Kiedy po tragicznej śmierci rodziców zostałam sama, oni stworzyli dla mnie nowy świat. Pełen traum i niezagojonych ran, ale dający ukojenie i poczucie bezpieczeństwa. Ja przewróciłam ich życie do góry nogami. Zostali wyrwani z kokonu codziennej rutyny i rzuceni na głęboką wodę burzliwego oceanu zwanego wychowywaniem dorastającej dziewczynki. Dziadek uczył się wraz ze mną surfowania po necie, babcia odświeżała znajomość historii i z anielską cierpliwością testowała wegetariańskie przepisy, a ja... chłonełam całą sobą ciepło ich pachnącego farbami przesławickiego domu. Na jego ścianach wisiały reprodukcje ukochanych malarzy babci i błękitne holenderskie kafle, które pasjami kolekcjonował dziadek. Pamiętam, że przesuwiałam z lubością palcami po ich gładkiej, chłodnej powierzchni, kolebiąc się na krześle.

– Uważaj, bo spadniesz! – ostrzegała mnie babcia i rzucając włóczkową robótkę, biegła na ratunek.

– Daj jej się czasem potłuc, Marianko – mówił dziadek znad zaczytanej dokumentnie płachty miejscowej gazety. – Siniaki dobrze robią na duszę, sam wiem o tym najlepiej.

– Temu dziecku los już wystarczająco siniaków sprezentował. – Twarz babci chmurniała. – A i nam ich nie szczędził. Cały czas się boję, czy podołamy wychowaniu Bogny. Jest jeszcze taka mała, a my... sam wiesz, że mamy już swoje lata. Dlaczego ta tragedia musiała spotkać właśnie nas?

Gdyby Irenka i Mateusz żyli, wszystko wyglądałoby inaczej. Boże, dlaczego do tego dopuściłeś? – Siąknęła nosem i wytarła go szybko w wyciągniętą zza pazuchy starannie wyprasowaną chusteczkę.

– Nie gdybaj już, do diaska! – podniósł nieznacznie głos dziadek. – I nie mieszaj do tego Pana Boga! To nie jego sprawka, a tego pijanego idioty, który zajechał naszym dzieciom drogę. Czasu nie cofniemy. Musimy go raczej oszczędzać. Mamy teraz co robić i o kogo się troszczyć.

– Nie kłóćcie się – napomniałam ich, balansując na krawędzi krzesła i sprytnie wykorzystując nieuwagę babci. – Obiecuję, że będę grzeczna. Ale nie oddacie mnie do bidula, prawda? – zapytałam, marszcząc jasne brwi.

– Skąd ci to do głowy przyszło, dziecko? – Babcia nagle tak zbladła, że przypominała ducha. – Nigdzie cię nie oddamy! Jesteś dla nas wszystkim, nigdy o tym nie zapominaj.

Wtuliłam się cała w jej gryzący policzki sweter. Żółty jak kaftan mleczarki z obrazu, który wisiał na honorowym miejscu, za siedzącym przy stole dziadkiem.

– Dosyć już tego mazgajstwa – szepnęła babcia w moje włosy. – Pora na ciasto z rabarbarem. Już, już, pomóż mi, Bogienko, wyłożyć je na talerzyki.

Zeskoczyłam czym prędzej z krzesła i pobiegłam do przepastnego kredensu. To tutaj za szybką babcia ukrywała swoje porcelanowe serwisy na specjalne okazje. Jeden był różowy jak karmelki w wielkim szklanym słoju w sklepie u pani Jasi, a drugi niebieski jak niezapominajki. A może błękitny jak niebo nad miastem lub szafirowy jak oczy dziadka, zatopione w siateczce drobniutkich zmarszczek. Nigdy nie mogłam się zdecydować na jeden odcień dowolnej barwy. Zawsze widziałam ich kilka, w zależności od tego, w jaki sposób padało światło.

Światło. Vermeer. Błękitna porcelana. Krucha i chłodna jak kafle, które tak lubiałam dotykać. A co by było, gdybym...?

Ocknęłam się nagle i rozejrzałam po placu otoczonym przez pierścień amsterdamskich kanałów. Poczułam całą sobą, że pora ruszyć dalej. Ciągnęła mnie jakaś niewytłumaczalna siła, niczym wiatr porywający moje myśli w zupełnie innym kierunku, do którego zdawałam się zmierzać.

– Przepraszam pana... – przerwałam niegrzecznie nudny wywód przewodnika. – Jak się nazywa miejsce, w którym urodził się Vermeer?

Miasto wielkiego malarza i porcelany?

– Delft – odpowiedział, zanim jeszcze zdążyłam wypowiedzieć całe zdanie. – Jeżeli potrzebujecie lokalsa od oprowadzania po tamtejszej starówce, to mogę kogoś polecić.

– Co powiecie na wycieczkę do Delftu? – zagałam nieoczekiwanie przysypiającą kompanię moich przyjaciół.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się w moją stronę.

– Ale przecież dzisiaj wieczorem mieliśmy pójść do dzielnicy czerwonych latarni! – Ignacy znowu się skrzywił. – A poza tym co niby miałbym robić w tym Delfcie? Gdzie to w ogóle jest? – zapytał, z rozpędu po angielsku.

– Na zachodzie Holandii. Najlepiej pojechać tam pociągiem. Musicie tylko przejść kawałek na dworzec centralny – odpowiedział przewodnik.

Patrzył na mnie dziwnie podekscytowany. Wokół rozlegały się już niecierpliwie posykiwania innych turystów, którzy czekali na dalszy ciąg jego przerwane wywodu. W końcu za to wszystko zapłacili.

– Świetnie! – Klasnęłam. – Poprosimy o namiary na tego pana znajomego. Chyba przyda nam się ktoś obeznany w historii miasta. Nie patrzcie tak na mnie! – huknęłam na przyjaciół. – Nie każę przecież zakuwać was w dyby! Pobłądzimy po tamtejszych uliczkach, zagubimy się wśród średniowiecznych kamienic i napijemy lokalnego piwa. Co wy na to?

– Co cię nagle napadło? – szepnęła Małgosia. – Mało mamy atrakcji w Amsterdamie? Po co chcesz jechać do Delftu?

– Jeżeli mówisz, że produkują tam dobre piwo, to niech już będzie – zgodził się wielkodusznie Ignacy.

Tereska bez słowa potaknęła głową.

Nie miałam pojęcia, dlaczego nagle zapragnęłam znaleźć się w nieznanym mi miejscu, czy w tamtym regionie są jakieś dobre lokalne trunki i czy moi przyjaciele nie zanudzą się na holenderskiej prowincji. Ale właśnie to pociągało mnie najbardziej w życiu – nowe i nieznanne.

Na sam dźwięk nazwy „Delft” swędziały mnie opuszki palców. Miałam tak zawsze, kiedy podskórnie czułam, że za chwilę w moim życiu zdarzy się coś niezwykłego.

Przesławice, dwadzieścia lat wcześniej

– I znowu naniosłeś tego pyłu! Z tobą jak z dzieckiem! – gderwała babcia, wymachując zamasyżście kraciatą ścierką. – Dopiero odkurzyłam, ale w tym domu nikt nie szanuje mojej pracy. Idźże do tej swojej pakamery, pókim dobra! A za kwadrans chcę cię widzieć na obiedzie!

Stałam jak zwykle ukryta za naręczem płaszczy oblepiających ciasno wieszak w korytarzu. Dziadek od razu mnie zauważył. Miał sokoli wzrok.

– Chodź szybko, Bogienko. – Mrugnął do mnie, sprytnie chowając coś pod wysłużoną marynarką. – Zanim babcia nas z chałupy wyrzuci. Mam coś dla ciebie. Odrobiłaś lekcje?

– Oczywiście! – skłamałam w dobrej wierze i podążyłam za dziadkiem do jego pracowni.

Nawet babcia nie miała do niej wstępu. To było niepodzielne królestwo Michała Zdanowicza. Trzymał tu swoje „skorupy”, farby, pędzle i różnorakie naczynia. Po pracy bawił się w malowanie ceramiki, ale wiedziałyśmy o tym tylko babcia i ja. Wśród kolegów wołał się nie chwalić swoją pasją. Był nadzwyczaj skromny. Uwielbiałam tę jego kryjówkę, przesiąkniętą zapachem kurzu, farb i pigmentów.

Kiedy weszliśmy do środka, dziadek zamknął starannie drzwi. W pomieszczeniu panował półmrok przełamana nieco nikłym światłem z lampki umocowanej nad wielkim drewnianym stołem, zastawionym najróżniejszej maści słoikami. Dziadek z niechęcią pstryknął włącznik i wiszący po sufitem żyrandol rozbłysnął. Rozejrzałam się uważnie. Wszystkie meble pokrywała cieniutka warstwa białego pyłu.

– Zobacz, co dla ciebie mam – powiedział triumfalnie dziadek i wyciągnął zza pazuchy przepiękny porcelanowy wazonik. Jego szyjkę oplatał złoty ornament, a na środku widniały wykaligrafowane starannie literki układające się w moje imię.

– To dla mnie? – Zapiszczałam podekscytowana i wyciągnęłam obie dłonie w kierunku kruchego cacka. – Będę go pilnować jak oka w głowie, żeby się nie potłukł.

– Oczywiście, że jest dla ciebie. A znasz tutaj jakąś inną Bognę? – mruknął dziadek i podał mi wazonik. – Wbrew pozorom porcelana to bardzo trwałe materiały. Wypalamy ją w temperaturze tysiąca czterystu

stopni. Tylko jej dusza jest delikatna. To moja największa miłość, zaraz po tobie i twojej babci. Chociaż ona uparcie twierdzi, że jest na ostatnim miejscu.

Uniosłam wazonik i odwróciłam go denkiem w kierunku żyrandola. Na spodzie naczynia tkwiła wyraźna podszkliwna sygnatura. Po porcelanowych ściankach rozeszła się cieniuchna łuna światła.

– Moja córcia... – wyszeptał wzruszony dziadek. – Zapamiętałaś, czego cię uczyłem.

– Tak, dziadziu. Prawdziwa porcelana przepuszcza światło... – powiedziałam wolno.

Dziadek bez słowa chwycił ze stołu leżącą na jego krawędzi łyżeczkę do herbaty.

– A teraz uderz nią w szyjkę wazonu – polecił cicho.

Posłusznie chwyciłam łyżeczkę i delikatnie pacnęłam nią o śliską powierzchnię naczynia. Rozległ się czysty, dźwięczny odgłos. Przypominał miniaturowy dzwoneczek.

– Fajans i porcelit brzmią głucho. Tylko porcelana ma taki czysty głos – objaśnił dziadek.

– Ona śpiewa...

Dziadek patrzył na mnie z nieskrywaną aprobatą. Na jego poprzecieranym na łokciach starym swetrze widniały jak zawsze białe plamy.

Odkąd pamiętam, dziadzio pracował w miejscowej fabryce porcelany, przy taśmie produkcyjnej. Napelniał worki proszkiem i dźwigał je z przenikniętych gęstym pyłem magazynów. Po godzinach przepoczwarzał się ze zwykłego robotnika w artystę. Miał niezwykle twórczą duszę i czarodziejskie ręce, które godzinami wycinały stalową igłą ażurowe wzory w surowym czerepie. Nikt z pracujących z nim na hali nie wiedział o jego zdolnościach. Nie chciał się wyróżniać. Uważał, że każdy powinien znać swoje miejsce w szeregu.

Ogromny fabryczny komin górował nad naszym miasteczkiem niczym strzelista kościelna wieża. Miejscowi nazywali porcelanę białym złotem i byli z niej niezwykle dumni. Stała na stole praktycznie w każdym domu. Niedzielny obiad jadło się z obramowanych złotym rantem talerzy produkowanych na miejscu. Każde odstępstwo od tej tradycji ludzie

traktowali jak zbrodnię. Nie mogłam się nadziwić, że moi rodzice, którzy wychowali się w cieniu naszej fabryki, wybrali karierę architektów. Mama podobno miała niezwykły talent plastyczny. Może dlatego ja sama studiowałam na akademii sztuk pięknych. Ale wtedy, w tej ciemnej pakamerze dziadka, kiedy trzymałam w dłoniach wazonik ze swoim imieniem, chciałam zostać weterynarzem.

– I jak tam twoje włosy, córciu? Widzę, że powoli odzyskują swój kolor? – zapytał nagle miękko dziadek, patrząc na mnie czule. – Masz takie piękne jasne loki... po twojej mamie... – Głos mu się załamał, dlatego odchrząknął szybko, udając chrypkę. – Kiedyś babcia pojechała do sanatorium, wiesz? Nie było jej równo tydzień. I wtedy ja plotłem Irencę warkocze. Potem zawiązywałem na nich wstążki. Sama je wybierała. Zawsze miała doskonały gust. Panie w przedszkolu nie mogły się nadziwić, że mężczyzna potrafi wiązać takie piękne, równe kokardy.

Dziadek umilkł. A potem dodał szybko:

– A ty... nigdy więcej nie maluj sobie włosów na czarno, Bogienko. To nie ty. Masz taką śliczną, jasną buzię. Jak porcelana.

– To dlatego zrobiłeś dla mnie ten wazonik? – zapytałam cicho. – Żebym zapomniała o tym... bidulu? Ja naprawdę myślałam, że tam płacą więcej za dziewczynki z jasnymi włosami. Tak gadali w szkole. Byłam głupia, że uwierzyłam tym wrednym chłopaczyskom. Chcieli mi dokuczyć. Ale tak bardzo się bałam, że mnie sprzedacie... Za takiego kocmołucha nikt by nie dał nawet złotówki i dlatego... się przefarbowałam.

– Nie oddamy cię nigdy nikomu i za żadną cenę, córeńko. Zapamiętaj to sobie na zawsze. Nawet gdybyś miała tak długie włosy, jak Roszpunka! A teraz chodź na obiad, bo babcia da nam popalić, jak się spóźnimy choćby o minutę!

Rozdział II

Cornelia

Delft, 1880

Urodziłam się w 1866 roku w małej osadzie niedaleko Delftu jako druga córka Benjamina i Geertje Smidów. Razem z rodzicami, starszą siostrą Zwaantje i najmłodszymi bliźniętami, Janem i Friedą, mieszkałam w nędznej glinianej chacie krytej słomą. Nasze obejście było biedne, położone na uboczu, na płaskim, wiecznie podmokłym terenie. Wieczorami moje saboty tonęły w błocie, kiedy przemykałam ukradkiem na drugi koniec osady i przyglądałam się z zazdrością murowanym domom z błyszczącymi zielonymi okiennicami. Należały do najbogatszych gospodarzy w okolicy. Przez nagie, niczym nieosłonięte okna zaglądałam ciekawie do izb, w których mieszkańcy siadali do kolacji przy suto zastawionych stołach. Przetykając łakomie ślinę, śledziłam każdy ruch ubranych w czyste suknie i wykrochmalone czepki gospodyń, rozkrawających białe bochenki chleba i smarujących je grubo omastą. W naszym domu białego chleba nie jadano.

Moja mama zajmowała się chorującymi bez przerwy Janem i Friedą, a ojciec chodził codziennie dwie godziny na piechotę do Delftu, gdzie malował kafle w manufakturze porcelany Błękitny Koliber. Nieustannie miał poparzone ręce od pieca do wypalania szkliwa i kaszlał z powodu tego białego pyłu, który przynosił na ubraniach i we włosach, ale nigdy nie narzekał. Kiedy wracał po nużącej wędrówce nieutwardzoną drogą do domu, w izbie od razu roznosił się zapach farb i olejów, a na klepisku pojawiały się niebieskie smugi.

– Malowałeś dzisiaj wiatraki czy kwiaty, ojcze? – pytałam, łasząc się jak kot do jego kolan, odzianych w brudne parciane spodnie. Czułam, że pomimo pozornej szorstkości, z jaką mnie traktował, jestem jego ulubionym dzieckiem.

– Tym razem wyjątkowo statki i żołnierzy, córko. Te motywy są coraz bardziej pożądane. Klientom opatrują się powoli słodkie pejzażyki z wiatrakami – odpowiedział szybko i pogładził mnie spracowaną dłonią po głowie. Z łatwością zauważyłam, że jego myśli krążyły gdzieś hen, daleko.

– Ale dałem radę tylko dwóm tuzinom, dziecko. Majster zdzielił mnie po karku, bo nie nadążam za innymi. Ale te cholerne oczy bolą coraz bardziej... – Odwrócił głowę od światła płynącego z dopalającej się na stole świecy i ukrył twarz w mroku.

Nie dodał już, że jego kafle coraz częściej miały jakieś wady. Obrazki zamazywały się na białej powierzchni ze względu na zbyt wysoką temperaturę pieca. Sam nie rozumiał, co się tak właściwie z nim działo.

Z kąta izby dochodziło popłakiwanie bliźniaków, a potem rozległ się rozzwierający płuca mokry kaszel. Po chwili przy stole pojawiła się blada, niemal przezroczysta matka.

– Nad łóżkami dzieci pojawił się grzyb – powiedziała cicho i usiadła ciężko na chybotzącym się zydłu. – Benjaminie, nie mamy wyjścia, musimy wysłać Zwaantje na służbę do Alkmaar. Nasza sąsiadka pracowała tam w gospodzie i już jakiś czas temu mówiła mi, że ludziska plotkują o dobrej posadzie dla uczciwej dziewczyny w mieszczańskim domu. Potrzebują tam silnej posługaczki. Podobno płacą niezgorzej, a wikt i opierunek będzie miała za darmo. Te marne centy, które zarabia tutaj przy karmieniu świń i kur u Hendriksów, nie starczą nawet na podstawowe wydatki. Bliźniaki rosną, powinny jeść czerwone mięso. Nasz rzeźnik przedwczoraj odłożył dla mnie wprawdzie kawałek baraniny, ale ponieważ zalegam mu z zapłatą, wybrał najlichszy ochłap z szarymi brzegami. Kiedy zwróciłam mu uwagę, że mięso jest nieświeże, fuknął na mnie i nakazał najpierw uregulować długi, a potem go krytykować.

– Niedobrze się stało – zafrasował się ojciec. – Nie powinnaś robić sobie wrogów na hali rzeźniczej, Geertje. Ale nie martw się, porozmawiam z Hansem i jakoś go udobrucham. Namaluję dla niego kafel z podobizną jego grubej córki. Podobno jesienią wychodzi za męża, za syna piekarza.

– Gulden ciągnie do guldena – westchnęła matka. – A ty, człowieku, wiecznie w niedostatku i zgryzocie...

– Pssst... Neeltje... – rozległo się nagle za moimi plecami.

Zerknęłam dyskretnie przez prawe ramię. Przy palenisku stała Zwaantje. Jej okrągła, rumiana buzia i błękitne oczy jaśniały w świetle buzującego wesoło ognia. Przeniosłam wzrok na pograżonych w rozmowie rodziców, ale żadne z nich nie zwracało na mnie uwagi. Zsunęłam się zwinnie

z krzesła i podbiegłam na palcach do siostry. Tylko ona nazywała mnie pieścizotliwie „Neeltje”...

– Chcą mnie wysłać na służbę, wiem... – szepnęła i pociągnęła za mój gruby warkocz w kolorze dojrzałego lnu. – Ej, nie rób takiej smutnej miny! Przecież nie pójdę sobie precz na koniec świata! Wrócę niedługo do ciebie. Jak ci wielcy państwo mnie zechcą, popłynę do Alkmaar łodzią z portu. Już się nie mogę doczekać! Zobaczę w końcu coś innego niż tylko nasze zabłocone opłotki. Dlaczego płaczesz, siostrzyczko? Będzie dobrze! Nie martw się o mnie. Nie zapomnij, cokolwiek się wydarzy, zawsze będziemy rodziną.

Kilkanaście dni potem Zwaantje z niewielkim tobołkiem w rękach wyruszyła w swoją pierwszą tułaczkę za chlebem. Dostała od mamy nowy fartuch i czepek. Bałam się nawet domyślać, skąd wzięła na to pieniądze. Na pewno znowu się zapożyczyła u Hendriksów.

– Pamiętaj, żeby za dużo nie paplać i nie migać się od pracy – upomniał najstarszą córkę ojciec. – I chcemy cię tu widzieć z matką raz na kwartał. A gdyby coś... – Jego głos załamał się nagle.

– Tak, wiem, *pap*. Mam wam jak najszybciej przesłać wiadomość – odpowiedziała zniecierpliwiona nieco Zwaantje. – Naprawdę nie musicie się o mnie martwić. Poradzę sobie! W końcu mam już szesnaście lat!

Matka załkała bezgłośnie i przetała szybko twarz krajem fartucha.

– W tobołku schowałam dwie pajdy chleba i kawałek sera. Niech Bóg cię prowadzi, dziecko – powiedziała, a potem odwróciła się na pięcie i pospiesznie weszła do chaty.

Zamyślony ojciec popatrzył jeszcze na Zwaantje, a potem bez słowa poszedł w ślady matki. Nie umieli okazywać uczuć. Łzy były w rodzinie Smidów oznaką słabości.

Tymczasem siostra przykucnęła i ujęła mocno moje dłonie.

– Pilnij bliźniaków, Neeltje – powiedziała. – I pamiętaj, żeby malować. Rozumiesz? Ty jako jedyna z nas masz szansę na dobre życie. Dostałaś od losu największy dar – talent, a to droższe niż najcięższa nawet sakiewka z tysiącem guldenów. Kocham cię bardzo. Nigdy o tym nie zapominaj.

Po wyjeździe Zwaantje przez parę dni nie mogłam sobie znaleźć miejsca. A potem powolutku moje życie wróciło do starego rytmu. Rano pomagałam mamie w obejściu, potem niańczyłam bliźniaki, a późnym popołudniem malowałam sokiem buraczanym wzorki na kamieniach. Kreśliłam starannie kontury ulubionych kwiatów, ale pod wpływem ciepła moich palców sok się rozpląwał i skapywał krwawą smugą w wilgotną ziemię. Wieczorami przy kolacji strzygłam uszami, niestety rozmowy rodziców toczyły się wyłącznie wokół potrzeb Jana i Friedy, pracy ojca w manufakturze i rosnących astronomicznie długów. Ani słowa o Zwaantje. Nie miałam pojęcia, czy to dobry znak, ale tak właśnie wolałam myśleć.

Pod koniec tygodnia matka poprosiła mnie, żebym poszła z nią do Delftu, do rzeźnika i na targ rybny. Od kilku tygodni nie widziałam, żeby była tak promienna. Nawet jej głębokie zmarszczki w kącikach oczu zdawały się mniejsze.

Wyruszyliśmy bladym świtem. Moje ręce już po dziesięciu minutach marszu zaczęły drętwieć z zimna, ale postanowiłam nie zwracać na nie uwagi. Najważniejsze, że wyprawa do Delftu przełamała monotony bieg mojego uwięzionego w chacie życia.

Nad miastem niczym bielutki całun wisiała nieprzenikniona mgła. Słońce nie miało z nią żadnych szans. Po lustrzanych wodach kanału płynęło leniwie kilka łodzi, a kierujący nimi mężczyźni odpychali je bosakami od dna. Zapatrzyłam się przez kilka sekund na migoczącą wszystkimi odcieniami zieleni pokrytą rzesą taflę. Przy samym brzegu woda miała barwę świeżych pistacji poprzecinanych gęstą malachitową pianą, naznaczoną ścieżkami niebieskich żyłek. Coraz to nowe barwy nakładały się na siebie w mojej głowie, ale matka pociągnęła mnie niecierpliwie za ramię, mrużąc coś pod nosem. Przeszliśmy szybko przez most, a potem skręciliśmy na rynek. Krzyknęłam z zachwytu na widok monumentalnej budowli z pozłacanym wejściem i twarzami z białego marmuru, spoglądającymi groźnie znad okien.

– To ratusz – powiedziała matka i otarła cieniutką strużkę potu z czoła. – Tutaj widzisz Dom Wagi Miejskiej i Nieuwe Kerk, gdzie ochrzciliśmy całą waszą czwórkę. Spójrz na tę wieżę! Żeby dostać się na górę, trzeba pokonać ponad trzysta kamiennych schodków. Kiedyś razem z twoim

ojcem próbowaliśmy się tam wdrapać, ale jakiś strażnik przegonił nas, mówiąc, że nie damy rady.

Matka już dawno nie powiedziała do mnie naraz tylu słów. Chyba dostrzegła moje zdziwione spojrzenie, gdyż poczerwieniała, potrząsnęła energicznie głową i strzepnęła spódnicę.

– A teraz chodź już, mamy jeszcze sporo do załatwienia.

Przeciskając się przez gromadzących się na rynku ludzi, rozstawiających stragany z towarem, pobiegliśmy po sprawunki.

Hala rzeźnicza stała przy południowo-zachodniej stronie rynku, tuż za ratuszem. Przy rozlokowanych wzdłuż pomieszczenia stołach handlowali przedstawiciele najznamienitszych rzeźniczych familii z okolicy. Ojciec kiedyś wspominał, że w samym Delfcie było ich ponad trzydzieści. Pomiędzy straganami uwijały się gospodynie i służące, które wybierały najdorodniejsze zwierzęce tusze podług zasobności portfela swoich chlebowców. Wszędzie unosił się metaliczno-rdzawy zapach. Pociągnęłam żałośnie nosem i spojrzałam z przerażeniem na swoje saboty. Były oblepione nasiąkniętymi krwią trocinami.

– Nie rób takiej miny, Cornelio! – upomniała mnie matka. – A najlepiej nie odzywaj się ani słowem! Masz tylko delikatnie się uśmiechać, zrozumiałaś? Tam, po prawej, stoi stragan naszego rzeźnika, Hansa Kostera. Muszę go jakoś udobruchać i biada ci, jeżeli popsujesz mi szyki swoimi fochami... Dzień dobry!

Przed nami oddzielony szeroką ladą zapełnioną gigantycznymi kawałami mięsa stał postawny mężczyzna w poplamionym fartuchu. Na nasz widok skrzywił brzydko twarz, ukazując czarne, nadpsute zęby.

– Poproszę funt ozorków – powiedziała szybko matka i zamrugała kilka razy.

– Hola, hola, pani Smid. A może najpierw ureguluje paniusia swoje zaległe rachunki z kilku ostatnich miesięcy? – huknął rzeźnik i ujął się pod otłuszczone boki. – Nawet pół ozorka na kredyt więcej nie dam! Niech idzie szukać naiwnych gdzie indziej!

Rozglądałam się z przerażeniem po obcych twarzach napierających zewsząd ludzi. Nagle mój wzrok padł na rozlewającą się u moich stóp karminową kałużę krwi. Skapywała ze sztuki wieprzowego mięsa, rozdartej

przez stojącego tuż obok Hansa chłopaka z obsypaną piegami twarzą i płonącymi ogniem włosami. Krzyknęłam i zakryłam dłońią usta. Chłopak zerknął na mnie z pogardą. Jego oczy zdawały się mówić: „Głupia dziewczucha z zajęczym sercem”. Moje spojrzenie zhardziało, a potem przyklęknęłam bez wahania tuż obok brązowiejącej czerwieni zalewającej brudne klepisko, upstrzone gęsto zwierzęcym tłuszczem. Przeciągając krew na skraj kałuży zaczęłam delikatnie kreślić w ciepłej, gęstniejącej masie kwiatowe wzory. Wyobrażałam sobie, że to zwykła farba, taka sama jaką ojciec używał do malowania swoich kafli. Pograżona w jakimś dziwnym letargu i upojona wciskającym się w nozdrza coraz nachalniej zapachem świeżej krwi, dziergałam paznokciem wymyślne ornamenty i łądygi ozdobione koroną z liści.

– Co ta dziewczyna robi?! – Moje myśli przeszył jak piorun nagły krzyk.

Drgnęłam i uniosłam głowę. Napotkałam przerażony wzrok matki, która tak mocno zaciskała drobne pięści, że aż pobielaly jej knykcie.

– To tylko moja córka, ona... ona naprawdę nie chciała. Jest jeszcze taka młoda i głupia! Nie wiem, co jej strzeliło do łba – mówiła gorączkowo, połykając końcówki wyrazów.

Rzeźnik wyszedł z kontuaru i bez słowa przyglądał się moim krwawym rysunkom.

– Powinniście z Benjaminem posłać ją do jakiejś szkoły – mruknął. – To niewiarygodne! Ten dzieciak maluje lepiej niż niejeden artysta w naszej manufakturze porcelany. Mój chłopak też się w to bawi, ale gonię, bo z tego chleba nie będzie – rzucił, po czym łypnął zagadkowo na matkę i dodał po chwili niechętnie, jakby wbrew swojej woli: – Niech już będzie. Funt ozorków i dwa kotlety! Tylko żeby w następnym miesiącu wszystkie długi były uregulowane, rozumiano?

Wytarłam szybko brudne palce w spód cienkiej sukienki. I wtedy napotkałam jego spojrzenie... Ryzy chłopak przyglądał mi się tym razem z niemym zachwytem. Jeszcze nikt nigdy tak na mnie nie patrzył.

Rozdział III

Bogna

Delft, 2020

– I co teraz, pani przewodniczko? – zapytał ironicznie Ignacy i poprawił wpijające się w jego chude ramiona paski od plecaka. – Czekamy na twoje pomysły. W końcu to ty nas podstępnie zwabiłaś na tę prowincję. Na pierwszy rzut oka nie widzę tutaj niczego interesującego. Miasteczko jak każde inne, może tylko bardziej śmierdzi rybami.

Staliśmy całą grupą na opustoszałym o tej porze bruku delftyjskiego rynku. Kostki układały się tu w charakterystyczną ośmioramienną gwiazdę w kole. Każde jej ramię wskazywało inną część miasta. Na horyzoncie niebo płonęło wszystkimi odcieniami pomarańcza, oświetlając krwawą łuną majestatyczną wieżę górującego nad zabudowaniami renesansowego ratusza z czerwonymi okiennicami.

– Najpierw ogarniemy nocleg, a potem wyskoczmy do jakiejś knajpki na obiecane chmielne trunki. – Roześmiałam się. – Chodźcie za mną, podobno hotel... zaraz, zaraz... zdaje się o nazwie „Pękata Butelka”... znajduje się pięć minut drogi stąd. Nie bój się, Ignacku, w pociągu zdążyłam się solidnie przygotować i nawet zarezerwowałam nam pokoje. Z widokiem na kanały, ale to, jak się domyślam, standard.

Cała gromada, przekrzykując się nawzajem i przerzucając docinkami, skierowała się na wschód. Zamykałam peleton, celowo powłócząc nogami i z zainteresowaniem obserwując kolorowe fasady przytulających się do siebie kurczowo wąskich kamienic. Wysokie szprosowe okna pocięte równymi liniami szczeblin i pomalowane białą farbą belki, zwieńczone hakiem i wystające spod dachów. Na schodkach prowadzących do budynków stały wielobarwne doniczki, z których wypływały gęstą falą pękate pelargonie. Przy jednej z nich przycupnął gruby rudy kot z prążkowanym ogonem. Wyglądał jak Garfield z amerykańskiej kreskówki. Dom, przed którym siedział, zwieńczał ozdobny kartusz z wrytym monogramem właściciela i datą budowy – 1687.

Nasz hotelik znajdował się przy jednej z klimatycznych uliczek odchodzących promieniście od rynku. Na staroświeckim szyldzie wiszącym

nad wejściem chybotą się lekko na wietrze butelka. Przepychając się nawzajem, otworzyliśmy drzwi wejściowe. Rozległ się cichy dźwięk dzwoneczka. Za poobijanym kontuarem siedziała młodziutka korpulentna blondynka, która na nasz widok zerwała się z miejsca. Była ubrana w zdecydowanie za małą jasną sukienkę. Na jej piersi widniał identyfikator z wypisanym starannie imieniem i nazwiskiem – *Nienke Boom*. Tuż za plecami dziewczyny, na obitej ciemną tapetą ścianie, wisiała reprodukcja obrazu Vermeera, *Widok Delftu*.

– Dobrze, że państwa widzę! – zawołała dziewczyna. – Mamy przejściowe problemy z... rezerwacją pokoi. System zastrajkował... Bardzo przepraszam, ale sama nie rozumiem, jak to się mogło stać! – Zacerwieniła się jak dojrzała piwonia. – Mogę państwu zaproponować... – Zerknęła szybko na ekran stojącego przed nią komputera. – ...jeden pokój. Rodzinny. Dwa piętrowe łóżka i przepiękny widok na kanał Nieuwe Delft. W bonusie!

– Jeżeli ta tubylcza kobieta myśli, że będę się gnieździł z wami w jednym łóżku, to się grubo myli! – fuknął po polsku Ignacy. – Zabieramy się stąd!

– Nigdzie nie idę, jestem wykończona. Jutro wieczorem wracamy do Polski, więc jeżeli o mnie chodzi, tę jedną noc mogę przespać choćby na parkowej ławce – oznajmiła autorytarnie Tereska. – Bierzemy piętrosy i bonus! I błagam, chodźmy w końcu coś zjeść!

Nienke Boom, widząc nasze zwarzone miny, pospieszyła z kolejną atrakcją.

– Żeby państwa do końca udobruchać, dorzucamy na koszt firmy degustację lokalnego piwa z miejscowych browarów Koperen Kat¹. Możecie się go napić w zaprzyjaźnionym pubie tuż obok. Wydrukuję państwu vouchery...

¹ hol. Miedziany Kocur

Najwyraźniej pannie Nienke zależało na zatrzymaniu nas za wszelką cenę. Nie rozumiałam tylko, jak to możliwe, że wszystkie pokoje były zajęte, skoro nigdzie nie widziałam żywej duszy! Najpewniej wszyscy turyści balowali już w knajpach przy kanale.

Na dźwięk słowa „piwo” Ignacemu od razu zaświeciły się oczy.

– Miedziany Kocur brzmi niezwykle interesująco! Niech wam już będzie! Zostaję! – zakomunikował łaskawie. – Tylko od razu zapowiadam, że śpię na górze. Nie chcę was kusić swoim atrakcyjnym dezabilem.

– A od kiedy ty sypiasz w halkach? – docięła mu Małgosia.

– Cicho, kochani – upomniałam ich po polsku. – Bierzemy ten pokój!

Uśmiechnęłam się do najwyraźniej zestresowanej całą sytuacją recepcjonistki. Aż pokraśniała z zadowolenia i sięgnęła szybko do jednej z miniaturowych przegródek, w których wisiały klucze, ozdobione drewnianym breloczkiem w kształcie wiatraka.

– Mam jeszcze jedną prośbę... – powiedziałam, nachylając się konfidencjonalnie w jej kierunku. – Może wie pani, gdzie mogłabym kupić ilustrowany przewodnik po mieście? Nie zabawimy tutaj wprawdzie długo, ale przed powrotem do domu muszę zaplanować przyjaciołom całe jutrzejsze przedpołudnie. Wiem, wszystko jest w necie, ale ja jestem starej daty i lubię analogowe rozwiązania.

– To zupełnie tak jak ja. – Nienke otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej pięknie wydany album. Na jego okładce widniała pękata waza ozdobiona wianuszkiem z błękitnych kwiatków.

– Chętnie pani pożyczę tę książkę. I jeszcze raz bardzo dziękuję, że zostaliście. Pomimo tych... problemów. Szef byłby na mnie zły – przyznała szczerze. – Nie ogarniam nowego systemu komputerowego, ale naprawdę bardzo się staram. A poza tym po co inwestować w drogie programy, lepiej odmalować pokoje. Teraz turyści oczekują większych udogodnień... – ściszyła głos. – A tutaj... już od dawna nie było remontu. Ale chyba nie powinnam o tym mówić... – Urwała nagle speszona. Najwyraźniej pracowała w tym miejscu od niedawna.

Rozejrzałam się po recepcji. Staroświeckie wnętrze miało swój urok, ale rzeczywiście ściany „wołały” o pilną renowację. Przy suficie farba zaczęła się już brzydko łuszczyć.

– Chodźże już, Bogna! Bo nie ręczę za siebie! – marudził jak zwykle Ignacy.

Po zrzuconiu plecaków w ciasnym pomieszczeniu na stryszku, do którego prowadziły niezwykle strome i wąskie schody ze stopniami szerokimi na pół stopy, zaciekawieni i spragnieni udaliśmy się w końcu do lokalu, który

poleciała nam Nienke. Znajdował się zaledwie kilkanaście metrów dalej, w białej kamieniczce tuż obok niewielkiego łukowatego mostku obrośniętego jakimś gęstym pnączem. W obitym ciemną boazerią pomieszczeniu panował kolorowy tłok, ale spostrzegawcza Małgosia wypatrzyła cztery wolne stołki przy długim i podświetlonym lampkami barze.

– Prosimy o cztery Miedziane Kocury! – zawołał Ignacy, starając się przekrzyczeć panujący harmider. – I może coś na ząb? Jakiś holenderski przysmak! Co pan poleca? – Zerknął z aprobatą na ubranego w obcisłą czarną koszulę przystojnego barmana.

– Jesteście tu pierwszy raz? – Chłopak uśmiechnął się szeroko, ukazując trochę wystające zęby. – Proponuję mięsne kuleczki *bitterballen* z musztardą. A nasze lokalne trunki to najlepszy wybór. Ale Miedziany Kocur to nazwa browaru, a nie piwa. Lubicie kawę? – zapytał, wydawałoby się, z głupia frant.

– Nie po osiemnastej, nie mogę wtedy spać – zastrzegł Ignacy. – Choć i bez kawy powątpiewam, czy dzisiaj zasnę... – dorzucił, znacząco modulując głos.

– Zgłupiałeś do cna. Podrywasz tego biednego kelnera, nawet nie wiedząc, czy jest gejem – szepnęła Małgosia, przewracając oczami.

– Uwierz mi, wiem, co robię. Mam instynkt łowcy – obruszył się Ignacy. – I co z tą kofeina? – Przeszedł płynnie na angielski.

– Bez obawy, nie będę wam jej teraz serwował. O tej porze proponuję wyłącznie procenty. Flagowy produkt naszego pubu to D'oost Porter – objaśnił ochoczo barman. – Dodano do niego mieszankę ziaren kawy z Hondurasu i Brazylii. Efekt to ciemny porter o nutach smakowych kawy, mlecznej czekolady i karmelu. Bardzo oryginalne połączenie, zapewniam!

– Karmel, słodycz... mhm... już się czuję przekonany! – Ignacy dyskretnie oblizał usta, a Tereska dramatycznie wzniosła oczy ku niebu.

Po kilku minutach stanęły przed nami kufle wypełnione aromatycznym płynem i fajansowa miseczka z panierowanymi kuleczkami, jak się domyśliłam, polecany przez barmana *bitterballen*. W każdą z nich wbito wykałaczkę zwieńczoną miniaturową holenderską flagą.

– Zostawię was na chwilę – powiedziałam wprost do ucha Tereski. – Muszę zadzwonić do dziadka. Jak go znam, na pewno się martwi, czy u mnie wszystko w porządku.

Przecisnęłam się szybko pomiędzy stolikami i wyszłam przed pub. Chłodny powiew wiatru nieprzyjemnie oblepił moje nagie ramiona. Zadrżałam lekko i wyciągnęłam z kieszeni dzinsów komórkę.

– Bogienka? – rozległ się prawie natychmiast po drugiej stronie telefonu głos Michała Zdanowicza. – Co tam słyhać w Amsterdamie, córciu? Dobrze się bawisz?

– Plany się zmieniły, mój kochany staruszkule – odpowiedziałam ciepło. – Porzuciliśmy amsterdamskie kanały i wpadliśmy spontanicznie do Delftu.

– Do Delftu? – Dziadek błyskawicznie się ożywił. – A to niespodzianka!

– Przyznaj, nie spodziewałaś się, że twoja Bogna wylądjuje w królestwie błękitu.

– A wiesz, że tak naprawdę porcelana z Delftu to w gruncie rzeczy fajans? Ma w sobie coś z porcelany, ale nie jest aż tak cieniśnieńki. Holenderska ceramika ma białą warstwę cynowego szkliwa na żółtej glinie i jest o wiele cięższa. Ale pewnie sama to zobaczysz, nie będę ci teraz wykładów robił. Uważaj tam na siebie. Bardzo za tobą tęsknię.

– Wiem, dziadziu... – szepnęłam. – Obiecuję, że już niedługo wrócę do naszych Przesławic. A jak się czujesz? Plecy cały czas cię bolą? Używasz maści, które zapisała ci pani doktor? Jesz regularnie...?

– Zrzędzisz jak twoja babcia! – przerwał mi niecierpliwie dziadek. – Ona też mnie traktowała jak dziecko, a ja ponad sześćdziesiąt wiosen temu skończyłem już osiemnaście lat. „Michale, zjadłeś śniadanie? Założyłeś ciepły szalik? Łyknąłeś dziś witaminy?”... Całe życie na cenzurowanym! Aż dziw, że już tyle czasu daję sobie sam radę i jeszcze nie umarłem.

– Nawet tak nie mów! Będziesz żył jeszcze długie lata. Obiecujesz mi?

– Babcia też to obiecywała i nie ma jej już z nami... – odpowiedział cicho. – Tak naprawdę to nic nie zależy od nas samych, dziecko. Wszystko jest w rękach przeznaczenia.

Przesławice, cztery lata wcześniej

W kuchni aż lśniło. Nowa podłoga z włoskich kafli zastąpiła w końcu stare, dziurawe linoleum. Odmalowane ściany przyciągały wzrok nietypowym, gołębim odcieniem błękitnej farby. Na białym krześle u szczytu stołu siedziała babcia. Po jej prawej stronie ze skrzyżowanymi na obrusie dłońmi tkwił dziadek, a naprzeciw niego przycupnęłam ja. „Przycupnęłam” nie było tutaj jednak dobrym określeniem. W ciągu kilku ostatnich lat wyrosłam ze wszystkich dziewczynskich sukienek. Babcia sięgała mi zaledwie do ramienia.

Pomiędzy nami na drewnianej paterze pyszniło się świeżo wyciągnięte z piekarnika ciasto ze śliwkami, posypane grubo kruszonką. Nowa kuchnia w stylu prowansalskim od lat była marzeniem babci. Od zawsze pragnęła zobaczyć ten zakątek Francji, kojarzony ze słońcem, winem i pachnącymi niebiańsko polami kwitnącej lawendy. Obiecywała sobie, że kiedyś tam pojedzie, ale życie zweryfikowało jej plany. Po tragicznej śmierci moich rodziców poświęciła mi się całkowicie, choć sama nigdy nie mówiła o tym jako o poświęceniu. Kochała mnie najbardziej na świecie, o wiele bardziej niż rozświetlone wzgórza romantycznej Prowansji i wszystkie lawendowe połacie świata. Jej miłość nie była wyrzeczeniem, była radością dawania siebie i pokorą godzenia się z tym, że czasem nie wszystko, czego się pragnie, można drugiej osobie ofiarować. Teraz właśnie nadszedł moment, w którym musiała nam powiedzieć, czego po tylu latach wspólnej wędrówki nie będzie już mogła mnie i dziadkowi dać.

– Córcia, jak tam egzaminy? – zapytała, imitując nieudolnie służbisty ton i automatycznie odkrawając dla mnie ogromny kawałek placka.

– Zdane w zerówce, babusiu – oznajmiłam nie bez dumy.

– A ty, Michasiu? Auto już nie nawala? Co tam było do wymiany? Gromnice?

– Nie, moja kochana. Żadne gromnice, choć fakt, to auto to już kaplica! – Dziadek zaśmiał się z pełnymi ustami. – Zwykle świece zapłonowe.

– To dobrze, kochani. Koszule ci wszystkie poprałam, poprasowałam sukienki Bogny. Wałówka do akademika przygotowana, tak jak chciałaś, gołąbki wegetariańskie i pierogi z serem, stoją w lodówce na trzeciej półce w plastikowym pojemniku z czerwoną pokrywką. A, i pamiętaj, Michasiu, że w następny wtorek o siedemnastej masz wizytę u dentysty. Zapisalam ci

wszystko w kalendarzu ściennym przy telefonie. O czym to ja jeszcze... Aha, rachunek za wodę już opłaciłam. Tylko o abonamencie telewizyjnym nie zapomnij, żeby ten mecz koszykówki ci nie przepadł.

Odłożyłam nadgryzany właśnie kawałek ciasta na talerzyk i spojrzałam na babcię uważnie.

– Babuś, a co ty nam cały grafik tutaj recytujesz? Gdzieś się wybierasz? Dziadziu, wiesz coś o tym? Dokąd nam pani Zdanowiczowa ucieka?

Babcia obciągnęła szarą tweedową spódnicę na opuchnięte kolana.

– Wybieram się, moi mili, wybieram. W końcu najwyższy czas – westchnęła.

– Do ciotki Janki, do Kobierzyna? Zawiozę cię – zaoferował się dziadek, odsuwając krzesło od stołu.

– Nie, nie do Janki. Do naszej Irenki.

Dziadek zbladł.

– Jakiej Irenki? – zapytałam podejrzliwie. – Pierwsze słyszę. Jedyna Irenka, którą znałam, to mama.

– Ja też nie znam innej, córciu – szepnęła babcia i położyła swoją ciepłą dłoń na mojej. – Nie chciałam wam o tym mówić wcześniej, żeby niepotrzebnie was nie denerwować, ale muszę iść do szpitala.

– Marianko, przecież to nie koniec świata. Pójdiesz, zrobią, co trzeba, i wrócisz do nas. Skąd ten niedorzeczny pomysł o spotkaniu z Irenką?! –

Dziadek spoglądał na nią zatroskanym wzrokiem. Tak jakby wierzył, że miłość może zmienić kolej każdej rzeczy i plany krnąbrnego losu.

– Obawiam się, że już nie wrócę. – Babcia wstała z trudem. – Mam zaawansowane stadium raka trzustki. Dlatego właśnie dziś chcę się z wami pożegnać.

Rozdział IV

Cornelia

Delft, 1880

Już w kilka tygodni po wyjeździe Zwaantje za chlebem nasza sytuacja się poprawiła. Na stole coraz częściej pojawiały się potrawy, o których wcześniej nawet nie śniłam. Biała fasola namaczana przez matkę i trzymana w sieni, czasem tłuste mięso kaczki, kiełbaski i żółciutkie jak kwiaty słonecznika kawałki sera Beemster. Matka spłaciła dług u rzeźnika Koster, bliźniaki zaczęły mniej kasłać, a ojciec zabrał się za przeciekający dach. Czasem wieczorami słyszałam, jak pogwizdywał radośnie, zrzucając przegniłą słomę na zamiecione przeze mnie starannie klepisko. Wszystko zdawało się iść ku lepszemu. Tylko moja tęsknota za siostrą się nie zmniejszała. Miałam wrażenie, że wręcz rośnie tak bujnie, jak chwasty za naszą chałupą.

Matka coraz częściej wysyłała mnie samą do miasta po sprawunki.

– Jesteś już na tyle duża i rozumna, że potrafisz wybrać dobrą rybę i świeże mięso – mówiła, patrząc na mnie surowo.

Domyślałam się, że w czasie, kiedy wędrowałam poboczem drogi wiodącej do Delftu, ona odsypiała swoje zarwane przez Jana i Friedę noce. Kiedyś podpatrzyłam, jak układała się tuż obok śpiących na legowisku dzieci i delikatnie gładziła ich wychudzone plecki. Potem nagle jej ręka nieruchomiała i po kilku minutach w izbie rozlegało się cichutkie pochrapywanie. Nie narzekałam na dodatkowe zajęcia. W delftyjskich zaułkach czułam się coraz pewniej. Zgrabnie uskakiwałam przed nadjeżdżającymi wozami i opuszczałam szybko głowę, kiedy w pobliżu mnie przechodziła grupka mężczyzn. Trzymałam mocno sakiewkę z florenami, ukrytą na piersiach, i maszerowałam wzdłuż kanału Oude Delft, wystawiając twarz w stronę wschodzącego słońca.

Na rynku pomimo wczesnej pory zawsze panował tłok. Na środku stały wozy, wyładowane po brzegi workami z ziemniakami i kapustą, i płaskie wózki z malowniczymi piramidkami wywoskowanych, okrągłych jak armatnie kule gomólek sera. Mijałam wiernych, którzy wybierali się na poranne nabożeństwo w Nieuwe Kerk, i uwijających się jak pszczoły w ulu

straganiarzy. Sklepikarze powoli opuszczali okiennice, których używali jako lad do wystawiania towarów, i przekrzykiwali się wzajemnie, używając wulgarnych słów. Lawirowałam pewnie pomiędzy stoiskami, kierując się w stronę budy z warzywami starego Anthoniusa. Kiedy stanęłam w kolejce za kilkoma postawnymi matronami w wykrochmalonych czepkach, nagle zrozumiałam, że moją codzienną rutynę zaburzył jakiś szczegół. Nie potrafiłam sprecyzować jeszcze dziwnego uczucia, które kiełkowało w moim żołądku, wierciłam się, drapałam nerwowo po przedramionach, a potem nagle instynktownie odgadłam, co było powodem mojego niepokoju... Ktoś mnie obserwował. Cały czas czułam na sobie czyjś wzrok.

Czym prędzej załatwiłam sprawunki, tym razem nie targując się o cenę ziemniaków i cebuli, i szybko pomaszerowałam w kierunku kanału. Ogarniał mnie coraz większy strach. Co rusz zerkałam spłoszona przez ramię, próbując wypatrzeć w gęstwinie delftyjczyków tego, który na mnie czyhał, ale wszystkie twarze zlewały się w jedną zamazaną plamę. Nagle pomiędzy wszechobecną szarością ludzkiej masy mignął ogień. Oślepiający rdzawy błysk, który rozwiązał wszelkie wątpliwości. Zatrzymałam się rozgniewana i odwróciłam na pięcie.

– Dlaczego mnie śledzisz?! Jak śmiesz?! – krzyknęłam i wyciągnęłam oskarżycielsko palec.

Kilka metrów za mną stał rudy pomocnik rzeźnika Hansa. Zdradziły go włosy, które wyglądały jak gorejące w palenisku szczapy. Chłopak się zmieszał, ale po chwili hardo spojrział prosto w moje oczy.

– Nie śledzę cię... – wyjąkał. – Chciałem tylko... ja chciałem porozmawiać.

– O czym? Nie mamy sobie nic do powiedzenia! – warknęłam. – Przecież ja cię w ogóle nie znam! Widzieliśmy się raz w życiu, na hali rzeźniczej. Twój pan upokorzył wtedy moją matkę! A potem rzucił jej kilka mięsnych ochłapów! Chciałabym już na zawsze wymazać ten dzień z mojej pamięci, rozumiesz?

– To nie jest mój pan... – powiedział cicho chłopak. – To mój ojciec. I nie dziw się mu, że jest surowy. Nasza rodzina należy do najstarszych rodów rzeźniczych w Delfcie. Gdyby nie napominał swoich dłużników, już dawno

musielibyśmy zwijać manatki. Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ludzi bierze teraz na borg!

– I po co mi to wszystko mówisz? Mam współczuć twojemu ojcu, który w całym swoim życiu nie zaznał nędzy i nie wie, co to prawdziwy głód? Bogaty nigdy nie zrozumie biednego, a syty głodnego! – rzuciłam oskarżycielsko. – A teraz pozwól mi odejść. Muszę wracać do domu. Moi bliscy wypatrują jadła, które niosę dla nich w koszyku.

– Poczekaj... nie zrobię ci krzywdy. Chciałem tylko powiedzieć, że wtedy... no wiesz... w tej kałuży krwi na hali pod naszym straganem wymalowałaś prawdziwe arcydzieło. Masz do tego dryg!

Moja złość zelżała nieco. Spojrzałam na ryżego syna rzeźnika Hansa ciut przychylniejszym okiem.

– Naprawdę tak myślisz? Nie dworujesz sobie ze mnie? – zapytałam po chwili milczenia. – Twój ojciec chyba się ze mnie śmiał. Jak mógł zobaczyć w ohydnej kałuży krwi mój talent?

– A jednak. Ojciec wcale z ciebie nie dworował. Ja też tego nie robię... – zapewnił chłopak, a na jego policzki wypełzły ceglaste rumieńce. – Mogę wiedzieć, jak masz na imię?

– Cornelia. A ty?

– Jesper. Ale wszyscy wołają na mnie „Jes”. W wolnych chwilach, kiedy ojciec nie zagania mnie do roboty, maluję sobie... takie tam obrazki. Widoczki. Chciałbym kiedyś być tak sławny, jak Johannes Vermeer. – Jego wyblakłe oczy zapłonęły. – Mieszkał w Zakątku Papistów, tutaj niedaleko, na rogu Molenpoort przy Oude Langendijk.

– Marzenia kosztują, ale twoja rodzina ma pieniądze. Możesz robić, co tylko zapragniesz. – Wzruszyłam ramionami.

Jesper pociągnął nosem.

– Mój ojciec nawet nie chce słyszeć o malowaniu – wyznał. – Mam przejąć rzeźniczą schedę po nim. Taka jest tradycja. Nie umiem z nią walczyć. Czasem... jest mi ciężko. Już nie mogę patrzeć na te kiełbasy, szpondry, nóżki wieprzowe i ozory. Wieczorami wymykam się na obrzeża miasta i siadam na pokrytej rosą trawie w cieniu murów miejskich. Stamtąd rozpościera się chyba najpiękniejszy widok na Delft. Kiedy wyciągam pędzle ze skórzanego worka... czuję... czuję, że jestem na swoim miejscu.

Rozumiesz mnie, Cornelio? Tych emocji nigdy nie zaznam za ladą naszego stoiska na hali. Nie chcę, żeby moje ubrania przesiąkały smrodem krwi. Marzę o tym, żeby pachniały olejem lnianym i terpentyną.

Pokiwałam głową. W jego słowach rozpoznawałam samą siebie. Tak bardzo chciałam wyrwać się z biedy i zostać malarką.

– Jeżeli będziesz wytrwały i uparty, przekonasz ojca. Mnie, jako kobiecie, nigdy nie uda się to, co wam, mężczyznom, jest dane z urzędu. Nawet Vermeer, jeżeli byłby niewiastą, nie osiągnąłby tak wiele...

– Kiedy nie maluję i nie rozkrawam wieprzowych tuszek, odwiedzam antykwariat Femminusa Groothuisa. Jest mi życzliwy i rozumie moją pasję. Czytam często stare księgi, które mi podsuwa. Zaledwie kilka dni temu dojrzałem w jednej z nich portret Marii Antoniny.

– Piękne imiona. Kim ona jest? – zapytałam cicho.

– Raczej była. Francuską królową. Jej najpiękniejsze portrety tworzyła malarka, którą nazywała Eliza².

² Chodzi o postać autentyczną – Élisabeth-Louise Vigée Le Brun, portrecistkę królowej.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, ale teraz naprawdę muszę już iść, Jes – westchnęłam.

Kiedy kilka dni potem matka ponownie wysłała mnie do Delftu, na próżno wypatrywałam znajomej gorejącej czupryny. Zrobiłam sprawunki na targu rybnym, kupiłam kilka funtów żółciutkiej jak młode kurczęta cebuli i wreszcie stanęłam niezdecydowana przed wejściem do hali rzeźniczej. Rozum mówił mi, żebym czym prędzej wracała do domu, a serce podpowiadało zgoła coś innego. Sama przed sobą nie chciałam się przyznać do faktu, że Jesper zawładnął moimi myślami. W końcu jakaś przechodząca obok gospodyni szturchnęła mnie niechcący ramieniem. Koszyk, w którym starannie ułożyłam sprawunki, wysunął się z moich rąk i wszystkie warzywa wysypały się na bruk. Rzuciłam się zrozpaczona na kolana i poczęłam gorączkowo zbierać turlające się po ziemi kartofle i cebule. Obok moich uwalanych ziemią rąk pojawiły się nagle silne męskie dłonie. Zagarniały w błyskawicznym tempie rozsypane wokół nas, oblepione kurzem i błotem bulwy.

– Czekałem, kiedy w końcu się tutaj pojawisz. – Jesper uśmiechnął się blado i włożył ostatni kartofel do koszyka.

– A ja szukałam ciebie – odpowiedziałam odruchowo i poniewczasie ugryzłam się w język. Czułam, że moja twarz czerwienieje aż po nasadę włosów.

– Mam pół godziny – szepnął. – Potem muszę pomóc ojcu przy rozbieraniu tusz wołowych. Chodź, pokażę ci coś.

Chwycił mój koszyk, pociągnął mnie mocno za rękę, a ja, nie opierając się, podążyłam za nim. Przebiegliśmy przez rynek i weszliśmy w jedną z odchodzących od niego uliczek. Na jej końcu wznosiła się ceglana ściana miejskich murów obronnych z górującą nad nimi wieżą Huybrechtstoren. Jesper błyskawicznie odnalazł wykute w kamieniu strome schodki prowadzące na flanki. Opierałam lewą rękę na jego ramieniu i dysząc ciężko, wspinałam się na górę. Moja prawa dłoń dotykała popękanej gęsto ściany. Załamania muru pokrywały delikatne, przypominające bluszcz pnąca, obsypane gęstym kwieciem w kolorze dojrzałego bakłażana.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się na szczycie, z ulgą zamknęłam oczy i wciągnęłam głęboko do płuc przesiąknięte zapachem wody powietrze. Nagle poczułam subtelny jak muśnięcie skrzydeł motyla dotyk palców na moich policzkach. Zdumiona podniosłam powieki. Jesper wpiął kilka kwiatków w okalające moją twarz włosy. Ten czuły gest sprawił, że zmiękły mi kolana. Podniosłam dłoń i przytrzymałam przez kilka sekund jego rękę, a potem rozejrzałam się dookoła. Mury obronne, pod którymi staliśmy, otaczały wody Schiekanaal, płynące pomiędzy zielonym pasmem nizin ciągnących się aż po horyzont szerokiego nieba.

– Widzisz tam daleko wiatraki i rozrzucone jak zabawki wieże i gospodarstwa? – zapytał Jesper i spojrzał na mnie tkliwie. – Są tak małe, jak motywy malowane błękitną kreską na porcelanie.

– Ojciec mówił, że możni panowie nie chcą już na kaflach wiatraków, polderów i pasących się na łąkach krów. Te rysunki się znudziły. Teraz każdy chce walczące ze sobą smoki i puszące ogony pawie.

– Twój ojciec pracuje w manufakturze porcelany? Której? Błękitny Koliber czy Niebieska Filizanka?

– W Błękitnym Kolibrze – wyjaśniłam. – Jego pan nazywa się Mulder.

– Od kiedy pamiętam, Mulderowie i Houbenowie ze sobą konkurują. Porcelana tych drugich nie ma duszy, chodzi jedynie o zarobek. To tylko zwykłe solidne talerze i kubki. Za to stary Mulder ma podobno w swoich szeregach jakiegoś niezwykle zdolnego malarza. Dlatego ich wazy i naczynia nie mają sobie równych. Może twój ojciec wie, kto to taki?

– Zapytam go – mruknęłam i zerknęłam dyskretnie na Jespera.

Miał mocno zarysowany podbródek i lekko zadarty nos obsypany złotymi piegami. Kiedy się uśmiechał, w kącikach jego oczu pojawiały się drobniutkie zmarszczki.

– Malujesz coś teraz, Jes? – Miałam ochotę pogłodzić chłopaka po ryżej czuprynie.

– Ojciec nie daje mi chwili wytchnienia, ale od czego są noce? –

Uśmiechnął się zawadiacko. – Chciałbym teraz po raz pierwszy zamiast widoczków namalować portret. Tak piękny, naznaczony światłem i cieniem, jak *Dziewczyna z perłą* Vermeera. Przybiłem już płótno do krosen. Najpierw nasączyłem je olejem kostnym, potem wapnem, a na końcu pokryłem kredą bolońską. Wszystkie pędzle i farby trzymam głęboko w szafie, żeby nikt ich nie dojrzał. Choć i tak mam wrażenie, że matka niedługo zwęszy przenikliwe zapachy terpentyny i oleju lnianego. Wczoraj widziałem, jak myszkowała po strychu, gdzie mam swoje królestwo.

– Nie powiedziałaś jeszcze, czyj portret namalujesz, Jes. Jakiejś bogatej urodnej mieszczki?

– Zobaczysz już niedługo... – odparł wolno, jakby ze smutkiem, a potem dodał: – Mam coś dla ciebie, Cornelio. – Sięgnął za pazuchę i polecił: – Wyciągnij przed siebie obie ręce.

Po chwili na moich dłoniach leżał szkicownik w pięknej skórzanej oprawie i pędzel z pogrubianą drewnianą rączką.

– Jest wykonany z włosia sobolowego – powiedział Jesper. – Obiecuję, że kiedyś coś nim dla mnie namalujesz. A teraz naprawdę muszę wracać, bo inaczej ojciec postawi na nogi całe miasto.

– Nie wiem, czy mogę przyjąć od ciebie taki drogi podarunek – szepnęłam, dotykając opuszkami palców miękkiego włosia pędzla.

Jesper wyjął mi go z ręki i omiół nim moje policzki.

– Możesz, głuptasie...

Załaskotało mnie w nosie. Roześmiałam się dźwięcznie, beztrosko.

– Do tej pory największe marzenie chowałem na dnie serca... – wyznał Jesper, jeszcze niedawno tylko obcy dla mnie syn rzeźnika. – Pragnienie, żeby zostać malarzem. A teraz mam je już dwa, bo chciałbym, żebyś ty również mogła malować, Cornelio.

Rozdział V

Bogna

Delft, 2020

– Nie wiem jak wy, ale ja przez całą noc nie zmrużyłem oka! – Ignacy z bladą twarzą i podkrążonymi oczami stąpał po schodach, przesadnie ostrożnie stawiając kroki. – To łóżko było twarde jak cegła! Cóż to za wyjątkowo podły hotel! Ale tak to jest, jak się szuka noclegu na ostatnią chwilę!

– Myślę, że ani hotel, ani łóżko nie mają tutaj nic do rzeczy – prychnęła Tereska. – Łziesz jak pies! Chrapałeś tak głośno, że w pewnym momencie miałam ochotę nakryć cię poduszką i udusić!

– Zawsze wiedziałem, że masz mordercze skłonności. Jeżeli więc, wybaczyć, ale wyrażę się bardziej kulturalnie, kłamię jak z nut, to skąd w takim razie u mnie ten ból pleców i głowy? Oczywiście, że z niewyspania! – nabzdyczył się.

– Przypuszczam, że raczej z przedawkowania piwa z browaru Miedziany Kocur! Ledwo cię wczoraj wtaszczyliśmy z Małgosią na górę! Już nie wspomnę o tym, że przez cały czas zamęczałeś nas opowieściami o barmanie Luuku. Nawet przez sen mruczałeś o jego niezwykłych zdolnościach do przyrządzania magicznych koktajli.

– To czysta prawda. – Ignacy nagle się ożywił. – *By the way*, umówiłem się z nim na śniadanie. Która jest właściwie godzina? Żebym się tylko nie spóźnił. Taki mężczyzna jak Luuk nie może na mnie czekać!

– Tylko nie planuj zbyt wielu magicznych aktywności, bo już dzisiaj opuszczamy Delft i twojego Harry’ego Pottera. – Małgosia bez pardonowo sprowadziła przyjaciela na ziemię.

– Idźcie już na to śniadanie, ja zaraz do was dołączę – oznajmiłam, kiedy wszyscy znaleźliśmy się już przed recepcją. – Ureguluję tylko rachunek. Potem się rozliczymy.

Za kontuarem siedziała Nienke, ubrana tym razem w czarną koszulę w podłużne białe pasy. Tuż obok stał wysoki sędziwy mężczyzna w szylkretowych okularach i tradycyjnych drewnianych sabotach na gołych

stopach. Jego gęste siwe włosy były starannie zaczesane do tyłu. Przeglądał od niechcienia jakieś leżące na ladzie ulotki.

– Oddaję pani album. – Wręczyłam dziewczynie pożyczoną wczoraj książkę. – I poproszę o rachunek. Płacę kartą – powiedziałam szybko i sięgnęłam do torebki.

– Mam nadzieję, że pomimo tych początkowych perturbacji z pokojami pobyt był udany! – Nienke wstała z krzesła i dygnęła zabawnie, jak pensjonarka.

– Jak najbardziej. Nie zdążyliśmy wprowadzić wczoraj już niczego zobaczyć, ale przynajmniej popróbowaliśmy lokalnych piw. – Zmrużyłam filuternie oko. – Bardzo dziękuję za polecenie browaru Koperen Kat – dodałam. – Liczę na to, że skuszę moich znajomych na odwiedzinę w jednej z lokalnych manufaktur porcelany.

Siwowłosy mężczyzna z ciekawością uniósł wzrok.

– Przepraszam za śmiałość... – powiedział i poprawił opadający na czoło kosmyk. – Jeżeli interesuje panią porcelana, to zapraszam do galerii, tutaj niedaleko, przy Molenpoort. W całym Delfcie nie ma drugiego takiego miejsca, zapewniam. Polecam je tym bardziej, że dzisiejsze rezultaty masowej komercyjnej produkcji dalekie są od sławnych pierwowzorów. Naprawdę szkoda na nie pieniędzy.

– Bardzo łatwo jest odróżnić falsyfikat od oryginału. Wystarczy spojrzeć na sygnaturę – odpowiedziałam lekko. – Poza tym, jeżeli mówimy o podróbkach... Jesteśmy teraz przyzwyczajeni do chińskich replik wielu produktów europejskich. A przecież przed setkami lat to my, Europejczycy, podrabialiśmy oryginalne chińskie wzory, nie mogąc stworzyć równie idealnej receptury na te kruche cacka.

– Zna się pani na porcelanie? – zapytał nieznajomy. Zdawał się zdumiony faktem, że jakaś ubrana w poszarpane dżinsy cudzoziemka w samym sercu Delftu robi mu wykład na temat historii ceramiki.

– Mój dziadek ponad czterdzieści lat pracował w tej branży – odparłam. – Zawsze powtarzał, że jego serce już od czasu narodzin jest zrobione z porcelany.

– To tak jak moje. – Roześmiał się. – Tym bardziej panią do siebie zapraszam.

- A jak się nazywa pańska galeria?
- *Blauwe Kolibrie*. Błękitny Koliber.

Na kilka godzin przypadliśmy z dziewczynami w królestwie delftyjskiego fajansu. Ignacy sprytnie wymiksował się z wizyty w muzeum, gdyż – jak stwierdził – interesowały go bardziej współczesne i „namacalne” eksponaty, udał się więc w kierunku znanego nam już pubu.

– Niepotrzebnie się wikła w kolejny romans. Będą z tego wyłącznie kłopoty, wspomnicie moje słowa – krakała Tereska.

– Jest dorosły, daj mu popełniać własne błędy – łagodziła Małgośka.

– Dorosły?! To skoncentrowany na sobie dzieciak! Pamiętasz, jak musiałyśmy go reanimować prawie dwa miesiące po tej aferze z pośrednikiem nieruchomości? O mało co, a przehandlowałyby twoją kawalerkę za pół ceny tylko po to, żeby zwrócić na siebie jego uwagę! – zagrzmiała.

– Nawet mi o tym nie przypominaj – odparła ponuro Małgosia. – Musiałam zmienić agencję, a co się wtedy najadłam wstydu, to moje.

– Luz, dziewczyny, przecież Ignac nie zaangażuje się w nic poważnego zaledwie po kilku godzinach spędzonych razem z tym barmanem. To tylko wakacyjna przygoda. Wiecie, jaki on jest. Zapala się gwałtownie jak ogień, a potem gaśnie jak zdmuchnięta świeca – uspokajałam przyjaciółki. –

A teraz zostawcie na chwilę życie uczuciowe Ignaca i skupcie się na prawdziwej sztuce!

Stałyśmy właśnie przed wejściem do muzeum Royal Delft.

– Wytłumacz mi w końcu, dlaczego raz mówisz „porcelana”, a kiedy indziej „fajans”? Przecież to chyba nie to samo? – zagadnęła Tereska i zdjęła z nosa przeciwsłoneczne okulary.

– Tak naprawdę te wyroby, które zaraz zobaczycie, to właśnie fajans, ale tak się zwyczajowo, historycznie utarło, że mówimy na niego „porcelana z Delftu” – wyjaśniłam. – Przed wiekami sprowadzane z Chin wazy były niezwykle drogie, a poza tym długa podróż, którą musiały odbyć do Europy, w tym częste sztormy, narażała je na zniszczenia. A na takie straty bogaci, ale umiejący liczyć każdy grosz holenderscy kupcy nie mogli sobie pozwolić. Dziadek mówił, że skąpstwo popchnęło ich do działania.

– I sprytnie wymyślili, że sami zaczną produkować imitacje porcelanowych chińskich cacek. Proste jak drut! Wszędzie tam, gdzie chodzi o pieniądze, kreatywność jest najbardziej pożądaną cechą – podsumowała Tereska, po czym weszliśmy do budynku.

Z wypiekami na twarzy spojrzałam na obramowany błękitnymi motywami olbrzymi obraz przedstawiający charakterystyczne sygnatury, którymi oznaczano każdy oryginalny wyrób opuszczający delftyjskie fabryki. Zatopiłam się we wspomnieniach i przeniosłam do pakamery dziadka, gdzie uczył mnie tajników nakładania farby na porcelanę. Nie miał wyjścia po tym, jak ukradłam z toaletki babci jej nowy lakier do paznokci i pomalowałam nim dwie stojące w pracowni filiżanki. Babcia najpierw wpadła w furję, ale już po kilku godzinach z dumą podziwiała stworzone przeze mnie lakierem bohomy.

Potrząsnęłam energicznie głową. Nie, nie mogłam teraz myśleć o babci, gdyż na samo wspomnienie jej dobrej, czulej twarzy łzy gromadziły się pod moimi powiekami, a nie chciałam się przecież rozklejać na samym środku muzealnej sali.

Nagle w mojej torebce rozdzwonił się telefon. Cholera, na śmierć zapomniałam go wyłączyć!

– Błagam, zabierzcie mnie stąd – chlipnął do słuchawki Ignacy. – Już nigdy nie dam się nabrać na żadne czułe słówka! Dlaczego ludzie są tacy podli? Zostałem haniebnie zwiedziony na manowce!

– Wykrakałaś w złą godzinę. Nasz orędownik wolnej miłości jest już w tarapatach – szepnęłam do Tereski. – Co się stało? Gdzie ty jesteś?

– Czekam na was przed hotelem. Siedzę na walizkach. Dosłownie! Luuk okazał się najzwyklejszym w świecie naciągaczem, dybiącym na moje dobre i naiwne serce. Nie pozostało mi nic innego, jak zawiesić kamień u szyi i....

– Nie rozpędzaj się, Ignac! Opowiesz nam o wszystkim, kiedy się spotkamy – przerwałam mu zniecierpliwiona w pół słowa. – Dziewczyny, musimy się zbierać, bo nasz nieborak grozi, że jak za chwilę nie wysłuchamy jego łzawych opowieści, rzuci się do kanału.

Pospiesznie zawróciłyśmy w kierunku wyjścia. Obiecałam sobie, że niedługo przyjadę tutaj znowu. Nie spodziewałam się jednak, że los już

obmyślał dla mnie czekającą za rogiem zaskakującą przygodę...

W drodze do hotelu, kiedy przedzierałyśmy się przez plataninę klimatycznych wąskich uliczek, nagle moją uwagę przyciągnął charakterystyczny szyld na jednej z kamienic. Przedstawiał małego ptaszka z rozpostartymi skrzydłami i ostrym, cienkim dziobem. Zerknęłam na witrynkę, którą wypełniał wszechobecny błękit. Przypomniała mi się poranna rozmowa w hotelowej recepcji.

Koliber... Błękitny Koliber. To ta galeria, do której odwiedzenia zachęcał mnie starszy mężczyzna w sabotach! Musiałam zobaczyć, co się kryje w jej wnętrzu. Spojrzałam szybko na zegarek, a potem na maszerujące przede mną przyjaciółki.

– Dziewczyny, idźcie reanimować naszego kochliwego nieboraka! – zawołałam. – I zabierzcie go na jakiś obiad. Tylko, Boże broń, nie do Miedzianego Kocura. Po drugiej stronie kanału widziałam sympatycznie wyglądającą włoską knajpkę. Ja niedługo do was dołączę.

Nie czekając na odpowiedź, pchnęłam zdecydowanie drzwi prowadzące do środka. Tuż nad moją głową rozległ się dzwoneczek. Pomieszczenie było dłuższe i węższe, niż się spodziewałam. Wypełnione od podłogi po sufit staroświeckimi drewnianymi półkami, na których stały najróżniejszej wielkości naczynia. Czegóż tu nie było?! Pękate wazy, strzeliste wazony, fikuśne figurki, kubki, filiżanki i miniaturowe szkatułki z frymuśnymi zameczkami, w których tkwiły kłódki wielkości krasnoludka. Biel i błękit. Błękit i biel. I taki sam zapach kurzu, drewna i kleju jak w pakamerze dziadka...

Podeszłam do jednej z półek i chwyciłam zabarwioną niebieskością filiżankę, po czym odruchowo odwróciłam ją do góry dnem.

– Widzi pani sygnaturę? – odezwał się nagle męski głos. – To inicjały twórcy, data rozpoczęcia działalności naszej manufaktury i nazwa „Delft”. Początkowo nanoszono je ręcznie, pędzlem lub specjalną matrycą.

Drgnęłam i podniosłam oczy. Przede mną stał poznany w hotelu sędziwy mężczyzna. Jak na swój wiek trzymał się niezwykle prosto. Tym razem miał na stopach oprószone pyłem trzewiki.

– Przepraszam panią, ale chyba się jeszcze nie przedstawiłem. – Skłonił się lekko. – Nazywam się Jacob Mulder. Jestem praprawnukiem założyciela

manufaktury, w której powstała trzymana przez panią filiżanka. I jak wizyta w naszym znanym i przepełnionym turystami muzeum? Podobało się pani? – Jak widać, miał doskonałą pamięć.

– Czyżbym słyszała w pana głosie ironię? – zapytałam, przekrzywiając lekko głowę. Babcia twierdziła, że robiłam to zawsze, kiedy czułam się zaintrygowana lub rozgniewana.

– Skądże! – zaprotestował. – Raczej żal, że ludzie wolą teraz chadzać utartymi ścieżkami, zamiast starać się poznać prawdę. To tutaj, w tym miejscu, bije prawdziwe serce tego miasta, a nie w przybytkach, które są ukierunkowane wyłącznie na zarobek. Ci ludzie, odwiedzający tak tłumnie kolejną atrakcję na mapie, widzą w porcelanie jedynie glinę zmieszaną z wodą i wypalaną w piecu.

– A pan? Co pan w niej widzi?

Mulder wyprostował się dumnie.

– Ja od zawsze przypisuję jej magiczne właściwości. Przez całe wieki nikt w Europie nie zgłębił tajemnic jej tworzenia. Brakowało nam finezji i cierpliwości.

– I sprytu, który mieli Chińczycy, masowo sprzedając porcelanę bogatym kupcom przez pośredników, w znacznie zawyżonej cenie. Chyba tylko przyprawy wzbudzały podobnie gorące emocje.

Mulder spojrzał na mnie z uznaniem.

– Przyprawy były równie trwałe jak ten cenny kruszec. Cienki, a jednocześnie niezwykle wytrzymały. Tak naprawdę to Marco Polo przetarł porcelanie ścieżki handlowe na naszym kontynencie.

– To były czasy! Widzę oczyma wyobraźni, jak europejscy możni toczą zacięte boje o najpiękniejsze porcelanowe okazy, a ich ochmistrynie o najbardziej aromatyczne przyprawy. To musiało być niezwykle widowisko! Wie pan... czasem żałuję, że urodziłam się w tak mało przełomowych czasach. Technika mnie nie kręci. Jestem starej daty. Może dlatego, że wychowywali mnie dziadkowie. – Sama nie mogłam zrozumieć, dlaczego mówiłam o tym obcemu człowiekowi.

Mulder nie był bynajmniej zaskoczony moją otwartością.

– Jesteśmy w mniejszości, tym bardziej więc cenni... A jeżeli już o wartości mowa... Wie pani, że setki lat temu tylko koronowane głowy

i najzamożniejsi szlachcice mogli sobie pozwolić na osiagające zawrotne ceny porcelanowe figurki, talerzyki i filiżanki?

– Oczywiście! – potaknęłam. – Wyszperałam gdzieś informację, że król Ludwik XVI namiętnie kolekcjonował porcelanę. Miał nawet w swoim pałacu specjalną komnatę, w której zgromadził niezwykle cenne zbiory.

– *Incredibilis!* Czy jest coś, czym mnie pani jeszcze zaskoczy? – zapytał po chwili milczenia Mulder.

Roześmiałam się.

– Być może swoim słowiańskim pochodzeniem. Nazywam się Bogna Zasławska. I doskonale rozumiem wypowiedziane przez pana słowo. Uczyłam się łaciny na studiach medycznych. – Zmrużyłam filuternie oko.

– Proszę, kolejna niespodzianka! Czyli nie jest pani artystką, a lekarzem?

– Nie do końca... – Uśmiechnęłam się tajemniczo. – Podobnie jak pan nie lubię utartych ścieżek. Kiedy droga jest zbyt prosta, zawsze staram się skręcać w bok.

– Oprócz tego skręcania i łaciny, które niewątpliwie nas łączą, ma pani ogromną wiedzę o tej kruchej materii, jaką jest porcelana. I dlatego mam dla pani bardzo nietypową propozycję...

Przesławice, dwa lata wcześniej

– Tylko obiecaj mi, że nie będziesz się złościć. A jeżeli chodzi o pieniądze, to przysięgam, że wszystko ci zwrócę. Zarobię na zmywaku w Londynie, podobno na gwałt szukają tam pomocy kuchennych.

Dziadek siedział pod oknem, na swoim ukochanym wytartym przy łokciach fotelu, i patrzył na mnie przerażonym wzrokiem.

– O czym ty mówisz, dziecko? – wyjąkał. – Masz problemy? Narobiłaś długów?! Narkotyki? A może jakieś inne używki? Jak wy to tam nazywacie? Dopalacze? Mów mi tutaj wszystko jak na spowiedzi! Razem znajdziemy jakieś rozwiązanie! Słyszałem, że dzieciaki, które mają dużo nauki, wspomagają się tą chemią, ale nigdy nawet słówkiem nie wspomniałaś, że te studia kosztują cię tyle wysiłku.

– Dziadziusiu, żadne dopalacze! – Wzdrygnęłam się. – Naprawdę masz mnie za takiego głuptasa? Dwa razy zdarzyło mi się zaciągnąć marihuaną

z dobrego źródła, ale miałam po niej takie zawroty głowy, że dla takich efektów wolę pójść na karuzelę w wesołym miasteczku. Zdrowiej i taniej!

– To o co chodzi? – Dziadek łypnął na mnie zafrasowany. – Ta medycyna cię wykańcza? Jeżeli o mnie chodzi, naprawdę nie musisz zdawać wszystkich egzaminów w terminie zerowym. Nigdy od ciebie nie wymagałem, żebyś była prymuską. To babcia lubiła się chwalić w towarzystwie, że tak dobrze radzisz sobie w szkole. Ty wiesz, że przechowywała wszystkie twoje świadectwa z czerwonym paskiem w specjalnej szufladzie w komodzie? Miała takie swoje rytuały. Wyciągała te cenzurki wieczorami i wygładzając palcami niewidoczne zagniecenia, powtarzała, że jest z ciebie taka dumna. Sama nie mogła studiować, jej rodzice mieli gospodarstwo rolne i Marianka zaraz po maturze ugrzęzła w oborze. A tak chciała zostać weterynarzem...

– Miałam nadzieję, że będąc lekarzem, zdołam ją uratować... – powiedziałam szybko. – Ale to życiowe zadanie mnie przerosło, dziadziu. A teraz już jej z nami nie ma... Lubię się uczyć i przychodzi mi to z łatwością, nawet to zapamiętywanie tysiąca z pozoru podobnych do siebie łacińskich nazw, które spędzają sen z powiek wielu moim kolegom z roku.

– To o co chodzi, Bogienko? – Dziadek spoglądał na mnie czule, z miłością.

– Straciłam pasję do medycyny. To fakt, jestem najlepsza na roku, ale nie przynosi mi to żadnej satysfakcji. A na samą myśl o przyszłości w jakiejś rejonowej przychodni cierpie mi skóra. Wiem, że włożyłeś w moją edukację mnóstwo pieniędzy, dlatego powtarzam...

– Przestań ciągle mówić o pieniądzach! – huknął dziadek. – Mówisz tak, jakbym był jakimś cholernym lichwiarzem! Gadaj wprost, o co tak naprawdę chodzi!

– Chcę zmienić kierunek studiów – wyjąkałam w końcu.

Dziadek chwycił mocniej za oparcie fotela.

– Czy to rozsądne, dziecko? – zapytał po chwili spokojnie. – Jesteś już na finiszu. Myślałem, że przynajmniej zrobisz dyplom.

– Nie finiszuję, dziadziu. Jestem dopiero na początku drogi. I nie chcę rezygnować ze swoich planów. Zamierzam robić to, co daje mi radość

i spełnienie. Od nowego semestru zaczynam studia na akademii sztuk pięknych.

Dziadek wypuścił w końcu powietrze z samego dna płuc.

– To trochę twoja wina, staruszk. To ty podarowałeś mi pierwsze pędzle i naciągnąłeś na blejtram płótno. Proszę, nie bądź na mnie zły. Jeżeli cię rozczarowałam, to bardzo przepraszam...

– Nie gadaj głupot, dziecko. Akademia to było moje marzenie, które ty teraz spełnisz. Ja nie miałem tyle odwagi, żeby je zrealizować, ale zrobię wszystko, żeby pomóc w tym tobie.

Rozdział VI

Cornelia

Delft, 1881

Kiedy bliźniaki spały, a matka szła pracować ich miniaturowe ubranka w wodach kanału, przekradałam się na tyły domu. Już od kilku dni gromadziłam tam deski, które układałam starannie na poprzecinanej gęsto bujnymi chwastami trawie. Jej głęboka zieleń wdzierała się do mojej głowy i zagarniała w objęcia wszystkie myśli. Byłam zafascynowana tą barwą, tak soczyście kontrastującą z szarością chałupy i zimnym kolorytem nieba. Zrywałam pojedyncze źdźbła i oglądałam je skrupulatnie jak przez szkło powiększające, które widziałam kiedyś w rękach żydowskiego kupca na rynku. Na spodzie były malachitowe, potem łagodnie przechodziły w kolor pistacji z domieszką mięty, a na końcu w przyprószony ziemią oliwkowoszałwiowy. Natura była najgenialniejszym twórcą, któremu nie umiałam dorównać. Jesper powiedział mi niedawno, kiedy ukryci za załomem murów miejskich siedzieliśmy obok siebie w trawie, że nie istnieje taka farba, która przypomina choć w niewielkiej części ten kolor. Nie było zieleni, którą moglibyśmy utłuc i ot tak rozetrzeć na palecie.

– Jak zatem malujesz ten odcień na swoich obrazkach?

– Mieszam ze sobą niebieski i żółty – wyjaśnił mi cierpliwie, jak nikt nigdy wcześniej. Może tylko Zwaantje umiała mi podobnie tłumaczyć świat, bez krzyków i pośpiechu, ale jej już ze mną nie było.

– Niebieski... mój ulubiony kolor. – Rozmarzyłam się jak mała dziewczynka na widok słodkich karmelków.

– Najpiękniejszy jest ten utarty w kamiennym moździerzku z kawałków lapis-lazuli... – odpowiedział Jes i wyciągnął zza pazuchy zeszyt. Cały czas coś w nim kreślił i szkicował, ale nie chciał mi pokazać swoich rysunków.

Ech, gdybym miała to lapis-lazuli... ale nie było mnie stać na takie drogie kamienie. Na razie musiało mi wystarczyć to, co posiadałam. Kawałek czystego nieba, trawa i moje deski. Miałam ręce zdarte do krwi, ale żywiłam nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Wyglądałam kamieniami chropowatą powierzchnią drewna, żeby łatwiej było mi rozprowadzić farbę. Trzymałam ją w niecce, którą znalazłam w sieni. Ukradłam farbę ojcu, ale

się pocieszałam, że nawet nie zauważył jej braku. Przymknęłam oczy i próbowałam przypomnieć sobie krajobraz Delftu widziany przed kilkunastoma dniami z kamiennych flank na murach otaczających miasto. Chodziliśmy tam z Jesperem za każdym razem, kiedy robiłam sprawunki w mieście, a on mógł choć na chwilę wymknąć się z hali rzeźniczej. Ojciec wymagał od niego bezwzględnego posłuszeństwa. Nawet za kilkuminutowe spóźnienie karał go, bijąc grubym sznurem po plecach. Staraliśmy się z całych sił, żeby nasze spotkania nie trwały zbyt długo, ale czas zawsze biegł wtedy za szybko. Rozmawialiśmy, ale najczęściej milczeliśmy, z lubością przyglądając się przepływającym nad naszymi głowami chmurom. Miały różne kształty i w zależności od tego, jak padało światło, każde z nas widziało je inaczej.

– Lubię się z tobą spotykać – wyznałam pewnego dnia. – Nie czuję się zakłopotana ani gorsza, tak jak w obecności innych ludzi.

– Dlaczego miałabyś czuć się gorsza? – Jesper podniósł się na łokciach, a potem przewrócił na brzuch i wlepił we mnie rozanielone spojrzenie.

W ustach trzymał zerwane przed chwilą źdźbło jakiegoś ziela. Nagle zbliżył twarz do mojego ramienia i połaskotał mnie po naznaczonej drobnymi piegami nagiej skórze pomiędzy pasmem włosów a obojczykiem.

– Nie skończyłam nawet trzech klas szkoły przy kościele... – zaczęłam, marszcząc brwi na wspomnienie niedawnego koszmaru. – Dzieciaki drwiły ze mnie, nazywały czarownicą...

– Dlaczego? To raczej mnie powinny tak nazywać, w końcu mam rude jak wiewiórka włosy! – Roześmiał się, ale ja pozostałam poważna.

– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć... – Zmieszałam się. – Ja po prostu... widzę kolory.

– Cóż w tym dziwnego? Ja też je widzę.

– Ale u mnie jest inaczej – upierałam się. – Ja ich... dotykam. Smakuję jak dojrzałego owocu. I rozpoznaję ich smaki.

– Jak pachnie błękit? – zapytał cicho Jesper.

– Jak konwalie. Świeżo. Mocno – odpowiedziałam ożywiona. – Błękitny gryzie mnie w nos. Ale tak lekko, przyjemnie. Dokładnie jak teraz, kiedy połaskotałeś źdźbłem moją skórę.

– A jak smakuje żółty?

– Jest słodko-kwaśny. Tak jak ten kawałek ananasa, który ostatnio mi przyniosłeś. Żółty ścieka gęstą, lepką strużką pomiędzy palcami...

„Jeszcze nigdy nie jadłam takiego dziwnego owocu” – pomyślałam, ale nie powiedziałam już tego głośno.

– Nie jesteś czarownicą, Cornelio. Jesteś artystką. Moje życie było uboższe, zanim cię poznałem.

„Jesper rozumie mnie jak nikt inny na świecie” – pomyślałam. Chyba ostatnio bardziej lubiłam obcować z nim niż z rzeczywistością. Dobre wspomnienia łagodziły smutną codzienność.

Słońce padało teraz dokładnie na szczyt dachu naszej chałupy. Zastygłam z pędzlem w dłoni, a potem zaczęłam pewnie kreślić nim po desce. Wysuwając z ust na kilka milimetrów koniuszek języka, starałam się, żeby linie i łuki na rysunku wszędzie były jednakowo dokładne. Tak jak przykazał Jesper. Farba nie mogła się nigdzie rozpląwać, w każdym miejscu musiałam rozprowadzić ją równomiernie. Kiedy nałożyłam jej trochę za dużo i jakiś zawijas był namalowany za grubo, denerwowałam się i fukałam niecierpliwie pod nosem. Zwykła deska była dla mnie porcelaną. Nie mogłam jej zepsuć.

Nagle moja ręka zadrżała. Zza domu dobiegł mnie rozwścieczony krzyk matki.

– Cornelia! Wychodź natychmiast! Gdzie się znowu ukryłaś, ty niewdzięczne dziewuszysko?! Tym razem ci się nie upiecze!

Boże, matka musiała odkryć moją kradzież! Skoczyłam na równe nogi. Ale jak? Przecież to niemożliwe, żeby spostrzegła tak niewielki ubytek farby. Splunęłam szybko na obie dłonie i wycierając w spódnicę rozmazane na palcach lepkie smugi, czym prędzej pospieszyłam w kierunku, skąd dochodził jej głos.

Matka stała na szeroko rozstawionych nogach tuż przy wejściu do chałupy. Miała spuchniętą od płaczu karminową twarz. Kiedy mnie zobaczyła, ruszyła w moim kierunku niczym rozjuszona klacz.

– Ty podła! – krzyknęła i podniosła rękę. Po sekundzie poczułam na swoim policzku rozchodzący się promieniście piekący ból. Odruchowo zasłoniłam twarz. Matczyne razy spadały na moją głowę. – Latawico bez wstydu! Żebyś to ja się musiała przed gospodyniami w osadzie płonić

i wysłuchiwać obelg, że moje dziecko, że moja córka to... zwykła portowa dziewczka?!

Matka rozplakała się nagle żałością. Jej ramiona drgały, a po policzkach spływały ciężkie jak ziarna grochu łzy. Ogarnęła mnie bezbrzeżna żałość. Przypadłam do jej ramienia, chcąc ją przytulić, ale odepchnęła mnie tak mocno, że upadłam, uderzając czołem o kant drewnianego stołka. Spomiędzy moich włosów zaczęła kapać krew.

– Ja nie wiem, o czym mówisz! – zaczęłam gorączkowo, próbując zatamować palcami krwawiącą ranę. – Ktoś ci naopowiadał kłamstw! Ja niczego złego nie zrobiłam!

– Łżesz, aż ci się ze łba kurzy! A kto chodzi z synem rzeźnika nad kanał i gzi się w trawie? Jak śmiałaś tak nas z ojcem upokorzyć, niewdzięcznico?! – Oczy matki ciskały teraz pioruny.

Ukryłam twarz w dłoniach i zapłakałam bezgłośnie. Jak mogłam naiwnie wierzyć, że nikt nie zauważy tych naszych potajemnych schadzek?! Na co liczyłam? Przecież w tym mieście nawet mury miały oczy.

Złożyłam ręce niczym do modlitwy w ławie kościoła Nieuwe Kerk.

– Nie uczyniłam niczego, za co musiałabyś się wstydzić, przysięgam! Jesper to mój przyjaciel. Spotykamy się czasem, żeby porozmawiać. Nawet mnie nie dotknął. Nie pozwoliłabym mu na to. Dlaczego mi nie wierzysz i obrzucasz obelgami?

Matka ponownie zamachnęła się z całej siły, ale tym razem udało mi się uskoczyć. Chwyciłam w obie ręce spódnicę, uniosłam ją i zaczęłam biec przed siebie, na oślep, po omacku, coraz szybciej i dalej. Gonił mnie jeszcze przez chwilę jej krzyk. Moje bose stopy ślizgały się po pokrytej błotem ścieżce. A potem potknęłam się o wystający korzeń i runęłam jak długa, wpadając w jakąś dziurę. Nagle wszystko umilkło. I nastąpiła ciemność.

Obudziłam się z przeraźliwym bólem całego ciała na posłaniu w rogu izby. Na moim czole leżał wilgotny opatrunek. Próbowałam unieść nieco głowę, ale po kilku sekundach walki z jękiem opadłam na poduszki. Jak za mgłą widziałam siedzących przy stole rodziców, którzy szeptali coś między sobą. Ojciec gestykułował żywo, a matka wycierała oczy krajem fartucha.

– Wody – zachrypiałam i przymknęłam powieki.

Po kilkunastu sekundach poczułam cień na twarzy.

– Masz, pij! – Ojciec przystawił do moich ust blaszany kubek.

Chłód naczyń ukoił spierzchnięte wargi. Kilka kropeł spłynęło wąską strużką na moją szyję, a potem, zdradziecko przenikając cienki materiał koszuli, dostało się pomiędzy uwięzione w kaftanie piersi.

– Napędziłaś nam z matką stracha... – powiedział surowo ojciec. –

Mogłaś złamać nogę na tych wykrotach albo, nie daj Boże, wpaść pod furmankę! Matka warzy teraz jadło, żebyś nabrała sił. Poturbowałaś się, ale nie wzywaliśmy medyka. Nie stać nas na niego. Jesteś młoda, silna, szybko się wykurujesz. Co ci strzeliło do głowy, Cornelio? Dlaczego nas tak zawiodłaś?

W tym momencie w moje nozdrza wdarł się zapach cebuli z domieszką mięsnych chrząstek. Przełknęłam głośno ślinę.

– Nie zrobiłam niczego złego, ojczy! Jesper... on maluje, wiesz? Nie chce pracować u ojca i porcjować mięsa. On mnie uczy... kolorów i techniki... żebym umiała opowiadać pędzlem... na porcelanie. Gdy skończę osiemnaście lat, będę się ubiegać o posadę malarki u Mulderów albo Houbenów. Jak zobaczą, że umiem to robić, to przecież mnie przyjmą, prawda? Potrafię rozcieńczać farby, tak żeby uzyskać jak najwięcej odcieni, oraz nazwać je i opisać – mówiłam coraz szybciej. – Teraz szkicuję na deskach, za domem. Kiedyś namalowałam kwiaty na zbitych kaflach, które wyrzuciłeś do śmieci. Każdy najmniejszy kawałeczek pokryłam swoimi rysunkami. Bliźniaki się potem nimi bawiły. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Powiedz coś, proszę...

Ojciec pochylił nisko głowę. Dopiero teraz zauważyłam, jak się postarzał w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy. W jego jasne włosy bezwzględnie wdzierały się siwe pasma. Tak jakby prószący coraz szybciej śnieg brutalnie zagarniał połacie kołyszącego się na wietrze dojrzałego zboża.

– Nigdy ci się to nie uda – rzekł w końcu. – Takich jak my... nie chcą na malarni. Ja też śniłem, żeby być artystą, Cornelio. A jestem zwykłym wyrobnikiem. Pracuję za marne grosze, które nie wystarczą na wielkopańskie marzenia. Nawet gdybym z całego serca chciał dla ciebie

wyrwać lepszą przyszłość, to i tak nie dam rady. Musimy się z tym pogodzić.

– Jesper opowiadał, że portrety francuskiej królowej malowała kobieta! Nie skazuj mnie na gorszy los, ojcze, tylko dlatego, że nie noszę męskiego imienia.

– Mąci ci ten chłopak w głowie i farmazony opowiada! – krzyknął nagle rozgniewany ojciec. – Tu nie chodzi o to, czy jesteś mężczyzną czy kobietą! Tu chodzi o nasze pochodzenie, rozumiesz?! Jesteśmy z niższej kasty i nikt się z nami nie liczy. Zostaliśmy stworzeni, by służyć panom, którzy mają pieniądze. A ty... z twoim talentem możesz co najwyższej kreślić palcem po niebie.

Poczułam, że pod moimi powiekami gromadzą się łzy. Ojciec w mig dostrzegł moją zwarzoną minę.

– Mam coś dla ciebie... – powiedział łagodniejszym głosem, po czym wyciągnął zza chałata wypolerowany starannie kafelek. – Zrobiłem go wczoraj. Podoba ci się?

Z nabożeństwem ujęłam w obie dłonie błyszczący bielą i kobaltem kafel. Przedstawiał stojących naprzeciw siebie chłopca i dziewczynkę. Malec miał zmierzwioną czuprynę, a jego towarzysza – zawiązany pod brodą na wielką kokardę czepek z podwiniętym rąbkiem i opadającymi końcami.

– Jest przepiękny, ojcze! Te dzieci wyglądają jak Jan i Frieda. Będę go wszędzie ze sobą zabierać. Zostanie moim talizmanem...

– Co tam tak szepczecie? – W zasięgu mojego wzroku pojawiła się nagle matka. – Skończcie te dysputy. Jeżeli jesteś na siłach wstać, to podejdź tutaj, córko. Inaczej przyniosę ci jadło i zjesz na posłaniu – oznajmiła zimno, nie patrząc mi w oczy.

– Chcę usiąść z wami przy stole – powiedziałam i z trudem dźwignęłam się z łóżka, za wszelką cenę starając się ukryć grymas bólu.

Bliźniaki wyjadały już potrawkę z talerza, rozsmarowując kawałki cebuli na stole. Dotknęłam delikatnie dłonią ich miękkich włosów. Frieda ułożyła pełne usta w dzióbek, a Jan złapał mnie za spódnicę i pociągnął mocno, zaśmiewając się do rozpuku.

– Cornelio, zostaw dzieci, musimy ci powiedzieć coś ważnego – poleciała sucho matka.

Zacisnęłam mocno szczęki i spojrzałam uważnie na oboje rodziców.

– Postanowiliśmy z Geertje, że pojedziesz na jakiś czas do siostry, do Alkmaar – zakomunikował ojciec. – Mamy nadzieję, że jej pani zgodzi się na dodatkową pomoc. Nie będziesz dostawać żadnej zapłaty, jedynie wikt i opierunek. Na razie nie możesz zostać w Delfcie, potem zobaczymy. Plotki mają to do siebie, że szybko się opatrują, ale teraz nie możemy ich ignorować.

Jęknęłam i ukryłam twarz w dłoniach. Ogarnął mnie ogromny wstyd, że zamiast cieszyć się na spotkanie z dawno niewidzianą siostrą, czułam smutek. Gdyby rodzice przekazali mi tę wieść kilka miesięcy temu, skakałabym z radości aż pod belki sufitu. Ale teraz, kiedy pojawił się Jesper, nie chciałam i nie umiałam się z nim rozstać.

Ojciec, tak jakby umiał przejrzeć moje myśli, ciągnął dalej:

– Ten twój... *compagnon* musi o tobie zapomnieć. Jesteś jeszcze za młoda na amory. Dla dziewczyny takiej jak ty reputacja jest najlepszym wianem. A teraz zabieraj się do jedzenia. Matka specjalnie dla ciebie kupiła świeżą cebulę i mięso. I dla twojej wiadomości, nie będziemy już chodzić do Hansa Kostera po ozorki i kotlety, musimy znaleźć sobie nowego rzeźnika.

Rozdział VII

Bogna

Delft, 2020

– Ciebie chyba Bóg opuścił! Nie zgadzam się na to! Chyba nie sądzisz, że wyjedziemy sobie beztrąsko, zostawiając cię tu samą na pastwę tych... podłych barmanów?! – Ignacy oparł plecak o balustradę mostku i ujął się pod boki.

– Nie zamierzam nawiązywać żadnych stosunków z podłymi barmanami. Mogę ci nawet obiecać, że ani razu nie zajrzę do Miedzianego Kocura. Słowo harcerza! – Podniosłam dwa palce w geście uroczystej przysięgi.

– Bogna, co cię napadło? To nie jest śmieszne... – Małgosia zmarszczyła brwi. – Najpierw nie stawiasz się na umówionym obiedzie, czekamy na ciebie godzinami, wydzwaniamy jak na pogotowie, a potem nagle zjawiasz się niczym udzielna księżna i jak gdyby nigdy nic oznajmiasz nam, że mamy wracać do Polski BEZ CIEBIE! Przecież ty nawet nie znasz tego człowieka! Wystarczyło, że uraczył cię jakąś rzewną bajeczką o porcelanie, a ty od razu przemeblowujesz całe swoje życie i ot tak decydujesz się zamieszkać w Delfcie? Stuknij się w głowę! A co na to twój dziadek?

Poczułam nagle palące wyrzuty sumienia przemieszane ze złością.

– Nie wciągaj w to mojego dziadka, Gośka. I przestańcie marudzić jak stare kwoki! Jestem dorosła i wiem, co robię.

– No właśnie chyba nie do końca... – mruknęła Tereska i odwróciła głowę w stronę kanału.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie?! – jęknęłam. – Nie dałam się sprzedać do domu publicznego, dziewczyny! Po prostu czuję, że mogę przeżyć tutaj fajną przygodę. Dajcie mi szansę! To był impuls... Mam trzy miesiące wakacji i zamiast zrywać francuskie winogrona dorobię sobie w sklepie z porcelaną. Mulder nieźle płaci. Sami musicie przyznać, że ta propozycja spadła mi jak z nieba.

Otoczona kruchymi bibelotami w Błękitnym Kolibrze zapomniałam o całym świecie. Jacob Mulder oprowadzał mnie po zapleczu, gdzie stały

drewniane skrzynie wypakowane po brzegi „białym złotem”.

– Większość okazów, które pani tutaj widzi – nawet najstarszych, tych w głębi pomieszczenia, za kotarą – jest w doskonałym stanie. Proszę tylko spojrzeć... – Mulder sięgnął na półkę i chwycił fikuśną filiżankę. Miała niezwykle gładką, niemal brylantową glazurę bez żadnych pęknięć, i ten koloryt!

– A sygnatura? Jak pan poznaje tanie podróbki?

– Współczesne kopie znaków to najczęściej najłatwiejsze do wykonania sygnatury naszkliwne. Nasze, oryginalne, są drukowane, kobaltowe. Mamy tu zresztą na zapleczu rozmaite publikacje z wzorami, do których można się odwołać w razie wątpliwości. Trzeba mieć do tego oko, bo czasami chodzi o drobne szczegóły, których większość ludzi nie zauważa.

– Myśli pan, że dam sobie radę? – zapytałam cicho. Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji, ale już czułam niezwykle podekscytowanie.

– Oczywiście! Inaczej nigdy nie zaproponowałbym pani tej pracy – zachnął się Mulder. – Potrzebuję kogoś, kto zinwentaryzuje i opisze wszystkie znajdujące się w galerii naczynia. Sam jestem już na to za stary i, nie ukrywając, za ślepy... To koronkowa i niezwykle żmudna robota. Nie zostało mi zbyt wiele czasu, a chcę przekazać co cenniejsze zbiory na cele charytatywne. Po kilkudziesięciu latach pora na ostateczną likwidację Błękitnego Kolibra. Nie mam już sił, żeby się tym wszystkim zajmować. Proszę zerknąć na to... – Jacob sięgnął do szuflady i po chwili trzymał w dłoniach pożółkły, nadpalony lekko na rogach pergamin, pokryty drobną czcionką. – To pismo z końca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Zawiera spis produkowanych przez Kolibra przedmiotów. Wszystkie powinny się znajdować w tych brązowych skrzyniach.

– Jest pan jedynym żyjącym członkiem rodziny Mulderów? Być może powinien pan skonsultować tę decyzję z kimś jeszcze? To wielka szkoda zamykać takie piękne miejsce... – dodałam, może zbyt śmiało, w końcu wcale się nie znaliśmy.

Jacob wyraźnie się zmieszał, ale błyskawicznie odzyskał rezon.

– Dwa lata temu zmarł mój jedyny brat, Eugène. To on się zajmował sprawami tej galerii, ja się do niczego nie wtrącałem. Po jego śmierci, chcąc

nie chcąc, musiałem przejąć rodzinną schedę. W Wielkiej Brytanii mieszka mój bratanek, ale nie mamy ze sobą serdecznego kontaktu. Po tej tragedii, która miała miejsce przed ponad stu laty, nasza rodzina już na zawsze się rozpadła.

– Tragedii? Mogę wiedzieć, co się stało? Chyba że to tajemnica, wtedy nie będę nalegać.

– To żadna tajemnica. Zresztą informacje na ten temat można znaleźć nawet w miejskich archiwach. Po koszmarnym pożarze, który strawił pod koniec dziewiętnastego wieku większość budynków naszej manufaktury, spłonęły również rodzinne więzi. Ale jeżeli pani pozwoli, o tych intymnych emocjach wolałbym nie rozmawiać. A teraz bardzo proszę nie trzymać mnie już więcej w niepewności i odpowiedzieć, czy zdecydowała się pani przyjąć moją nieoczekiwaną propozycję pracy. Zdaję sobie sprawę, że spadła na panią jak grom z jasnego nieba i, jak by to powiedzieć, wydaje się... dziwna... ale to tylko pozory. Mulderowie nigdy nie podejmują pochopnych decyzji. Nawet jeżeli są nagłe i zaskakujące.

– Jak pan myśli, jak długo potrzebowałby mnie pan w Kolibrze?

– Najwyżej kilka tygodni. Wszystko zależy od tego, w jakim tempie będzie pani pracować. Nie chciałbym wywierać żadnego nacisku, bo to, jak wspomniałem, koronkowa robota, wymagająca niezwykłego skupienia i uwagi. Nie ukrywam, że bardzo mi zależy właśnie na pani.

– Musiałabym znaleźć szybko jakieś lokum... – Zawahałam się przez chwilę, zdając sobie sprawę, że być może przeceniam swoje możliwości. W końcu nikogo tutaj nie znałam.

– O to proszę się nie martwić. – Mulder machnął ręką. – Nad sklepem znajduje się małe mieszkanie. Moja gospodyni odkurza i wietrzy je regularnie. Wystarczy zmienić pościel, wstawić do wazonu jakieś kwiaty i może się pani wprowadzać, choćby dziś. Tutaj są klucze. – Sięgnął do kieszeni i dobył z niej pęk wiszący na metalowej obręczy. – Jeżeli ma pani jeszcze jakieś pytania lub wątpliwości...

Bogienko, pamiętaj jedno: nawet jeżeli czasem coś wyda ci się głupie lub niedorzeczne, idź za głosem serca. Ono zawsze podpowiada nam właściwy kierunek. Tylko robi to bardzo cichutko. Trzeba się dobrze w nie wsłuchać, córeńko.

Dziękuję, babciu...

– Nie. Nie mam już żadnych wątpliwości – powiedziałam szybko. – Przyjmuję pana propozycję, panie Mulder. Muszę tylko powiedzieć o tym moim przyjaciołom. Mieliśmy dzisiaj razem wracać do Polski. Na pewno już się martwią, co się ze mną stało.

– Oczywiście. – Jacob potaknął głową. – Pozostały jeszcze kwestie finansowe. Co pani powie na dwa tysiące euro plus premia za wcześniejsze zakończenie porcelanowej misji?

Miałam nieodparte wrażenie, że chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Zgadza się. To uczciwa propozycja. Tym bardziej że oferuje pan również mieszkanie.

– *Excellent!* To chyba możemy w końcu uścisnąć sobie dłonie... współpracując. I przestańmy w końcu mówić do siebie na pani i pan!

Machając radośnie (przyznam jednak szczerze, że entuzjazm był trochę na pokaz) w stronę ruszającego powoli pociągu, w którym siedzieli moi naburmuszeni ciągle przyjaciele, przez chwilę poczułam się dziwnie. Chyba nikt z nas nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Wyruszając do Holandii, oczekiwałam dobrej zabawy, romantycznych rejsów łódkami po kanałach, szczypty historii i kultury, dobrego lokalnego piwa i smakołyków, włóczęg po uliczkach w oparach wszędobylskiej marihuany oraz nieprzespanych nocy pod rozgwieżdżonym niebem. Ta wyprawa skończyła się jednak inaczej. To był klasyczny przykład tego, że nie warto niczego planować, bo życie samo lubi pisać na gorąco nawet najbardziej niedorzeczne scenariusze. Kto wie, być może podjęłam zbyt pochopną i podyktowaną emocjami decyzję, ale w końcu niczego nie ryzykowałam. Mulder wydawał się solidny, praca, którą mi zaproponował, ciekawa, historyczne Delft – pełne tajemnic i niespodzianek, tylko... o rany... zapomniałam o jednej niezwykle ważnej kwestii...

Ciuchy! Przecież ja nie miałam się w co ubrać! Przed wyjazdem na zaplanowane kilka dni w Amsterdamie wrzuciłam do mojej podręcznej walizki na szybko dwie sukienki, jeden sweterek i parę dzinsów. Nie byłam żadną fashionistką, preferowałam minimalistyczny styl, ale nawet przy

najbardziej optymistycznych założeniach, że zostanę w Delfcie przez miesiąc, ta garderoba wydawała się zbyt skromna. Nie lubiłam kupować w sieciówkach, preferowałam małe sklepiki z duszą i oryginalnymi rzeczami, i takie też miałam upatrzone na mapie mojej rodzinnej miejscowości, ale gdzie ich szukać w Holandii?

Zawahałam się przez moment i nagle mnie olśniło! Przecież przewodnik z Amsterdamu dał mi namiary na jakiegoś genialnego lokalsa z Delftu! Kompletnie o tym zapomniałam! Zaczęłam grzebać w plecaku i po chwili wyciągnęłam pogniecioną niemiłosiernie kartkę z sielskim widoczkiem tulipanowych zagonów. Na jej odwrocie widniał nabazgrany naprędce numer telefonu. Przysiadając na jednej z ławeczek przed dworcem, bez wahania wbiłam rząd cyfr na moim wysłużonym smartfonie. Po chwili odezwał się, o dziwo, młody głos. Nie wiem, dlaczego myślałam, że każdy przewodnik musi już mieć swoje lata!

– *Met Ingmar*³!

³ hol. Mówi Ingmar.

– Bergman? – zażartowałam odruchowo.

„Co ja, głupia, robię? Przecież na samym wstępie odstraszam swoim grubiaństwem jedyną osobę, która być może będzie mi mogła pomóc!” – strofowałam sama siebie w myślach.

– Przepraszam, zagalopowałam się. – Błyskawicznie posypałam głowę popiołem. – Niech się pan mnie nie boi, raczej nie gryzę.

– Bez obawy, nie tak łatwo mnie przestraszyć! I błagam, żaden „pan”! – W słuchawce rozległ się śmiech. – Mogę być Bergmanem. Tym bardziej że to zdecydowanie komplement, a nie obelga. Już dawno nikt mnie tak nie rozbawił, szczególnie że moja mama rzeczywiście nadała mi imię na cześć tego szwedzkiego reżysera. Zachwycił ją filmem *Fanny i Aleksander*.

– Myślę, że Bergmanowi spodobałby się ciekawy wątek, z którym do ciebie dzwonię... Założę się, że nikt nie proponował ci dotąd fuchy osobistego doradcy zakupowego, a właśnie w tej sprawie się do ciebie zwracam. Dostałam twój numer od pewnego amsterdamskiego przewodnika...

– ...który zapewne przynudzał o lokalnych bardach? Niereformowalny Joost! Już tyle razy mu mówiłam, żeby zamiast rozwodzić się na temat

twórców, o których nikt nigdy nie słyszał, prowadzał turystów do najlepszego w Jordaanie coffee shopu, ale, jak widać, nadal mnie nie słucha.

– Za to nakręca ci klientów. Wspominał, że jesteś najlepszy w tej branży.
– Koloryzowałam nieco, ale ta rozmowa ogromnie mnie bawiła. Czyżbym już na samym początku delftyjskiej przygody trafiła na bratnią duszę? –

Bardzo potrzebuję twojej pomocy. A tak w ogóle mam na imię Bogna. Będę przez jakiś czas mieszkać w centrum miasta. Wczoraj tutaj przyjechałam, a dziś mam już pracę i dach nad głową. Do pełni szczęścia brakuje mi ubrań. I na gwałt potrzebuję doradcy...

– Zakupowego. Tak, już o tym wspominałaś. – Mogłabym się założyć, że Ingmar w tym momencie szeroko się uśmiechnął.

– Nie tylko – zastrzegłam szybko. – Jestem nieopierzonym kurczakiem, jeżeli chodzi o te okolice, więc jeżeli zechciałbyś mnie wziąć pod swoje skrzydła, będę ci bardzo wdzięczna. O ile mnie, oczywiście, na ciebie stać...

– O to się nie martw. Zaintrygowałaś mnie tym ekspresowym tempem, w jakim osiedliłaś się w Delfcie, dlatego zastosuję w twoim przypadku bardzo korzystną taryfę dla nowych przyjaciół. To kiedy i gdzie się widzimy, Bogna? Dziś już raczej za późno na zakupy, ale możemy się umówić na tak zwany towarzyski rekonesans. Chętnie poznam cię bliżej, skoro już mamy razem wybierać ci gatki. Co ty na to?

– Gatki to zdecydowanie świetny sposób na przełamanie pierwszych lodów! Wchodzę w to, Bergmanie!

Półtorej godziny później siedzieliśmy z Ingmarem pod pasiastą markizą kafejki Pod Błękitną Niezapominajką (czy naprawdę wszystko w tym mieście musiało mieć błękit w nazwie?). Lokal usytuowany był na starym rynku, w cieniu renesansowego ratusza z okiennicami w pięknym czerwonym kolorze.

Już zmierzchało. Rozwieszony nad nami sznur różnokolorowych lampek rozbłysnął nagle, rzucając na nasz stolik ciepłe światło. Po chwili kelnerka przyniosła nam polecane przez Ingmara piwo pod wielce obiecującą nazwą „Randkujący Tapir”.

– Macie tutaj niezwykle zabawne określenia lokalnych trunków – stwierdziłam i umoczyłam usta w jasnym napoju z grubą pianką. Miał w sobie delikatną goryczkę, która przyjemnie drażniła podniebienie. – Randkujący Tapir, Miedziany Kocur...

– Miedziany Kocur to nazwa naszego browaru – uściślił Ingmar. – Ale masz rację, w wymyślaniu nietypowych haseł jesteśmy niezrównani. Mamy jeszcze Delftyjskiego Zabijakę!

– Nie rób takiej groźnej miny. Wcale na niego nie wyglądasz.

Mój nowy znajomy był typowym holenderskim blondynem o jasnych, wręcz białych włosach, nakrapianej drobnymi piegami bladej skórze i niezwykle sympatycznym uśmiechu wiecznego łobuza. Od razu złapaliśmy *flow*.

– Jak to możliwe, że w tak młodym wieku zostałeś lokalnym przewodnikiem? – zapytałam zaintrygowana. – Skąd w ogóle taki pomysł na życie? Twój rówieśnicy raczej pracują w wielkich korporacjach.

Ingmar spojrzał na mnie przeciągle.

– Rodzinna tradycja – westchnął. – Nazywam się Willems, a to w Delfcie marka porównywalna z Vermeerem. Mój pradziad prowadził przed stu laty pierwsze w okolicy biuro organizujące wycieczki do Paryża, Florencji i na Lazurowe Wybrzeże. Nie miałem wyjścia. Urodziłem się pod portretem zacnego przodka, w salonie naszego domu na obrzeżach miasta. Można powiedzieć, że pradziadek mnie namaścił. Tak, wiem, poród w domu brzmi trochę staroświecko, ale w Holandii to normalne. Większość moich przyjaciół przyszła na świat w sypialniach swoich rodziców. Ja się pospieszyłem i moja mama nie zdążyła już się wdrapać na górę. Dobrze, że ojciec zdołał przynajmniej zwinąć perski dywan, który pradziadek przywiózł z zagranicznych wojaży. Ale już dość o mnie. Powiedz mi teraz, skąd ten pomysł, żeby zamieszkać w Delfcie. Kaprys czy konieczność?

– Jeżeli powiem ci, że bez oglądania się na konsekwencje podjęłam decyzję w ciągu kilku minut, to i tak mi nie uwierzysz! Moi przyjaciele, z którymi ruszyłam na holenderskie wojaże, są na mnie obrażeni, własny dziadek jeszcze nie wie, że wrócę do domu za kilka tygodni, a ja na gwałt muszę prosić obcych przewodników turystycznych o pomoc w zakupach!

– Już nie obcych – podkreślił stanowczo Ingmar i zmrużył jedno oko. – Mam wrażenie, że znamy się całe wieki. A co na to twoi rodzice?

– Oboje nie żyją – powiedziałam szybko. – Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam kilka lat. Pijany kierowca wymusił pierwszeństwo przejazdu na ostatnim skrzyżowaniu przed naszym domem. Byłam wtedy w przedszkolu i tak naprawdę niczego nie pamiętam.

– *Sorry*, nie chciałem... – Ingmar patrzył na mnie przeprasającym wzrokiem.

– Nie ma za co, skąd miałeś wiedzieć? – Wzruszyłam ramionami. – Funkcjonuję już z tą traumą przez większą część mojej ziemskiej egzystencji, zdążyłam się przyzwyczać. Wychowywali mnie dziadkowie. Powiem ci szczerze, że bardziej niż śmierć mamy i taty przeżyłam odejście mojej babci. To ona mnie wszystkiego nauczyła. I to, jakim człowiekiem jestem teraz, to głównie jej zasługa. Dziadkowi za to zawdzięczam miłość do porcelany. Całe życie pracował w miejscowej fabryce, w której ją produkowano.

– W takim razie Delft to idealne miejsce dla ciebie. Gdy już kupimy te ciuchy, zaprowadzę cię do kilku fajnych miejsc. – Ingmar ewidentnie się ożywił. – A co, jeżeli mogę wiedzieć, będziesz tutaj robiła? Zdradź, jak znalazłaś tak szybko pracę.

– I to poniekąd w zawodzie. – Roześmiałam się. – Będę pomagać inwentaryzować delfty⁴ w Błękitnym Kolibrze.

⁴ Potoczna nazwa ceramiki z Delftu.

Ingmar gwizdnął cicho przez zęby.

– Zatrudnił cię Jacob Mulder? To niesamowite! On nikomu nie ufa! Przed laty przyjaźnił się z moim ojcem, a potem nagle zerwał wszystkie kontakty i zaszył się w swojej willi w Hadze. Tę galerię prowadził przez wiele lat jego brat. Znasz historię tej rodziny? Jest bardzo dramatyczna.

– Coś tam wspomniał o pożarze, ale nie chciałam go zbyt wiele wypytywać. Odniosłam jednak wrażenie, że to dla niego ogromnie bolesny temat, chociaż nie może przecież pamiętać tej tragedii. Nie wiem wprawdzie, ile Mulder ma dokładnie lat, ale na moje spostrzegawcze oko wygląda na faceta ciut po osiemdziesiątce.

– Coś koło tego. Choć stylizuje się na bardzo zwawego staruszka – potwierdził Ingmar. – Nic dziwnego, że nie chciał zbyt opowiadać o szczegółach pożaru. To wydarzenie położyło się cieniem na całej rodzinie Mulderów. Tym bardziej że prowadzili jedną z ostatnich manufaktur w okolicy. W okresie największego rozkwitu delftów, w siedemnastym wieku, mieliśmy tutaj ponad trzydzieści fabryk produkujących fajans. Koliber był od początku w gronie najlepszych. Z czasem liczba producentów się zmniejszała, a jakość oferowanych wyrobów drastycznie spadała. Słyszałaś o Williamie Cookworthym? Nawet nie wspominaj o nim Mulderowi. To przez Cookworthy’ego i opracowaną przez niego nowatorską metodę delftyjska porcelana straciła na wartości.

– Dlaczego?

– Ten sprytny farmaceuta opracował metodę otrzymywania wypalającej się na biało gliny. Nie wymagała ona już nakładania dodatkowo glazury i *summa summarum* dawała lepszy jakościowo produkt niż nasze fajanse. A jako gwóźdź do trumny – można ją było nabyć za zdecydowanie niższą cenę...

– Ale co ma do tego pożar, który strawił Błękitnego Kolibra?

Ingmar namyślał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Ludzie przez całe lata gadali, że ten ogień nie wybuchł samoistnie. Ktoś mu w tym pomógł.

– To niezwykle ciekawe... ale pora wracać na ziemię. Musimy ustalić jeszcze ostatni szczegół... Twoją stawkę mojego przewodnika po Delfcie.

– A w Europie mawiają, że to Holendrzy są niezwykle pragmatyczni! – Roześmiał się. – Przemyślałem to. Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy, ale chętnie się z tobą zaprzyjaźnię, Bogno z Polski.

Rozdział VIII

Cornelia

Alkmaar, 1881

– Pssst... Cornelia... Cornelia, chodź tu. No chooodź...

Odwróciłam szybko głowę. Zza chałupy dochodziło mnie od kilku minut uporczywe nawoływanie. Spojrzałam uważnie na matkę. Ze ściągniętą twarzą prała w blaszanej misce ubranka maluchów. Ostatnio znowu zaczęły pokasływać i moczyć się w nocy. Matka z dłońmi popękkanymi od szarego mydła, zgięta od wiecznego bólu pleców z powodu ciągłego dźwigania marudnej Friedy, pojękiwała cichutko, dolewając do balii gorącą wodę z wielkiego czajnika. Zdawała się nie zwracać na mnie uwagi. Wstałam wolno ze stołeczka i położyłam kozik na skraju wielkiego rondla, do którego wrzucałam obrane ziemniaki.

– Ten nóż jest taki tępy – mruknęłam. – Poszukam za domem jakiegoś kamienia, żeby go naostrzyć – dodałam i czmychnęłam czym prędzej.

Z gęstwiny chwastów za naszą lepianką wystawał zadziornie czubek ryżej głowy.

– Zwariowałeś, Jesper? – syknęłam, oglądając się trwożliwie za siebie. – Jak ojciec cię tu zobaczy, nogi ci z dupy powyrywa! Rzykujesz życiem! Swoim i moim również! Wiele już przecierpiałam... Po coś przyszedł? Wysłałam ci przecież przez córkę Jensenów wiadomość, że na razie nie możemy się spotykać. Chyba że ta mała flądra pomyliła stragany i zaniósła list do innego rzeźnika.

– Trafiła prosto do mnie. Jeszcze jej dałem za fatygę garść flaków w worku.

– Idź stąd, ale już! – Tupnęłam ze złością, ale tak po prawdzie moje serce się radowało, że go widzę.

– Nie boję się twojego ojca. Niczego się nie boję! – oznajmił buńczucznie Jesper i wyskoczył z zarośli. – Musiałem cię zobaczyć, Cornelio. Nie złość się na mnie... Nawet nie wiesz, jak za tobą tęsknię...

Mój początkowy gniew przeszedł jak ręką odjął.

– Mnie również ciebie brak... – Westchnęłam ciężko. – Ale rodzice są nieprzejednani. Nie mogłam się nawet z tobą pożegnać, choć błagałam

matkę na kolanach. Za dwa dni wyruszam do Zwaantje, do Alkmaar. Będę płynąć łodzią po wielkim kanale – dodałam, nie bez dumy. Do tej pory jedynym miejscem, które widziałam na własne oczy, było Delft.

– A ci wielcy państwo, u których pracuje twoja siostra, zgodzili się na kolejną posługaczkę? – zapytał Jesper. – Oni, ci majątni mieszczenie, są bardzo łąsi na guldeny. Nie lubią ich wydawać bez potrzeby. Wiem coś o tym. Kucharki z takich rodzin targują się zawzięcie o każdy ochłap mięsa, bojąc się, że jak za dużo wydadzą, dostaną od swoich pań po głowie.

Odwróciłam zawstydzona oczy. Nie śmiałam mu powiedzieć, że nie będę otrzymywać za swoją posługę żadnego wynagrodzenia. Pani, u której pracowała moja siostra, zgodziła się na mój przyjazd pod warunkiem, że przejdę próbę, podczas której surowo oceni moje siłę, czystość i zaangażowanie. Bałam się tego sprawdzianu ogromnie, ale wierzyłam, że z pomocą Zwaantje ze wszystkim sobie poradzę.

– O nic się nie bój! Pani bardzo się cieszy na mój przyjazd. Nawet przygotowała już dla mnie czyściutkie... *bedstee*⁵ – łgałam jak z nut, nie chcąc, żeby Jesper się o mnie martwił.

5 Łóżko skrzyniowe to miejsce do spania wkomponowane w boazerię, w formie szafy, i zamykane drzwiami lub zasłoną, coś w rodzaju półkotapczanu.

– Czyli będziesz spała w szafie z podkulonymi pod brodę nogami – prychnął. – Pewnie ta twoja wielka pani jest strasznie skąpa, jeżeli każe swoim służącym leżeć w tym... kojcu! To przestarzałe rozwiązanie. Mój dziadek spał w *bedstee* z powodu zimna i braku opału, ale w mieszczańskich domach już się ich nie spotyka.

– Znalazł się pan postępowy! Jeżeli zamierzasz ze mnie drwić, to lepiej, żebyś zbierał manatki i wracał do swojego tatusia. Nic tu po tobie! – Uniosłam się gniewem.

– Cornelio, przepraszam, nie wiem, co mnie napadło – zmiarkował się Jesper. – Nie możemy się teraz kłócić. Proszę, obiecaj mi, że gdy tylko się tam urządzisz, prześlesz mi wiadomość. I nie będziesz mi kłamać. Powiesz całą prawdę, obiecujesz?

– Nie wiem, zastanowię się – burknęłam, ale pod moimi powiekami zaczęły się gromadzić łzy.

Jesper postąpił krok naprzód i dotknął, najdelikatniej jak umiał, mojego ramienia. Po sekundzie jego palce przesunęły się wyżej, po zagłębieniu szyi

wprost na mój rozgniony policzek. Nie potrafiłam już dłużej ukryć swojej żalości, wybuchnęłam płaczem i skryłam się w jego szerokich ramionach. Jesper przytulił mnie mocno do piersi. Cały mój strach i złość znikły, jakby ich nigdy nie było.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie... – powiedział w końcu. – Pierwszy list prześlesz do hali rzeźniczej. Pocztylion zostawi go na straganie z ziołami i przyprawami, u Josepha... Już się z nim dogadałem, za parę ozorków zrobi dla mnie wszystko. I nie zapomnij podać adresu zwrotnego tej wielkiej pani.

– Jes... ja słabo piszę... – przyznałam się ze wstydem. – Ale mogę dla ciebie rysować. To nawet lepsze, bo nie umiem pięknie mówić, ale potrafię pokazać swoje myśli na obrazku.

– Dobrze, kochana. Ale pamiętaj, dla twojego dobra musimy zachować najwyższą ostrożność. Ja nie boję się razów, ojciec niejednokrotnie zdzielił mnie sznurem do krwi, ale nie daruję sobie, jeżeli ktoś z twoich albo, nie daj Boże, ta wielka pani podniesie na ciebie rękę. Dlatego przyniosłem ci to... – Jesper urwał, a po chwili wyciągnął zza pazuchy buteleczkę z ciecżą o żółtawej barwie, przypominającej dojrzały kwiat słonecznika.

– Słowa mogą nas zdradzić. Dlatego będę wysyłać ci puste kartki.

– Puste? To głupie! Nic z tego nie rozumiem... – Nadąsałam się.

– Popatrz na to... – Jesper rozwinął na kamieniu zgnieciony karteluszek i znalezionym w trawie patykiem umoczoną w cieczy napisał coś na papierze⁶.

⁶ Jesper wykorzystał znany już wówczas atrament sympatyczny, którym zapisujemy niewidoczną na pierwszy rzut oka wiadomość. Dopiero po poddaniu kartki działaniu wysokiej temperatury lub użyciu odpowiedniego środka chemicznego na papierze pojawiają się litery.

– Mogę przeczytać? – Zmrużyłam oczy, nie mogąc dojrzeć jasnożółtych literek.

– Jeszcze nie, panno niedoczekalska – odpowiedział żartobliwie Jesper. – A teraz, proszę, podaj mi swoją rękę... – Wyciągnął zabrudzoną błotnistą ziemią dłoń.

Kiedy spełniłam jego życzenie, przytulił moje palce do swojego policzka i wodził nimi delikatnie po swojej pokrytej miniaturowymi igielkami skórze. Czulałam ogarniające powoli całe podbrzusze przyjemne ciepło. Z samego dna trzewi pragnęłam, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła...

Za moimi plecami rozległ się w oddali perlisty śmiech bliźniaków. Obejrzałam się trwożliwie w kierunku domu. Bałam się, że matka za chwilę skończy pranie i nakryje nas tutaj jak złodziei.

– Pokaż mi w końcu ten papier! – syknęłam zniecierpliwiona.

Jesper z niechęcią puścił moją dłoń i podstawił mi pod nos pergamin.

– Niczego tutaj nie ma! – zawołałam zdziwiona. – Oszukałeś mnie!

Jesper uśmiechnął się tajemniczo i szepnął mi do ucha:

– Kiedy wrócisz do domu, zbliż kartkę do płomienia świecy. Wtedy powinnaś zobaczyć, co takiego napisałem, panno Smid.

Nie zdążyłam już niczego odpowiedzieć, gdyż nagle poczułam jego oddech na swoich ustach. Delikatnie dotknął ich swoimi wargami, a ja zamarłam. Było mi tak dobrze, tak błogo... Jesper odsunął się ode mnie z ociąganiem, z trudem i powiedział:

– Znasz już tajemnicę sekretnego pisma. A teraz wracaj, Cornelio, zanim twoja matka zrobi raban. I nie zapominaj o mnie. Będę na ciebie czekał.

Wieczorem, kiedy rodzice układali się do snu, podeszłam do stołu. Ostrożnie rozpostarłam schowaną w rękawie nocnej koszuli kartkę – list od mojego chłopca. Tak, mogłam już go tak nazywać, przecież oficjalnie mnie pocałował. Delikatnie, tak żeby ogień nie zajął papieru, zbliżyłam kartkę do płomienia stojącej na blacie świecy. Po chwili na kartce pojawiły się równe i starannie wykaligrafowane literki.

Ik hou van je^Z.

^Z hol. Kocham cię.

Zacisnęłam mocno oczy, ale po moich policzkach i tak spłynęły dwie gorące łzy.

Trzymałam mocno swój zebraczy tobołek w dłoniach i niepewnie stawiałam pierwsze kroki na obładowanej wielkimi, ciężkimi skrzyniami towarowej łodzi, która sunęła dostojnie kanałem Delftsche Vliet. Słońce kryło się jeszcze za chmurami, ale gdzieś na horyzoncie widniały już szafirowe przeblyski zwiastujące piękny dzień. Stojący na dziobie szyper miarowo uderzał wiosłem o gładką taflę wody. Minęliśmy nabrzeże, a potem kłaniające się dostojnie strzeliste kamienice i tak znajomą wieżę Sint-Huybrechtstoren, górującą nad murami obronnymi. Nagle jak za

dotknięciem różdżki wszystkie budynki zniknęły, a my wypłynęliśmy na płaski polderowy krajobraz, pocięty szerokimi, równymi pasami uprawnych pól. Widziałam szmaragd, malachit i miętę, o których opowiadał mi Jesper, a potem poczułam bogatą nutę szafranu, starego złota i bursztynu. Smakowałam wszystkie kolory na języku, tak jakbym położyła na nim ulubiony karmelek, którego słodycz kołała moją tęsknotę i łagodziła obawę przed nieznanym. Mocny wiatr coraz śmielej uderzał w żagiel i posuwaliśmy się coraz szybciej. Podmuchy szarpały moje związane w dwa warkocze włosy, ale nie chciałam jak inni podróżni chronić się przed nimi za skrzyniami. Pragnęłam chłonąć wszystkimi zmysłami to wszystko, co przesunęło się niczym w zabawce z kolorowymi szkiełkami przed moimi rozszerzonymi z zachwytu oczami.

Kiedy witani długimi cieniami obracających się wesoło wiatraków wypłynęliśmy po wielu godzinach do portu w Alkmaar, byłam pełna nadziei, że wszystko się ułoży. Tym bardziej że w ciżbie kłębiących się na nabrzeżu ludzi dostrzegłam rozpromienioną twarz mojej Zwaantje.

– W końcu jesteś, moja kochana siostrzyczko! – Rozłożyła szeroko ramiona, w które wpadłam, złąkniona czułości i ciepła. – Zmizerniałaś, kurczaczku – powiedziała i pogładziła mnie delikatnie po policzku. – Neeltje, masz takie potargane włosy! Włóż szybko ten czepek. – Spojrzała nagle krytycznie, a jej głos spoważniał. – Moja pani nie lubi kocmołuchów! Musisz wyglądać schludnie, jak porządna i robotna dziewczyna.

Mina mi zrzędała, ale posłusznie poprawiłam warkocze i rozejrzałam się ciekawie wokół. Nabrzeże tętniło życiem. Wszędzie kręcili się ludzie, żebracy w podartych łachmanach lub odziani bogato kupcy z poważnymi, chmurnymi minami. Słyszałam plątaninę nieznanymi mi języków, pokrzykiwania i połajanki. Kakofonia wdzierających się do moich uszu różnorodnych dźwięków, o dziwo, sprawiała mi przyjemność. Lubiłam nowe bodźce, pobudzały moją wyobraźnię i ciekawość świata. Milczałam, zafascynowana tak nieznanym mi otoczeniem, ruchem i kolorami. Zwaantje zrozumiała przedłużającą się między nami ciszę nieco opacznie.

– Już dobrze... przepraszam za tego kocmołucha. A teraz się rozchmurz, mam dla ciebie świeżą pajdę białego chleba – mówiąc to, wyciągnęła zza pazuchy owinięty w lnianą szmatkę *brood*. – Dziś rano gospodyni upiekła

go specjalnie dla pani, ale ponieważ mnie lubi, odkroiła mi kawałek... Jedz, mizeraku, jedz – zachęcała i klepała mnie po dłoni.

Zaburczało mi w brzuchu i rzuciłam się łapczywie na pieczywo. Prowiant matki starczył mi zaledwie na kilka kęsów. Odgryzałam coraz to większe kawałki, zupełnie jak wygłodzony żebrak spod Nieuwe Kerk, a nie schludna i robotna dziewczyna, która już za moment miała zacząć posługę w dostatnim mieszczańskim domu.

– Masz czyste ręce? – Zwaantje zmarszczyła brwi. – Ona zawsze najpierw patrzy na dłonie. Chodź tutaj, obmyjesz je szybko w kanale. Woda nie jest tutaj aż tak brudna jak przy rynku. Tam cuchnie ściekami.

Podążyłam posłusznie za siostrą, stąpając jeszcze niepewnie po stałym gruncie. Łódź przez większą część rejsu kołysała się tak mocno, że z trudem łąpałam równowagę. Ale teraz w końcu byłam bezpieczna. Zwaantje wprawdzie głównie na mnie fukała, ale wiedziałam, że nie da mi zrobić krzywdy.

– A teraz opowiadaj, co w domu.

Papłając jedna przez drugą, przemykałyśmy szybko przez pogrążające się w mroku ulice. W pewnym momencie nad naszymi głowami rozbłysnęła gazowa latarnia. W ciepłym mocnym świetle dopiero dostrzegłam, że okrągła dotąd twarz Zwaantje zmizerniała i wyciągnęła się, jak czasami żartował ojciec, jak szczurek z mąki.

– Bliźniaki za tobą nie płakały? – zapytała i przyspieszyła kroku.

– Nie. Do wioski przejechała grupa wędrownych grajków z Francji. Matka poszła z Janem i Friedą posłuchać ich muzykowania. Chyba nawet nie zauważyły, że w tym czasie wymknęłam się z domu. Są jeszcze takie małe, takie niewinne...

– Resztę opowiesz mi później, Neeltje. Teraz musisz być cicho, bo moja pani nie lubi gadatliwych służących.

Stanęłyśmy przed strzelistą kamienicą, zwieńczoną schodkowym szczytem. Tuż nad wejściem, na ozdobnym kartuszu, widniała data „1615 rok”. Okna na parterze były bardzo wysokie i w świetle latarni lśniły przeszkloną taflą. Jeszcze nigdy nie widziałam tak eleganckiego domu. Poczułam się nagle nieważną i głupią Cornelią, tak samo, jak w szkole

przed laty, kiedy synowie bogatych gospodarzy śmiali się ze mnie, nazywając „wiedźmą z lepianki u Smidów”.

Zwaantje, jakby wyczuwając moje emocje, ujęła mnie mocno za rękę.

– Nie możemy wejść do domu przez główne drzwi – szepnęła. – To wejście zarezerwowane dla państwa. Zejdziemy do sutereny. Mamy tutaj kuchnię, pralnię i komórkę dla służby. Jak już porozmawiasz z panią, pokażę ci twoje łóżko, a teraz chodź!

Zwaantje nacisnęła kławkę i znalazłyśmy się w długim korytarzu. Pachniało tutaj warzywami i bulionem. Po prawej stronie na ścianie wisiała długa tablica z dzwoneczkami.

– Co to jest? – zapytałam, robiąc wielkie oczy.

– To ułatwienie dla służby – objaśniła siostra. – Nie możemy bez pozwolenia przebywać na salonach państwa. Kiedy ktoś z domowników wzywa posługaczkę, pociąga za sznurek, a my słyszymy dźwięk dzwonka. Ten tutaj... – Pokazała na pierwszy dzwoneczek po prawej stronie. – ...to sypialnia pani na pierwszym piętrze. Ale tam nie będziesz potrzebna. O ile w ogóle pozwoli ci wejść na górę... *Goedeavond*, Femke! – zawołała nagle Zwaantje.

W drzwiach do jednego z pomieszczeń stała niska, otyła kobieta w zawiązanym pod brodą czepku i obszernym białym fartuchu z postrzępioną na brzegach falbanką. Na mój widok jej twarz spochmurniała.

– A cóż to za zabiedzony dzieciak?! Sama skóra i kości! Podtuczyć tu nam ją trzeba. – Załamała ręce. – Zwaantje, na Boga, toć jak pani to chuchro zobaczy, jak nic wygna z powrotem do domu! Jak ta dziewczyszyna będzie nosić ciężkie balie z brudnymi ubraniami? A targać wodę z kanału? Musi przejść spory kawałek, żeby wybrać tę najczystsza!

– Poradzi sobie. Jest silna i zdrowa – odpowiedziała hardo Zwaantje, a ja, nie wiedząc czemu, skuliłam ramiona. – Femke to kucharka, nie da ci zrobić krzywdy. Jak będziesz bez szemrania robić to, co ci każe, czasem odłoży dla ciebie jakiś smakołyk z pańskiego stołu. Daj mi ten swój tobołek, schowam go za drzwiami, potem go rozpakujesz.

Femke wycofała się do swojego królestwa i wróciła do siekania warzyw. Przez całą kuchnię biegł długi szeroki stół. Piętrzyły się na nim różnorakie

sprzęty, ozdobne formy do ciast i pasztetów, groźnie wyglądające maszynki do mielenia mięsa i przepiękne ceramiczne dzbany i cynowe misy. Wzdłuż ściany naprzeciw wejścia ciągnął się rząd jasnych szafek i pysznił solidny ciemny kredens. W środkowej części dojrzałam potężną kamienną nieckę z odpływem, nad którą zawieszono doniczki z ziołami. Po prawej stronie tłoczyły się miedziane garnki i rondle. Masywny piec, z którego buchał żar, królował w wyłożonej białymi kaflami wnęce. Drzwi, których górna połowa była otwarta, prowadziły na zazieleniony podwórzec.

Nagle za naszymi plecami rozległ się cichy, melodyjny dźwięk dzwoneczka.

– Pani prosi nas do jadalni. Wyprostuj się i obciągnij sukienkę – powiedziała szybko Zwaantje, po czym splunęła w obie dłonie i przejechała nimi po moich wijących się przy skroniach włosach. – Jesteś za ładna. Masz wyglądać skromnie. Te twoje rzęsy są o wiele za długie... – mruknęła.

Kiedy weszłyśmy po schodach, z trudem powstrzymałam się od okrzyku zachwyty i onieśmienia. Cały hol zwieńczała sztukateria, obite grubą wzorzystą tapetą ściany ozdabiała lustra i obrazy w złoconych ramach. Nigdy wcześniej nie widziałam ich tylu w jednym miejscu. Może tylko w Nieuwe Kerk, ale tam wielkie malowidła przedstawiały świętych. Na tych tutaj widziałam dostojne twarze ubranych w pyszne suknie i kosztowności kobiet i długonogich, odzianych w jedwabne rajtuzy mężczyzn, ze srogimi twarzami, wpatrujących się we mnie przewiercającym do samych kości wzrokiem. Postanowiłam, że nie będę na nich zwracać uwagi i skupiłam się na bardziej znajomych mi widoczkach sielskich krajobrazów i statków sunących przez spienione morskie fale.

– Chodź... – Zwaantje uśmiechnęła się lekko, próbując mi dodać otuchy, ale jej twarz poszarzała nagle, tak jakby padł na nią cień.

Dopiero teraz spostrzegłam, że mam zabłocone saboty. Wyglądały żałośnie na grubym, miękkim dywanie w orientalne wzory. Zwaantje, nie namyślając się długo, przyklękła przy moich stopach i zaczęła wycierać brud lewą stroną swojego fartucha.

– Halo! – z pokoju w głębi holu dobiegł wysoki, piskliwy głos i po chwili w drzwiach stanęła piękna pani w koronkowej bluzce i taftowej spódnicy

ozdobionej z tyłu spiętrzonymi fałdami materiału wykończonego jedwabną wstążką.

Postąpiła kilka kroków i obrzuciła mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Po kilku sekundach w jej ocienionych firanką rzęs dużych oczach pojawiła się złość.

– Kogo ty tutaj przyprowadziłaś, głupia dziewucho?! – krzyknęła. – Jakiegoś brudnego kopciucha! Okłamałaś mnie, mówiąc, że twoja siostra jest silna i zdrowa! Ta tutaj wygląda na ciężko chorą!

– Nie jest chora, proszę pani – odpowiedziała cicho Zwaantje. – Jest przyzwyczajona do ciężkiej pracy. Potrafi dźwigać miski i wiadra z wodą, szorować podłogi i palić w piecu. Pokaż swoje szorstkie, zrogowaciałe dłonie, ale już! – syknęła wprost do mojego ucha.

Wyciągnęłam posłusznie przed siebie obie ręce z połamanymi, nabiegłymi ciemną obwódką paznokciami. Pani nawet na mnie nie zerknęła.

– Nie pyskuj! – Spojrzała surowo na Zwaantje. – Jutro rano nie chcę jej tu widzieć! A ty będziesz u mnie od tej pory na cenzurowanym! Jedna mała niesubordynacja i wyrzucam na bruk! O zapłacie możesz zapomnieć!

Pani w gniewie zatrzepotała rękoma. Łokieć jej prawej ręki zawadził o stojący tuż obok ozdobny kandelabr. Jedna ze świec zachybotła się złowieszczo, po czym zsunęła na stopy kobiety. Jej spódnica w mgnieniu oka stanęła w płomieniach. Ogień błyskawicznie zasysał coraz większe połacie cienkiej tafty. Pani zaczęła przeraźliwie krzyczeć i upadła na wypolerowany parkiet. Bez chwili namysłu rzuciłam się w kierunku aksamitnych kotar wiszących tuż przy wysokich oknach. Uwiesiłam się całym ciałem na jednej z nich, zrywając z trzaskiem płachtę grubego materiału. Opadła na mnie ciężkim całunem. Pociągnęłam szybko zwój aksamitu i zarzuciłam na stojącą w płomieniach spódnicę pani. Ogień zaskwierczał głośno, a cały hol zapełnił się gryzącym w oczy dymem.

– Co tu się dzieje? Johanno? Na Boga! – Z szerokich schodów wiodących na górę zbiegł pospiesznie ubrany w sukienny frak i pantalone mężczyzna. Rozejrzał się przerażonym wzrokiem, po czym dopadł leżącej na podłodze zemdłej pani. – Zwaantje, poślij natychmiast po doktora! – krzyknął

i zaczął uderzać dłońmi w policzki kobiety. – Obudź się, kochana, już wszystko dobrze. Zaraz przyjdzie lekarz...

Dysząc ciężko, spojrzałam na swoje dłonie. Z otartego przez krawędzie kotary naskórka sączyła się krew. Podniosłam szybko głowę. Z lustra patrzyła na mnie blada, umorusana sadzą obca, a przecież jeszcze do niedawna moja własna twarz.

Rozdział IX

Bogna

Delft, 2020

Mieszkanko Jacoba Muldera nad sklepem od pierwszego wejrzenia skradło moje serce. Kiedy weszłam tutaj wczoraj późnym wieczorem, byłam tak wykończona mijającym dniem i buzującymi w głowie emocjami, że nawet nie zapalałam górnego światła, tylko od razu w ubraniu rzuciłam się na łóżko. Sen zawsze przynosił mi ukojenie. Jak to mawiała babcia – rano w świetle słońca nawet największa zgryzota bladła i zdawała się mniejsza. A ja nadal martwiłam się dziadkiem. Ciągle jeszcze nie powiedziałam mu o podjętej spontanicznie decyzji zamieszkania na pewien czas w Delfcie.

Ocknęłam się na dźwięk odgłosów budzącego się do życia miasta. Ktoś otwierał na dole skrzypiącą bramę, stukał obcasami po brukowanym trotuarze i zapalał silnik samochodu. Przetarłam szybko oczy i podniosłam się na łokciach, rozglądając się ciekawie po moim nowym królestwie. Cały pokój skąpany był w jaskrawej poświacie wstającego właśnie nad starówką dnia. W pomieszczeniu unosił się delikatny zapach lawendy. Pociągnęłam nosem. Zapachy przywoływały wspomnienia. Babcia wcierała mi lawendę we włosy, żeby je wzmocnić po nieszczęsnym farbowaniu, kiedy to chciałam zmienić kolor czupryny, żeby dziadkowie nie oddali mnie do bidula. Tuż po odejściu babci spałam z lnianym woreczkiem wypełnionym kwiatami lawendy, z całej siły próbując zakłamać rzeczywistość bez niej. Do tej pory trudno mi o tym mówić, ale jej odejście dotknęło mnie bardziej niż strata rodziców. Może dlatego, że to ona mnie wychowała.

Przez okno, ocienione lekką jak chmurka muślinową zasłonką, wdzierały się do pokoju żółte kwiaty dzikiej róży. Na ścianie naprzeciw mojego wąskiego metalowego łóżka z ozdobną ramą wisiał... Nie do wiary! Obraz Vermeera, przedstawiający ukochaną przez dziadka mleczarkę! Uznałam to za dobry znak. Wyskoczyłam z pościeli i przeciągnęłam się jak kotka. Pod sufitem pokoiku ciemniały polakierowane na brąz belki. W zagłębieniu jednej z nich dostrzegłam wijącego gęstą nić miniaturowego pajęczka.

„To mój pierwszy holenderski współlokator” – roześmiałam się i poczułam nagle dojmujący głód.

Po prawej stronie korytarza znajdowała się kuchnia, a raczej dziupła, w której z trudem mieściło się kilka szafek, ekspres do kawy, mikrofalówka i mała biszkoptowa lodówka Smeg. „Będę musiała zrobić zakupy” – pomyślałam zrezygnowana, szarpnęłam za uchwyt lodówki i aż gwizdnęłam ze zdumienia. Ktoś najwyraźniej pomyślał o wszystkim. Dostrzegłam owinięty w biały pergamin kawałek sera, kilka soczystych pomidorów, pokrajane cieniutko plasterki jakiejś wędliny oraz sok pomarańczowy i małą butelkę prosecco. Na kartce przyklejonej na szafce widniały starannie wykaligrafowane litery: *Świeże butki czekają w reklamówce na wycieraczce.*

„To jakieś czary” – pomyślałam i na palcach podeszłam do drzwi. Uchyliłam je ostrożnie na kilka milimetrów i roześmiałam się w głos. Przede mną widniała papierowa torba z wizerunkiem piekarza w białej czapce oraz bukiet różnokolorowych tulipanów, przewiązany czerwoną wstążką.

– Tak mogłabym zaczynać każdy dzień – powiedziałam i ruszyłam z powrotem do kuchni.

Kilkanaście minut później, popijając gorącą kawę z błękitnego, a jakże, kubka, musiałam stawić czoło najtrudniejszemu na dziś wyzwaniu...

– W końcu moja wnuczka przypomniała sobie o sędziwym i samotnym dziadku! – Po drugiej stronie słuchawki rozległ się głos najdroższego mi mężczyzny na świecie.

– Wiesz dobrze, staruszk, że to nieprawda. Jak w ogóle możesz tak myśleć?! – Oburzyłam się. – I dlaczego mówisz, że jesteś samotny? Nie chodzisz już na partyjki brydza do klubu? A pani Krysia? Ostatnio się skarżyłaś, że nie daje ci spokoju i codziennie przynosi świeże plotecki z miasta. A z ciebie przecież żadna przekupka, żeby jak baby na targu obmawiać bliźnich – zażartowałam.

Dziadek roześmiał się cichutko.

– Ciebie mi brak, córeczko. Kiedy zamierzasz mi wreszcie powiedzieć?

– O czym? – Zdumiała mnie jego przenikliwość.

– Choćby o tym, że zostajesz w Holandii.

– Skąd o tym wiesz? – Zaczęłam nerwowo krążyć po pokoju.

– Jeden z twoich przyjaciół zadzwonił do mnie wczoraj i płaczącym głosem próbował przekonać, żebym na ciebie wpłynął. Według niego popełniasz największy błąd swojego życia i jak najprędzej powinienem cię przed nim uchronić. Gdyby nie to, że mówił takim dziwnym, afektowanym głosem, już byłbym w drodze do Holandii. Zdusiłem więc w zarodku chęć pochopnych działań, zaufałem mojemu szóstemu zmysłowi i twojej rozwadze i pokornie czekałem na wiadomość od ciebie. Choć, nie ukrywam, z duszą na ramieniu!

Ignacy puścił farbę! Co za palant! Zgrzytnęłam ze złością zębami. Już ja się z nim policzę!

– I doskonale zrobiłeś, dziadziu. Tak, zostaję jeszcze kilka tygodni w Holandii. I wbrew temu, co rozpowiadają teraz w kuluarach moi przyjaciele, nie uważam, żebym popełniała błąd. Wręcz przeciwnie, to dla mnie wielkie wyzwanie. Ignacy mówił ci, co zamierzam robić w Delfcie czy skupił się wyłącznie na sobie i swojej hysterii?

– Napomknął, że podobno będziesz pracować w sklepie z porcelaną. Delfty?

– A cóż by innego, dziadziu. Mam wrażenie, że nawet niebo nad tym miastem jest porcelanowe.

– Ciągnie cię do tego, wnusiu, ale cóż się dziwić, sam cię zaraziłem tą pasją. Gdyby nie ja, być może byłabyś chirurgiem.

– Teraz mówi się „chirurgzka”. Feministki zjadłyby cię za ten mizoginizm!

– *À propos* jedzenia... Właśnie wstawiłem ciasto do piekarnika. Nie uwierzysz jakie.

– Czyżby piernik? I będzie polewa czekoladowa? – zapytałam, przelękając ślinę. Dziadkowe wypieki były niezrównane.

– Będzie i polewa, i bakalie... Tak jak nas nauczyła babcia.

Dziadek piekł ten piernik zawsze, kiedy brakowało mu ukochanej Marianki. Nieważne, czy za oknem mał się maj, kwitły czereśnie, z drzew spadały pierwsze rdzawoczerwone liście czy dachy domów pokrywała gruba czapa śniegu. Czas ani ludzie w niczym nie powinni nas ograniczać.

Przymknęłam na chwilę oczy i otoczył mnie zapach goździków, cynamonu i ziemisty, terpentynowy aromat świeżo ściętego świerku.

Ostatnie święta z babcią spędziliśmy... w sierpniu. Pokazała nam wtedy, jak przyspieszyć wskazówki zegara, żeby zdążyć z czymś, co inaczej może się nigdy nie wydarzyć...

Przesławice, trzy lata wcześniej

Praktyki studenckie niespodziewanie się przedłużyły. Dopiero późnym popołudniem weszłam do domu, rzuciłam na półkę pod wieszakiem ciężką torbę i otarłam zroszone czoło. Już od kilku dni na zewnątrz panowały tropikalne temperatury. Najchętniej nie wychodziłabym z przychodni, gdzie zainstalowano zbawienną klimatyzację, ale nie mogłam przecież nocować w gabinecie. Zzulałam buty i nagle nadstawiłam ucha. „Nie, to niemożliwe” – pomyślałam i pchnęłam drzwi prowadzące do salonu.

Lulajże, Jezuniu, moja perelko, lulaj ulubione me pieścidełko – w pokoju rozlegały się znajome, kojące tony ukochanej kolędy babci. Ona sama, a raczej cień jej dawnej figury, drzemała w fotelu, z delikatnym uśmiechem na cieniutkich jak pajęcza nić spierzchniętych wargach. W rogu salonu, migotając kolorowymi światełkami, stała mała, pękata choinka, rozsiewając wokoło drażniący nozdrza zapach lasu i żywicy.

– Bogienko, córciu... – Babcia uniosła powieki i wyciągnęła do mnie przezroczyste jak pergamin ręce. – Pomóż mi, muszę wyjąć piernik z duchówki. Dziadek poszedł do sklepu po kakao na czekoladową polewę. Dobrze, że miałam w domu bakalie...

– Robicie generalną próbę przed Bożym Narodzeniem, babusiu? – zapytałam, patrząc z troską, jak wstaje z trudem i chwyta stojącą tuż przy fotelu laskę. – I gdzie udało się dziadkowi w sierpniu znaleźć taką piękną choinkę?

– Ma na to swoje sposoby. – Roześmiała się cicho. – Zapytaj mnie lepiej, jak udało mi się wyczarować opłatek. Ksiądz Józek o mało nie spadł z krzesła, jak usłyszał moją nietypową prośbę.

– Nie powinnaś w ogóle wychodzić w taki upał! – oburzyłam się.

– Gderasz jak Michał. – Machnęła zniecierpliwiona ręką. – Mnie już teraz wszystko wolno, córciu. Cóż mam do stracenia?

Szczęknięły wejściowe drzwi i po chwili dołączył do nas dziadek z torbą wypełnioną po brzegi sprawunkami.

– Kupiłem pomarańcze, goździki i mak. Śledzie... zaraz, zaraz, chyba matiasy... Tak jak przykazałaś, Marianko.

– Możecie mi wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi? – Ujęłam się pod boki. – Czyżbym przegapiła moment, kiedy nastął grudzień i Boże Narodzenie?

– Postanowiłam urządzić nam święta już teraz – zaczęła babcia, poprawiając kosmyk włosów niesfornie wychylający się zza chustki, którą lubiła ostatnio obwiązywać głowę. – Jak wiesz, wszystko wskazuje na to, że... nie doczekam już grudnia, śniegu i prawdziwej choinki. A tak bardzo, z całego serca chciałam was po raz ostatni zobaczyć przy wigilijnym stole. Musiałam więc na własnych zasadach przyspieszyć czas.

– Nie chcę tego słuchać! – Zasłoniłam rękoma uszy, jak dzieciak. Po moich policzkach zaczęły spływać łzy.

– Nie płacz, nie trzeba, córciu. Przebierz się lepiej w tę czerwoną włóczkową sukienkę. Ja wiem, że jest gorąco, ale tak bardzo cię proszę... A ty, Michasiu, włóż ten sweter w mikołaje. Ten, który podarowałam ci, gdy Irenka jeszcze żyła.

Kiedy temperatura na zewnątrz zelżała nieco, usiedliśmy razem przy nakrytym białym obrusem stole. Babcia sięgnęła po leżący na porcelanowym talerzu opłatek.

– I mam ja swoje Boże Narodzenie. W sierpniu, tak jak to sobie umyśliłam – powiedziała uroczyście. W jej wyblakłych błękitnych oczach migotały wesołe choinkowe lampki.

Położyłam szybko dłoń na jej ciepłej, pokrytej plamami wątrobowymi ręce. Pod palcami wyczułam drobne kostki.

– Chciałam wam powiedzieć, że bardzo was kocham. Jesteście całym moim światem – szepnęła. – I pragnęłabym z całego serca, żebyście za każdym razem, kiedy siądziecie do wigilijnej wieczerzy, pamiętali, że jestem tutaj razem z wami. Nawet jeżeli nie będziecie mnie już mogli zobaczyć.

– Najpierw musisz mi powiedzieć, czy chcesz robić zakupy w nowoczesnym centrum handlowym, czy raczej w miejscu, gdzie turyści nie zagląдают – stwierdził Ingmar, rozglądając się z ciekawością po moim

mieszkanku. – Powiem ci, że masz świetną miejscówkę. Nawet nie przypuszczałem, że jest tutaj tyle miejsca.

– Chyba żartujesz?! Absolutnie nie narzekam, ale przecież to mysia norka – odpowiedziałam, pukając się znacząco w czoło.

– W Holandii większość mieszkań jest bardzo mała. Szczególnie na starówce. Przed laty budowano tutaj domy dla krasnoludków.

– Dlaczego? Czyżby z powodu oszczędności? – Spojrzałam pytająco na mojego nowego holenderskiego przyjaciela.

– Nie inaczej! Jeżeli nie wiadomo, o co chodzi, zawsze chodzi o pieniądze. Mówią o nas, że jesteśmy niezwykle pragmatycznym narodem. Nauczyła nas tego historia. Przed wiekami, w tym czasie, kiedy po ulicach Delftu spacerował sam Johannes Vermeer, podatek od nieruchomości pobierano właśnie od szerokości parceli. Stąd te cienkie jak plasterek sera Beemster budynki. A wiesz, że nad miejscem, gdzie teraz rezydujesz, znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie? Nazywamy je *vliering*, czyli rupieciarnia.

– Nie wierzę! – parsknęłam. – Obeszłam już całe mieszkanie i nie ma tutaj ani kawałka schodów. Jak niby można się dostać na ten twój, jak to mówisz, *vliering*?

– Chodź ze mną, pokażę ci – powiedział tajemniczo i pociągnął mnie do łazienki.

– Spójrz w górę. Co widzisz?

– Sufit – odpowiedziałam zniecierpliwiona. – Biały. Pomalowany farbą. Oczekujesz więcej budowlanych szczegółów czy to wystarczy? – rzuciłam z ironią.

– Jak na artystkę jesteś mało spostrzegawcza – odgryzł się Ingmar.

Ponownie uniosłam głowę i zalałam się rumieńcem wstydu. Na środku sufitu zwiślał sobie niewinnie zwykły sznurek. Jak ja mogłam go wcześniej nie zauważyć?!

– No już, pociągnij za niego! Śmiało!

– Jesteś pewien? A jak wywołam tym jednym niewinnym ruchem jakąś katastrofę, łącznie z oberwaniem dachu i zawaleniem kamienicy? Wiesz, nasze życia nie są nawet w połowie warte tyle, co ta znajdująca się pod nami porcelana.

– Dziękuję, że patrzysz na tę kwestię tak trzeźwym okiem – burknął. – No już, ciągnij!

„Raz kozie śmierć! Niech się dzieje wola nieba!” – pomyślałam niczym rejent Milczek z Fredrowej *Zemsty* i chwyciłam za sznurek. Nad moją głową zazgrzytało, kłapa w suficie uchyliła się jak wrota sezamu i wysunęły się z niej niemiłosiernie zakurzone... schodki!

– I co, teraz mi wierzysz? Te stopnie prowadzą do naszej rupieciarni. – Roześmiał się.

– O mamó! Włazę na górę! Uwielbiam takie zakamarki! – zakrzyknęłam.
– W Przesławicach tropiłam wszelkie zakazane domowe rewiry. Piwnica, spiżarnia i strych kryły przecież w sobie tyle tajemnic.

– Może potem, damska wersjo Krzysztofa Kolumba. Teraz musimy iść w końcu na ten shopping. Po południu mam dwie wycieczki z Wenezueli, dlatego musimy się pospieszyć.

Nie było rady, postanowiłam pomyszkować na stryszku później, kiedy już się tutaj urządzę.

Całe przedpołudnie spędziliśmy z Ingmarem na bieganiu po starówce. Znał tutaj każdy kąt i doskonale wiedział, czego szukam. Z lubością odkrywałam sklepiki *vintage* w kamieniczkach rozsianych promieniście wokół rynku. Nie chciałam kupować rzeczy, które noszą wszyscy. Łaknęłam takich, które będę mieć tylko ja. Wychodząc z jednego z butików, w którym znalazłam dwie przepiękne sukienki i biały puszysty sweterek, natknęłam się na Nienke z hotelu Pękata Butelka.

– A to niespodzianka! – Dziewczyna stanęła jak wryta. – Ty... przepraszam... pani jeszcze tutaj?

– Daj spokój, mów mi po imieniu – zaproponowałam, ucieszona niespodziewanym spotkaniem. – Jestem Bogna! Poznajcie się, to mój nowy przyjaciel... – zaczęłam, ale Nienke i Ingmar jak na komendę zaczęli się śmiać.

– Znamy się aż za dobrze! – wykrztusił w końcu Ingmar. – Nienke to moja kuzynka. Nasze matki są siostrami. Zmieniałem tej pannie pieluchy...

– Niedoczekanie twoje, kłamco! To raczej ja wycierałam ci wiecznie ciekący nos!

– Ha, ha! Uwielbiam was oboje! – zawołałam z uśmiechem od ucha do ucha. – A już się bałam, że oprócz porcelany nic dobrego mnie w tym mieście nie spotka.

Życie potrafiło zaskoczyć mocniej niż najbardziej wydumane filmowe scenariusze. Naprawdę nie przypuszczałam, że po kilku dniach pobytu w Delfcie będę miała tutaj aż dwoje przyjaciół.

Rozdział X

Cornelia

Alkmaar, 1881

Skubiąc kraj mojego mizernego fartucha, tkwiłam na środku salonu kamienicy przy de Kapelkerk. Pod wysokimi oknami stał lakierowany drewniany stół i osiem stylizowanych krzeseł, pokrytych aksamitnym materiałem. Na malowanych w kwiaty tapetach wisiały portrety rodzinne. Panowało tutaj przyjemne ciepło płynące z buzującego w kominku ognia.

– Jak masz na imię? – zapytał pan Vermeulen.

Siedział na fotelu tuż przy kominku i lustrował mnie wzrokiem. Tym razem miałam wyczyszczone szuwaksem saboty i czystą sukienkę, którą podarowała mi Zwaantje. Tylko ten brzydki, postrzępiony fartuch mógł budzić zastrzeżenia.

– Cornelia. Cornelia Smid. – Dygnęłam, z trudem panując nad trzęsącymi się kolanami. Pan na pewno odeśle mnie teraz z powrotem do domu, do Delftu, i matka będzie się złościć, i złozi mi skórę tym grubym sznurkiem, który wisiał na haku w komórce.

Pomiędzy nami panowała pełna napięcia cisza.

– Ja wszystko odpracuję. Te szkody... tę zerwaną zasłonę... Odpracuję! – odważyłam się w końcu powiedzieć.

– Naucz się, dziewczko, żeby zachować milczenie niepytaną – odrzekł Vermeulen i wstał z fotela.

Podszedł do małego szklanego stolika i chwycił leżące na nim pudełko. Po chwili wyciągnął z niego gruby jak palec brązowy rulonik i podpalił go ogniem z małej srebrnej zapalniczki. W pokoju zapachniało siarką.

Skuliłam bezwiednie ramiona i zacisnęłam z przestraczem oczy.

– Nie bój się, to cygaro. Czasem lubię sobie zapalić, kiedy moja żona odpoczywa na górze, w sypialni. Ale do rzeczy... Wezwałem cię tutaj nie bez przyczyny. Chodzi o ten incydent z wczoraj. Postanowiliśmy z Johanną dać ci szansę. Ratując moją żonę, zachowałeś zimną krew.

– Dziękuję, panie, za twoją łaskę... – Skłoniłam się tak nisko, że prawie dotknęłam nosem puchatego dywanu.

– Powiedziałem już, że masz się nie odzywać bez pytania! – Spojrzał na mnie gniewnie. – Jesteś krnąbrna i pyskata, a to niczego dobrego nie wróży. Ale słowo się rzekło... Będziesz mogła zostać u nas i pomagać Zwaantje. Ale uważaj, bo będę cię miał na oku. Paplanie zamiast roboty i obijanie się w miejsce rzetelnej posługi zaowocują natychmiastowym odesłaniem cię, skąd przyszłaś. A teraz idź już! I bierz się za swoje obowiązki!

Pobiegłam ile sił w nogach na dół, do Zwaantje i Femke. Obie niecierpliwie wyczekiwały wyroku. Kiedy powiedziałam, że mogę zostać, kucharka aż pokraśniała z zadowolenia, a siostra uściskała mnie tak mocno, że prawie zabrakło mi tchu.

– Dosyć tego mazgajstwa, Neeltje. Chodź, pomożesz mi przy praniu – poleciała surowo, kiedy już otarła mokre od płaczu policzki. – W komórce są cynowe misy, przynieś je tutaj szybko.

Kiedy zrobiłam, co mi przykazała, wyszłyśmy razem przed dom.

– Pokażę ci, gdzie najlepiej nabierać wodę. Musimy przejść przez ulicę i dojść do kanału, do którego zejdziemy po kamiennych schodkach. Będziesz musiała chodzić tam i z powrotem kilka razy, tak długo, aż napełnisz misy. Potem zanieziesz je do pralni i rozpalisz ogień. Wodę wlejesz do czajnika i postawisz go na palenisku. Zrozumiałaś?

Potaknęłam pilnie głową.

– Czyste rzeczy powieszysz na sznurku w ogrodzie. Pamiętaj, żeby składać je potem ostrożnie. Poszewki i prześcieradła są największe, dlatego najpierw uporaj się z nimi, a potem możesz się zabrać za koszule, bluzki i czepki. Ja muszę teraz iść na górę umyć podłogi.

Zwaantje wyglądała już na zmęczoną, chociaż słońce jeszcze nie zdążyło dotrzeć do najwyższego punktu na niebie. Postanowiłam, że zrobię wszystko najlepiej jak potrafię, żeby nie przysparzać jej dodatkowych zmartwień. Nie śmiałam pytać, ale znałam ją dobrze i widziałam, że nie jest tutaj szczęśliwa. W listach do domu opisywała, że dostała słoneczny pokoik, a tak naprawdę spała w ciemnej komórce bez okna, na wąskim łóżku z lichym materacem. Teraz musiałyśmy zmieścić się na nim we dwie. Spałyśmy tak, że głowa jednej znajdowała się w nogach drugiej. Na szczęście nie musiałyśmy gnieździć się we wnęce *bedstee*. To była jedyna pozytywna niespodzianka, która do tej pory mnie tutaj spotkała.

Pierwszej nocy leżałam z szeroko otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć, w gorących i opuchniętych ze zmęczenia nogach Zwaantje i zastanawiałam się, czy Jesper skończył już malować tajemniczy portret, nad którym pracował. Zaklinałam go na wszystkie świętości, żeby wyznał mi, kim jest jego model, ale on, niepomny na moje prośby i groźby, milczał jak grób. Powiedział tylko, że do skończenia dzieła potrzeba mu kilku miesięcy.

Słońce stało już na samym środku nieba, gdy uporałam się w końcu z praniem. Posapując ciężko, wyniosłam wypełnione bielizną miski do ogrodu i zaczęłam wieszać prześcieradła na sznurku. Ukryta za płachtą jednego z nich, usłyszałam nagle szmer rozmowy. Nadstawiłam ucha. Po kilku chwilach z przerażeniem pojęłam, że jeden z głosów należy do mojej siostry.

– Nie możemy się już więcej spotykać, Rubenie. Gdyby twoja matka się dowiedziała...

– Moja matka jest zajęta swoim brzuchem, Zwaantje! W końcu po tylu latach udało jej się wymodlić upragnionego potomka. Na mnie kompletnie nie zwraca uwagi. Proszę cię, nie broń mi dostępu do siebie. Oszaleję, jeżeli nie zobaczę cię choćby raz dziennie.

– Neeltje jest teraz tutaj. Mówiłam ci, że przyjeżdża... Pod żadnym pozorem nie będziesz już mógł przychodzić do mojej komórki, pamiętaj.

– To bardzo sroga kara! Ale wymyślę coś innego, ukochana. A teraz błagam cię, pocałuj mnie w końcu. Całe dwa dni na to czekałem.

Nagle zapadła cisza. Stałam jak sparaliżowana, nie mogąc ruszyć nawet małym palcem u ręki. Kilka powłoczek, które przewiesiłam sobie przez ramię, zsunęło się bezszelestnie na ziemię pod moimi sabotami. Kim jest Ruben i dlaczego moja własna siostra całuje się z nim w ukryciu w ogrodzie rezydencji państwa Vermeulenów? Z tego mogą być tylko kłopoty. Postanowiłam wypytać o wszystko Femke.

Kiedy weszłam do kuchni, przy stole siedziały dwie pokojowe pani. Do tej pory nie zwracały na mnie uwagi, ale całą sobą czułam, że nie są mi życzliwe. Łypnęły na mnie z politowaniem i wróciły do swojej rozmowy.

– Przetarłaś okna na górze, Maartje? – zapytała Femke, mieszając zupę w ogromnym miedzianym kotle stojącym na palenisku.

– A jakże! I wszystkie kąty omiotłam, bo nasza gwiazda, Zwaantje, znowu gdzieś przepadła – odparowała roślą dziewczyna o białych włosach ukrytych pod schludnym czepkiem, spod którego wystawał tylko zapleciony ciasno warkocz.

– A ty co tak tutaj stoisz i bezczelnie podsłuchujesz? – napadła na mnie druga z dziewczek, o chmurnym spojrzeniu czarnych oczu. Ubrana była w długą, prostą sukienkę z białymi mankietami i czarny fartuch.

– Daj jej spokój, Ilse! – fuknęła na nią Femke. – Od rana pranie robi, nie pytluje tak jak wy. Przecież widać, że umęczona. Chodź tutaj, Cornelio, napij się wody. Dopiero co nalałam świeżej do kubka.

– Nie cackaj się z nią tak, Femke – mruknęła Ilse. – Takie świętoszki często mają diabła za skórą. Ani się obejrzymy, a będzie na nas donosić pani.

– Nigdy na nikogo nie donosiłam! – zawołałam. – Dlaczego jesteście dla mnie takie niemile? Niczego złego wam nie uczyniłam!

Ilse i Maartje zarechotały jak na zawołanie.

– Zobacz, jaka harda! Chuchro takie, a zaraz rzuci się na nas z pięściami!

Za naszymi plecami rozległy się nagle równocześnie dwa dzwoneczki, Maartje i Ilse podniosły się szybko z krzesel i pobiegły na górę.

– Nie miej im za złe tego gadania – powiedziała po chwili milczenia Femke. – Nic zdrożnego na myśli nie mają... tylko tak plotą, co im ślina na język przyniesie. Ilse całą rodzinę na wsi utrzymuje. Ośmioro rodzeństwa ma, sama drobizna, i boi się o swoją posadę. A Maartje znowu chorego ojca dogląda i każdy grosz liczy...

– Przecież ja dla nich żadnym zagrożeniem nie jestem. Nawet mnie pani na salony nie wpuści.

– Akurat z tego powinnaś się cieszyć. Pani Johanna coraz to większe wymagania ma. Już ciężko jej chodzić, źle znosi ten swój stan, ciągle niezadowolona snuje się po kamienicy i krzyczy bez opamiętania. Wczoraj to nawet po twarzy tę biedną Ilse zdzieliła. A dziewczynisko stara się jak może.

– To pani przy nadziei jest? – zapytałam, robiąc wielkie oczy. – Niczego po niej nie znać!

– A bo o figurę drzy i ściska się gorsetami. To niemądre, bo lata całe czekała na dzieciątko, a teraz, kiedy w końcu miłosierny Pan próśb jej wysłuchał, to tylko o tym swoim powabie i wąskiej talii myśli, a nie o potomku.

Zmarszczyłam brwi... Ten chłopak w ogrodzie mówił coś o matce przy nadziei! Czyżby...? Poczułam, że lodowata strużka potu ścieka mi po kręgosłupie.

– Femke, a kto to jest Ruben? – zapytałam w końcu.

Kobieta łypnęła na mnie podejrzliwie.

– A po ci to wiedzieć, he? – Ujęła się pod boki. – Trzymaj się od niego z daleka! Jeżeli cię zaczepia, nie patrz mu w oczy, odburknij coś i idź w drugą stronę. Boże broń, w rozmowę się z nim wdawać! To diabeł wcielony i pożre cię jak kurczęta ze śmietaną na obiad!

– Ale kim on jest? – powtórzyłam nieśmiało.

– To syn naszych państwa, a jakże inaczej – burknęła. – Jedynek, rozbisurmanione to, w puchu chowane, nigdy żadnej zgryzoty nie zaznał, tylko bawić się umie i dziewczkom płochym w głowie mącić. Trzymaj się ty od niego z daleka, dobrze ci radzę – powtórzyła. – A i Zwaantje pilnuj, bo coś mi się zdaje, że i ona w jego sidła wpadła. Dobrze, że pani drugie dziecko po tylu latach starań mieć będzie. Może trochę się to chłopaczysko ogarnie i rozumu nabierze, jak starszym bratem zostanie. A ty już swoją wodę wypilaś? To wracaj do roboty, bo ja tu języka po próżnicy strzepić dłużej nie zamierzam. Do pracy, ale już! – huknęła, tak jakbym jakimś nieuważnym lub zbyt śmiałym pytaniem humor jej zwarzyła.

Zerwałam się szybko z za stołu i wybiegłam do ogrodu. Zerknęłam z niepokojem na warzywnik, z którego dobiegały przed godziną głosy Rubena i Zwaantje, ale na szczęście nikogo już nie dojrzałam. Pranie na sznurku było już prawie suche, słońce grzało dziś wyjątkowo mocno. Rozejrzałam się uważnie, wyciągnęłam z za pazuchy swój kajet, który dostałam od Jespera, i zaczęłam kreślić w nim kwiaty rosnące na biegnącej wzdłuż domu pięknej rabacie. Chciałam czym prędzej zagłuszyć czymś myśli, które coraz to ciaśniejszą falą okrężały moją umęczoną głowę.

Bałam się o Zwaantje. Ten chłopak, syn państwa, zdawał mi się niebezpieczny. A co będzie, jeżeli zawróci jej w głowie? Przecież słyszałam

na własne uszy, jak ją zapewniał o swojej miłości, a jak świat światem stary, możny pan i uboga służąca nigdy na ślubnym kobiercu stanąć nie mogą. To wbrew ludzkiemu i boskiemu prawu. A jeżeli moja głupia siostra się zakochała? Tak jak ja w Jesperze? Przecież i on mnie nierówny, syn bogatego rzeźnika, który na pewno bardziej posażną pannę dla swojego pierworodnego wybrał. Może i ja powinnam o nim zapomnieć i nigdy już nie wracać do Delftu? Na samą myśl, że miałabym już go nie zobaczyć, łzy wezbrały pod moimi powiekami. Nie, nie będę na razie o tym myśleć. Czekala mnie ciężka praca, nowe doświadczenia i misja uratowania Zwaantje przed tym zblazowanym paniczem, który na pewno tylko czyhał na jej cnotę.

Zamknęłam szybko zeszyt, ukryłam go w kieszeni fartucha i zaczęłam ściągać pranie ze sznurka. Postanowiłam jeszcze dziś wieczorem rozmówić się z siostrą. To nie mogło dłużej czekać!

Minęło kilka dni, a ja nie miałam jeszcze okazji, żeby zagaić Zwaantje o Rubena. Kiedy wracała po robocie do naszej komórki, padała bez życia na łóżko i w ciągu kilku sekund zapadała w mocny sen. Nie miałam sumienia budzić jej i wypytywać o tak trudne sprawy, dlatego też z niecierpliwością czekałam, kiedy w końcu będzie bardziej wypoczęta. Bładym świtem musiała już biec na górę, żeby pastować i froterować podłogi. Trzeba było mieć nie lada krzepę i siłę w nogach, żeby podołać tej robocie. Dlatego Zwaantje coraz częściej narzekała na opuchnięte łydki.

W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy do państwa przyszli goście z wizytą i pani odesłała Zwaantje wcześniej na dół. Do stołu podawała Maartje, która miała więcej wprawy, ogłady i znajomości pańskiej etykiety. Moja siostra mogła wreszcie trochę odpocząć. Kiedy, chichocząc, umościłyśmy się na swoim legowisku i Zwaantje zdmuchnęła świecę, w końcu odważyłam się zapytać ją o Rubena.

– Dzisiaj rano zrobiłam pranie i powiesiłam je, tak jak kazałaś – zaczęłam.

– Tak, tak, widziałam. – Ziewnęła szeroko. – Zmówiłaś modlitwę, to śpij! Jutro wstajemy, zanim kur zapieje. Tylko w niedzielę możemy pospać godzinę dłużej, dlatego zamykaj oczy, ale już! Dobranoc!

– Nie będę spała! – zaprotestowałam i zbierając w sobie całą odwagę, wyznałam: – Muszę cię o coś zapytać... Słyszałam, jak rozmawiałaś z tym paniczem, no wiesz, Rubenem...

Po drugiej stronie łóżka zakotłowało się nagle. Sprężyny jęknęły żałośnie, a po kilku sekundach dobiegł mnie syk siostry.

– Jak śmiesz mnie podsłuchiwać?! Nie masz wstydu! Gdyby nie ja, ojciec i matka zatłukliby cię sznurem na śmierć, słyszysz? A tu taka odpłata!

– Wcale nie podsłuchiwałam. Byłam w pracy, a wy szeptaliście tuż obok! Zwaantje, ściągasz na swoją głowę kłopoty. Bardzo cię proszę, zerwij z nim wszelkie kontakty.

– Przyganiał kocioł garnkowi! A dlaczego niby tutaj jesteś? Gziłaś się z jakimś rzeźnikiem w zaroślach i śmiesz mnie teraz pouczać?!

– Nie gziłam się w żadnych zaroślach! To kłamstwo! – Cała krew odpłynęła mi z twarzy. – Nie wolno ci tak mówić... Jesper jest inny... – wyjąkałam pełnym żalości głosem.

– A juści! Każdy z nich jest inny, a wszyscy myślą o tym samym – burknęła Zwaantje. – Byle dziewczkę do łoża ściągnąć i... wychędożyć! Ot co!

Zrobiłam wielkie oczy.

– Wychędożyć? Co to znaczy?

– Nie udawaj takiej świętoszki – prychnęła moja siostra. – Jak myślisz, skąd u pani ten wielki brzuch? Przecież nie od kotletów czy ozorków. Pan się na niej położył i... z tego będzie dzieciak.

– Ale jak to „położył”? Tak jak my teraz leżymy? – Dobrze, że Zwaantje nie mogła w ciemnościach zobaczyć mojej miny.

– Niezupełnie... – Zmieszała się. – Ale już mnie tak nie wypytuj! Śpij!

A o Rubena się nie martw, poradzę sobie z nim. *Welterusten*⁸.

⁸ hol. Dobranoc.

Na końcu łóżka zaskrzypiało, a potem nastąpiła cisza. Nie potrafiłam tak na zawołanie zamknąć oczu i zasnąć, dlatego pogрузyłam się w myślach. To, co powiedziała Zwaantje, napawało mnie obrzydzeniem, a jednocześnie dziwnym, niezdrowym podnieceniem. Czy pozwoliłabym Jesperowi położyć się na mnie, tak jak to zrobił pan na pani? Ale przecież on był

o wiele większy i cięższy! Przygniótłby mnie i tyle z tej całej przyjemności. I z tego mają być dzieci? Z tego przygniatań?

Rozmyślałam tak długo i intensywnie, że nie wiedzieć kiedy przysnęłam. Obudziło mnie szarpanie i przerażony głos siostry:

– Wstawaj, ale już! Przez te twoje nocne pogaduszki zaspaliśmy! Już dawno pierwszy kur zapiał, a my ciągle w barłogu! Pani będzie się złościć. Mam nadzieję, że Femke będzie nas kryć.

Czym prędzej wyskoczyłam z posłania i po omacku wdziałam na siebie sukienkę, fartuch i czepek. Zwaantje otworzyła drzwi. Do naszej komórki wpadło trochę słońca. Moja siostra stała w progu, unosząc ramiona i rozczesując pospiesznie palcami swoje długie, gęste blond włosy. Światło po mistrzowsku rysowało wokół jej sylwetki miękkie kontury, zaznaczając delikatną kreską zarys jej głowy, piersi i zaplątanych w koszulę nóg.

Femke na nasz widok tylko pokręciła głową i wskazała na talerz na stole. Leżało na nim kilka cienkich podpłomyków.

– Jedźcie szybko i migiem do pracy! – huknęła srogo. – Żeby mi to było ostatni raz! Pytuję do późna w nocy, a potem niczym jaśnie panie hrabiny pod pierzyną gniją!

Wzięłam wiadro z wodą, ryżową szczotkę i szmatę i zabrałam się za sprzątanie. Umyłam zabłoconą podłogę, zamiotłam starannie schody i wypolerowałam klamki. Nie miałam pojęcia, czy mam odkurzyć również w holu na górze, dlatego się zawahałam, a potem niepewnie uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka. Przed lustrem stała pani Vermeulen. Miała na sobie najpiękniejszą sukienkę, jaką w życiu widziałam. I ten kolor... intensywnie niebieski, jak niebo podbarwione zimnym podmuchem wiatru. Takie samo jak nad łąkami w Delfcie. Na sukienkę narzuciła krótki kaftan z jakiegoś szlachetnego materiału, obramowany białym gronostajem. W jej włosach połyskiwała żółta jedwabna wstążka. Pani trzymała w wyciągniętych dłoniach naszyjnik z pereł, który przykładała do swojej długiej alabastrowej szyi.

Przycupnęłam na piętach, zafascynowana plastycznością obrazu rozpościerającego się przed moimi oczami. Wyciągnęłam czym prędzej z kieszeni fartucha skórzany kajet, a także węgiel drzewny i zaczęłam szybko szkicować. Moje palce drobny sprawnie po gładkiej tafli papieru.

Ach, gdybym tylko miała farby! Nie potrafiłam oddać bogactwa kolorów, szkicując jedynie czernią zabarwioną szarością. Mogłam je sobie tylko wyobrazić...

Westchnęłam bezwiednie i trąciłam stojące obok wiadro. Upadło z głośnym łoskotem na deski. Zmartwiałam. Pani drgnęła i odwróciła się w moją stronę. Po chwili na jej ładnej, gładkiej buzi pojawił się brzydki grymas.

– Wyłaź stamtąd! – zawołała. – Ale już! Dlaczego kryjesz się za drzwiami jak złodziej? I co tam trzymasz w rękach? Daj mi to!

Zawstydzona wstałam z kolan i schowałam czym prędzej swój kajet za plecami.

– To nic takiego, proszę pani... To takie moje bazgroły. To nic... – plątałam się, łajając w myślach za nieostrożność.

– Pokaż mi to! – poleciała stanowczo i wyciągnęła w moim kierunku upierścienioną rękę.

Drżącymi dłońmi podałam jej zeszyt. Pani zajrzała do środka i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy zaczęła przerzucać stronice. Kiedy doszła do ostatniej, tej z nieśmiałym szkicem jej sylwetki, podniosła na mnie zdziwione oczy.

– Kto to narysował?

– Ja. Przed chwilą. Ma pani taką piękną sukienkę... ale nie mogłam oddać na papierze tej barwy – dodałam, chyba niepotrzebnie.

– Łżesz, dziewucho! – Rzuciła kajet na podłogę tuż obok moich stóp i przydeptała go swoim skórzanym trzewikiem. – Jesteś tylko kuchenną dziewczką, one nie potrafią postawić choćby jednej prostej kreski na kartce. Nie umieją się nawet podpisać! Przyznaj się, komu ukradłaś te rysunki!

– Dlaczego tak krzyczysz, Johanno? – Zza pleców pani wyłonił się nagle jej mąż. W jednej ręce trzymał złożoną na pół gazetę, a w drugiej fajkę, z której dobywała się cieniutka strużka białego dymu. – To znowu ty? –

Skrzywił się, dostrzegając mnie w otwartych drzwiach prowadzących na schody do suterenu. – Ostatnio wszędzie cię pełno. Narażasz moją żonę na niepotrzebne napięcie nerwowe.

– Tym razem ten kocmołuch wymyślił sobie, że jest artystką! – prychnęła pani. – To nawet zabawne, Julianie. – Roześmiała się krótko, jakby

z przymusem. – Wyobraź sobie, że rzekomo mnie narysowała!

Bałam się nawet poruszyć. Pan Vermeulen schylił się powoli i podniósł kajet.

– Johanna ma rację. Oczywiście, że to nie twoje. – Spojrzał na mnie z naganą. – To zeszyt dla malarzy, w skórzanej oprawie. Kosztuje sześć tygodniówek dziewczek takich jak ty, jeżeli nie więcej. Skąd niby miałabyś wziąć na niego pieniądze? Chyba że je ukradłaś...

– Dostałam ten kajet od mojego... przyjaciela – wydukałam, dyskretnie wycierając spocone dłonie w fartuch. – Jeszcze w Delfcie.

– Co ci mówiłem o odpowiadaniu niepytaną?! Zamilcz! – Pan zawahał się przez chwilę, a potem nieoczekiwanie powiedział: – Jeżeli rzeczywiście umiesz rysować, musisz to udowodnić. Chodź z nami do salonu.

– Julianie, czyś ty oszalał?! – Pani Vermeulen złapała męża za ramię. – Mamy ją teraz podejmować na pokojach?

– Skoro, jak sama twierdzi, jest autorką tego portretu, niech skończy na naszych oczach ten rzekomo własny rysunek. Jeżeli łże, poniesie zasłużoną karę. Chodź, dziewczko, ale już! Moja żona chętnie ci zapozuje – dodał głosem przepełnionym zjadliwością.

Pani przewróciła oczami, ale już nic nie powiedziała. Weszliśmy razem do rozświetlonego porannym słońcem pokoju. Pani siadła na ozdobionym złotym okuciem krzesła i spojrzała z wyrzutem na męża.

– Nie rozumiem, po co ta cała maskarada. Pospiesz się, dziewczyno! Za chwilę przychodzą na herbatę moje przyjaciółki i nie chcę, żeby zastały cię w naszym salonie. Jeszcze gotowe sobie pomyśleć, że przestaję z plebsem. Maartje będzie musiała zaraz wywietrzyć, bo czuć tutaj teraz przypaloną cebulą – rzuciła i jak na komendę znieruchomiała.

Usiadłam na dywanie, otworzyłam pośpiesznie zeszyt i chwyciłam w dłoń węgiel. Nie musiałam już nawet patrzeć na panią Vermeulen. Owal jej twarzy, zarys figury i właściwe proporcje miałam już zapisane pod powiekami. Zaczęłam cieniować jej włosy i sukienkę. Starłam się jak najdelikatniej wydobyć rasowe kształty jej porcelanowego czoła i prostego, zgrabnego nosa. Najwięcej trudności przysporzyły mi obfite fałdy przy spódnicy, ale starałam się z całych sił, jak najdokładniej umiałam,

odwzorować ich skomplikowany światłocien, kryjący się w licznych załamaniach materiału.

Kiedy skończyłam, zdmuchnęłam pył, który nagromadził się w miejscach, gdzie najmocniej przyciskałam węgielek, i dopiero wtedy odważyłam się podnieść głowę. Pani i pan Vermeulenowie przyglądali mi się bez słowa. W ich oczach dostrzegłam napięcie. Wstałam, czując ścierpnięte kolana od nerwowo napiętych mięśni, i podałam kajet stojącemu przy stole panu.

– Niewiarygodne... – mruknął, wpatrując się w rysunek. – Johanno, wszystko wskazuje na to, że ta dziewczyna nie kłamie. Podobieństwo jest uderzające – dodał, przybliżając szkic do oczu. – Kto cię tego nauczył? Kim ty właściwie jesteś?

– Jestem Cornelia Smid, panie. Nikt mnie niczego nie uczył... ja sama...

– Gdyby nie fakt, że mamy już końcówkę dziewiętnastego wieku, pomyślałbym, że lekcji udzielał ci sam mistrz Vermeer! Genialnie operujesz światłem! Posyłamy naszego pierworodnego na niezwykle kosztowne lekcje rysunku, ale, na Boga, bijesz go na głowę!

– Nie przesadzaj, Julianie – odezwała się popatrująca na rysunek zza ramienia męża pani Vermeulen. – Ruben jest niezwykle uzdolniony, tylko... leniwy – przyznała z trudem. – Zamiast brylować w kasynie przy Langestraat, poświęciłbyś mu trochę więcej czasu.

– To nie miejsce na takie rozmowy, Johanno! Spójrz wreszcie na ten szkic!

Pani Vermeulen posłusznie zerknęła na swoją podobiznę.

– Nawet się sobie tutaj podobam – przyznała w końcu. – Naprawdę mam takie krągłe policzki? I ten podbródek? Hm... ale do twarzy mi z pełniejszą buzią. Zostaw ten rysunek na stole – dodała, zwracając się do mnie nieco łagodniejszym tonem. – Pokażę go Christianie i Marii. A ty idź już do swoich obowiązków. Jutro możesz przyjść posprzątać salon. Niech Ilse zostanie w kuchni i wyszoruje kafle przy palenisku. Nie będę jej już potrzebować.

Wyrwałam delikatnie kartkę z portretem pani z zeszytu, skłoniłam się nisko i trzymając prosto głowę, wyszłam z pokoju. Za drzwiami ogarnął mnie strach. Jak mam powiedzieć Ilse, że mam ją jutro zastąpić na górze?

Przecież nigdy mi nie uwierzy, że naprawdę nie zrobiłam niczego, żeby przypodobać się pani i wkraść w jej łaski.

Zeszłam po schodach, ciągnąc za sobą wiadro i szczotkę i układając sobie w myślach przemowę, którą zaraz wygłoszę w kuchni, gdy nagle usłyszałam cichy płacz. Nadstawiłam ucha. Dochodził z ogrodu. Ostrożnie uchyliłam drzwi i zerknęłam w kierunku, skąd dobiegało łkanie. Zwaantje! Jednym susem znalazłam się przy siostrze. Miała czerwoną, zalaną łzami twarz.

– Co się stało? – Szarpnęłam ją za ramiona. – To ten chłopak, tak? Nie musisz nic mówić, przecież widzę! Próbował cię chęć... chędy... się na ciebie kłaść? Niegodziwiec!

– Nie gadaj głupot, dzieciaku! – Szybko otarła mokre policzki rękawem. – Nalega, żebym mu się oddała, ale ja wiem... ja wiem, że to się nie godzi. Och, Cornelio, powiedz mi, co mam robić. Ja go... chyba kocham!

– Coś razem wymyślimy. A teraz chodź, musisz mi pomóc z Ilse. Teraz na pewno będę miała w niej wroga.

Rozdział XI

Bogna

Delft, 2020

Zgodnie z wcześniejszą umową z Jacobem punktualnie o ósmej weszłam do galerii. Czekał już na mnie przy kontuarze, zastawionym równymi rzędami błękitnych figurek. Tym razem był ubrany starannie, w staroświecką kraciatą marynarkę z łatami na łokciach i zaprasowane w kant spodnie z ciemnego materiału. Włosy przygładził brylantyną, jak przedwojenny amant.

– Jaką masz piękną sukienkę, Bogno! – zakrzyknął, wpatrując się we mnie urzeczony.

Sploniałam się jak piwonia, nie nawykłam bowiem do przyjmowania tak entuzjastycznych komplementów od wiekowych dżentelmenów.

– Kupiłam ją w małym butiku na starówce. Urzekł mnie jej niezwykły kolor.

– To błękit pruski – powiedział Mulder i zmrużył ukryte za szylkretowymi okularami oczy.

– Lazurowy, błękit kobaltowy, granatowy, szafirowy... te kolory znam! Ale błękit pruski? Brzmi tak obco, tak zimno... – przyznałam szczerze. – Choć chyba coś już o nim słyszałam na zajęciach na akademii.

– Przez całe lata ludzie nie potrafili dostrzec tej barwy w przyrodzie – zaczął Mulder. – Nie mam pewności dlaczego, może go nie lubili albo po prostu się go bali. Uznawali go za jeden z odcieni zieleni i nawet nie mieli dla niego odrębnej nazwy.

– To niewiarygodne... czyli niebieskiego po prostu... nie było? Nie wyobrażam sobie świata bez tego koloru. Jest dla mnie symbolem wyciszenia. Jak niebo i bezbrzeżne połączenie oceanów.

– Po raz pierwszy pojawił się w języku Egipcjan, którzy, oczarowani błękitem, wyodrębnili go w swoim narzeczu. Egipcjanie bardzo długo utrzymywali, że posiadają własne złoża lapis-lazuli, ale tak naprawdę wydobywali je w kopalni w dzisiejszym Afganistanie. Zresztą, co ciekawe, ta kopalnia eksploatuje te kamienie do teraz.

– Te same, z których robi się naszyjniki?

– Dokładnie. Tylko że w tamtych czasach stosowano lapis-lazuli raczej do ozdabiania drogocennych skrzyń. Nawet mumia królowej Kleopatry miała oczy z tego kamienia. Był nazywany kolorem bogów. Pierwsi chrześcijanie pokazali przecież matkę Jezusa w niebieskich szatach. Sproszkowany lazuryt był wart fortunę.

– A jak ten barwnik znalazł się na paletach znanych malarzy? – Podparłam ręką brodę, wpatrując się roziskrzonym wzrokiem w Muldera. Jak ja kochałam takie ciekawostki!

– Kreatywność człowieka nie zna granic... – Uśmiechnął się. – W starożytnych Chinach sprytni chemicy wynaleźli błękitną farbę. Używali ją do ozdabiania ciała lub farbowania szat, a nawet, co wydaje się nam dzisiaj niewiarygodne, rozcieńczali niebieską ciecz wodą i dawali do picia cesarzom, wierząc, że eliksir pomoże wzmocnić ich kondycję.

– A gdzie w tym wszystkim błękit pruski z mojej sukienki?

– Jesteś niecierpliwa, Bogno. Ale doskonale cię rozumiem. Tę barwę, jak to powiedziałaś, o zimnej nazwie, zawdzięczamy niemieckiemu alchemikowi, który przez zupełny przypadek, kto wie, może był równie ciekawy świata jak ty, wymieszał ciemnoczerwony ekstrakt koszenili, siarczan żelaza i węglan potasu i uzyskał niezwykle głęboki odcień niebieskiego, który trzymał się bez trudu na różnych powierzchniach.

– Te chemiczne nazwy mnie przerażają. Tym się chyba różnimy... I cóż ów Niemiec zrobił z tym wynalazkiem?

– Dippel, bo tak się nazywał ten alchemik, w mig zwrócił uwagę, że może ubić na swoim odkryciu spory interes, i przez całe lata trzymał w tajemnicy genialną recepturę, zarabiając na tym krocie. I oto masz swój cenny błękit pruski. Noś go często, pięknie harmonizuje z twoją karnacją. – Znowu mnie skomplementował, ale po sekundzie wylał na moją głowę wiadro zimnej wody. – Ale raczej nie do pracy. Włóż ten szary fartuch, który wisi na wieszaku za drzwiami. Musisz chronić swoją sukienkę, bo za chwilę od stóp do głów będziesz pokryta kurzem i pyłem. A teraz zakończmy już naszą konwersację, bo przed drugą muszę być na bardzo ważnym spotkaniu.

– Tak jest, szefie! – Zasalutowałam do gołej głowy.

Chciałam być zabawna, ale Mulder spojrzał na mnie dziwnie. I nic już więcej nie powiedział.

Kiedy kilka godzin później, przeciągając ścierpnięte ramiona, brnęłam po schodach do swojej kawalerki, marzyłam o ciepłym prysznicu, gorącej herbacie i wygodnej kanapie. Kiedy próbowałam domyć pokryte stuletnim brudem dłonie, nagle zadźwięczał dzwonek mojej komórki.

– I jak tam po pierwszym dniu porcelanowej przygody? – Po drugiej stronie telefonu odezwał się wesoły głos Nienke. – Masz ochotę na piwo w centrum? Zaraz kończę pracę i możemy się spotkać na ploteczki. Chwila wytchnienia dobrze ci zrobi. Daj mi kilka minut, zlokalizuję tylko, gdzie jest Ingmar.

– Właściwie to miałam zlec na poduszkach. Jestem wykończona!

– Na to będziesz miała czas na emeryturze. Już, już, szykuj się! – zakomenderowała Nienke.

– Niech ci będzie... Piwo jest świetnym pomysłem, ale najpierw zamówimy coś do jedzenia – jęknęłam. – Mulder nie dał mi nawet chwili wytchnienia. Pogryzałam swoją bułkę nad stosem błękitnych talerzy, połykając tonę kurzu!

– Tylko nie poddaj się na samym początku, Bogna. Tak jak większość twoich poprzedników.

– To byli już jacyś kandydaci przede mną? – zapytałam ożywiona. – Nic mi o tym nie wspominałaś!

– Muszę kończyć! Widzimy się za pół godziny przy ratuszu! – krzyknęła nagle moja nowa przyjaciółka i odłożyła słuchawkę.

– Poczekaj, moja panno... – zamruczałam pod nosem. – Zasławska nie da się tak łatwo zbyć. Zaraz wyciągnę z ciebie wszystko, bo zdaje się, że pan Mulder nie zdradził mi jeszcze wszystkich swoich tajemnic.

Zrzuciłam ciuchy i wskoczyłam pod prysznic. Kiedy wypachniona i przebrana w świeże T-shirt i džinsy przebiegłam obok witryny Błękitnego Kolibra, zauważyłam, że w środku nadal paliło się światło. Mulder pomimo swojego wieku pracował jeszcze ciężiej niż ja.

– Tutaj! Bogna, tu siedzimy! – Nienke i Ingmar dostrzegli mnie już z oddali i poczęli machać zawzięcie spod błękitnej, a jakże, markizy

w najpopularniejszej restauracyjce w mieście. – Spóźniłaś się! – Nienke zabawnie pogroziła mi palcem. – Jak na pokutnicę przedzierającą się przez stutonowe zwały kurzu wyglądasz niezwykle kwitnąco. Prawda, kuzynie? – zapytała Ingmara, szturchając go w ramię.

– Dziewczyny, jestem jak przekreślony przez wyżymaczkę – jęknął. – Miałem dzisiaj grupę trzydziestu emerytek z Belgii. Wszystkie nieco przygłuche i niezwykle dociekliwe! Najbardziej interesowało je... nie uwierzycie co...

– Życie erotyczne Johannesesa Vermeera – rzuciłam i zaczęłam przeglądać kartę.

– Gorzej! Jaki typ niewiast preferował i czy lubił atrakcyjne starsze kobiety!

– Chyba nie bardzo, zważywszy na to, że mieszkał w domu teściowej, a ta, mówiąc delikatnie, za nim nie przepadała – prychnęła Nienke.

– Przecież nie mogłem ich od razu do siebie zniechęcić. Poza tym teściowa w końcu go zaakceptowała, jak by nie patrząc, utrzymywała przez lata całą jego rodzinę.

– Jak to utrzymywała? – zdziwiłam się. – Przecież Vermeer zgarniał krocie!

Ingmar i Nienke jak na zawołanie wybuchnęli śmiechem.

– Hej, Bogna, zjeżdż na ziemię. Mówimy o siedemnastym wieku. Zarabiał wówczas nie więcej niż zwykły marynarz, podobno dwieście guldenów za trzy obrazy, a tyle średnio malował w rok – powiedział Ingmar.

– A w tym czasie inni machali ich prawie pięćdziesiąt – dodała Nienke. – Vermeera uważali za lenia albo takiego, jak byśmy to powiedzieli współcześnie, niedzielnego kierowcę, wyciągającego swoje auto z garażu, żeby przejechać się uroczyście do kościoła.

– Za to był płodny w alkowie, bo po jego domu biegało aż jedenaścioro dzieci – dodał Ingmar i się roześmiał. – Ale wracając do trzydziestu babć z Belgii... Chyba wybrnąłem dyplomatycznie, bo powiedziałem, że tak piękne panie, jak moje emerytki, Vermeer na pewno by adorował i kto wie, być może namalował na swoich obrazach. Od razu mnie polubiły! Ale fakt faktem, przeorały mnie tą atencją na amen! W dodatku jestem diabelnie głodny! Co zamawiamy?

– Polećcie mi jakiś holenderski przysmak – poprosiłam. – Na razie jedyną potrawą, jaką jadłam w Delfcie, jest pizza, ale ona chyba wszędzie jest taka sama.

– Zamówimy musztardówkę! Z wędzonym łososiem i koperkiem! Co ty na to? – Nienke aż klasnęła z radości.

– Musztardówkę? W Polsce nazywamy tak niezbyt eleganckie słoiczki z grubym denkiem, które używa się później jako szklanki.

– Tutaj nie zobaczysz denka, a dno! Talerza, kiedy już ze smakiem połkniesz całą zupę i zakochasz się w niej na zawsze, gwarantuję ci to – zapewnił solennie Ingmar.

– Zaproponowałeś ją również swoim emerytkom? – zażartowałam. – Niech już będzie ta wasza magiczna zupa, zgadzam się.

Po złożeniu zamówienia zdecydowałam się w końcu odpalić działa:

– Nienke, podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej wspomniałaś coś o innych pracownikach Muldera. Nie rób takiej niewinnej miny, bo i tak ci nie odpuszczę. O co w tym wszystkim chodzi? Mów wszystko jak na spowiedzi!

– Niepotrzebnie dopatrujesz się tu jakichś sensacji, Bogna. – Wzruszyła ramionami. – Mulder jest po prostu bardzo... Jak by to powiedzieć? ... ekscentryczny. Kiedy spotkałaś go u mnie w hotelu, przyszedł mnie prosić, czy nie mogłabym rozłożyć na kontuarze ulotek, że pilnie poszukuje pracownika do Kolibra. Na moje stwierdzenie, że goście zatrzymujący się w hotelu przybywają do Delftu raczej w celach turystycznych, a nie zarobkowych, zezłościł się i powiedział, że gdyby nasi przodkowie mieli taki sztamkowy sposób myślenia, nigdy nie wynaleźliby...

– Błękitu pruskiego? – rzuciłam z rozpędu.

– Blisko! Błękitu majańskiego.

– A to jakaś nowość! – zdziwiłam się. – O majańskim nic mi nie wspominał. Zaraz zerknę do wujka Google...

– Nie musisz, mamy tutaj naszego własnego wujka. Ingmar to chodząca encyklopedia.

– To tylko tak egzotycznie brzmi – odparł. – Mulder lubi wielkopańskie zwroty. Chodzi o zwykłe indygo. Pokryte są nim święte miejsca Majów,

rytualne maski, wizerunki bogów. Ten barwnik był niezwykle trwały i intensywny.

– Ale mówiłaś coś o innych pracownikach, którzy nie zagrzali w tej robocie miejsca. Może i ode mnie oczekuje rzeczy niemożliwych?

– Po prostu jest bardzo apodyktyczny. Wymaga sprawnych rąk i tęgiej głowy. Trafiłaś się mu jak ślepej kurze ziarno. Jeden mój kumpel pomagał mu w Kolibrze i mówił, że on najwyraźniej czegoś szuka w tej zbieraninie błękitnych skorup...

– Ale czego? – Podniosłam na Ingmara zaintrygowany wzrok.

– W tym sęk, że nikt tego nie wie.

Następnego dnia nie włożyłam już do pracy sukienki, którą zachwycił się Mulder. Naciągnęłam na grzbiet zwykłą bawełnianą koszulkę i wytarte džinsy. Jacob już na mnie czekał przy drzwiach.

– Chciałbym, żebyś zaczęła dzisiaj segregowanie całej zgromadzonej tu ceramiki. Musisz ją podzielić na fajans i kamionkę. Odróżniasz te dwa rodzaje naczyń?

– Oczywiście! – potaknęłam. – Fajans na pierwszy rzut oka łatwo pomylić z porcelaną, ale w przeciwieństwie do niej nie przepuszcza światła, jest grubszy i cięższy. O, na przykład ten. – Chwyciłam stojące na kontuarze naczynie. – To fajans. Jest powleczony nieprzezroczystym szkliwem.

Mulder z aprobatą kiwał głową.

– Wiesz dlaczego?

– Żeby zapobiec nasiąkaniu wodą – wyrecytowałam jak na egzaminie maturalnym.

– A kamionka? Pokaż mi wśród tych wszystkich błękitnych dóbr kamionkę.

„Chyba za późno na testy, skoro już mnie przyjąłeś?” – pomyślałam zniecierpliwiona, ale posłusznie rozejrzałam się po otwartych skrzyniach.

– Ten wazon! Albo to głębokie naczynie... Nie wiem, jak je nazwać. Moja babcia kisiła w takim garnczku ogórki.

– A moja kapustę! Brawo! I pamiętaj, żeby uważać przy segregowaniu flizów...

– Tu mnie pan zagiął. Nie wiem, co to jest – przyznałam szczerze.

– W końcu! Już myślałem, że jestem tutaj zbędny! To nic innego jak ceramiczne płyty do wykładania ścian i podłóg w celach dekoracyjnych. Nazywamy je podróbkami oryginalnych delftów, bo praktycznie nie były wytwarzane na terenie naszego miasta. Koliber był wyjątkiem. Fajanse szklione cyną według tego samego wzoru produkowano głównie w Rotterdamie i Fryzji. Mogą się jednak znajdować w moim sklepie i chciałbym, żebyś je wyszukała. Pamiętaj, bądź uważna, zwracaj uwagę na detale, czasem nawet najmniejszy z nich może mieć kluczowe znaczenie. Jak się już z tym wszystkim uporasz, zajmiemy się filizankami. Chciałbym je zostawić na sam koniec.

– Dlaczego akurat filizanki? – zapytałam zdziwiona.

– Odpowiedź przyjdzie we właściwym czasie, Bogno. I dam ci jedną mądrą radę starego człowieka: w tym miejscu lepiej powstrzymać zbytnią ciekawość. Staranność i bystre oko wystarczą.

Pomimo dziwnego momentami zachowania Jacoba Muldera nie żałowałam ani przez chwilę, że przyjąłam jego propozycję. Lubiłam grzebać „w skorupach”, jak nazywał błękitne naczynia Ingmar. Siedziałam pośród rozstawionych wokół skrzyń i sztuka po sztuce oglądałam każdy najmniejszy wazonik, talerzyk i dzbanuszek, opakowany w zabezpieczającą kruche cacka folię. Te, które budziły moje wątpliwości, musiałam opisać i sprawdzić ich sygnaturę w grubych katalogach leżących na kontuarze albo w ostateczności skonsultować problem z Jacobem.

Mulder coraz częściej wychodził w ciągu dnia na jakieś umówione wcześniej spotkania. Czasami do galerii wpadała jego gospodyni, Coba, która przynosiła mi świeże bułeczki cynamonowe z pobliskiej piekarni. Jak się dowiedziałam, to właśnie Coba uporządkowała dla mnie kawalerkę nad Kolibrem. Pracowała dla Mulderów już ponad czterdzieści lat. Na początku traktowała mnie nieufnie, z dystansem, a potem nagle pewnego dnia, kiedy opowiedziałam jej o moich wątpliwościach dotyczących sznurka zwisającego z sufitu, uznała mnie „za swoją”. Mówiła po angielsku z zabawnym akcentem, wtrącając czasem, kiedy brakowało jej właściwego słowa, jakiś zwrot w lokalnym dialekcie.

– Ja na początku myślałam, że ty ważna pani, architektka, nie, nie... Jak jej tam? A mam! Archeolożka!

– A dlaczego archeolożka? – zapytałam rozbawiona. – Czyżbym wyglądała na kogoś, kto tropi w ziemi ślady dawnych cywilizacji?

– A ta nasza porcelana to niby nie prehistoria? Pan Mulder mówi, że wytwarzano ją setki lat temu. Toć przecież wtedy dinozaury po ziemi chodziły.

– Już chyba ich nie było, wymarły na długo przed fajansami z Delftu.

– Kto to takiego dinozaura wie. Może ukrył się pod jakim kamieniem i przeczekał?

– A co jeszcze mówił pan Mulder? – Postanowiłam skorzystać z okazji i dyplomatycznie wypytać gadatliwą i przesympatyczną gospodynię.

– No nachwalić się ciebie nie mógł! A pan Mulder wybredny, bo i wykształcony, i w wielkim świecie obyty. Nie to co ja, poza Delft nosa nie wystawiam, bo i na co mi dalej szukać, jak tutaj wszystko mam?!

– A rodziny pan Jacob nie odwiedza? Bo coś tam mówił o jakimś bratanku, ale nigdy go tutaj nie widziałam – zagałam sprytnie.

Twarz Coby spochmurniała nagle.

– Ja tam nic nie wiem! Pora na mnie! Jakby Bogna świeżą pościel chciała albo dodatkową poduszkę, to proszę śmiało mówić. W tej łupince na górze to nawet miejsca na pralkę nie ma, dlatego do swojej wrzucę i upiorę. Żadna fatyga!

– A długo ta kawalerka stała pusta? Trochę szkoda, przecież można by ją wynajmować. To doskonała lokalizacja. – Podjęłam ostatnią próbę pociągnięcia gospodyni za język. – Tym bardziej że w Delfcie widziałam pełno młodzieży.

– Tak, mamy tu mnóstwo studenciaków, głównie z Uniwersytetu Technicznego. Ale Mulderowie nigdy nie wpuściliby na swoje włości kogoś obcego i niezaufanego. To pan Eugène zawsze tutaj pomieszkiwał. –

Gospodyni zmarszczyła czoło. – Na strychu te swoje manuskrypty trzymał i jakieś tomiszcza o porcelanie. Nikomu tam wchodzić nie pozwalał i nawet mnie sprzątać nie dał. Po jego śmierci wszystko, co cenniejsze, zabrał jego syn, a mieszkanie pan Mulder odmalować i wyremontować kazał, bo stuletnim kurzem porosło. Potem się młodszy pan rzucał trochę, że w końcu to wszystko sprzedać trzeba, a nie grzebać i segregować Bóg wie po co... I chyba nadal się piekli, bo jemu do pieniędzy spieszno zawsze było. A sam

tego chaosu narobił, bo swojego ojca ciągle na nowe okazy namawiał i stąd ten bałagan. W galerii zawsze tylko delfty były, a teraz to wszystkiego po trochu. Będzie miała Bogna roboty, żeby to uporządkować! No, ale dość już powiedziałam! Bogna to tak umiejętnie podpytać umie, a mnie przecież nie wypada tak głądzić o nieswoich sprawach.

Podziękowałam i odprowadziłam ją do wyjścia. Przed witryną stał pan Mulder i podniesionym głosem rozmawiał z kimś przez telefon. Zerknęłam szybko na Cobę, ale ta czmychnęła czym prędzej na drugą stronę ulicy. Kiedy Jacob spostrzegł, że stoję na progu, wyraźnie się zmieszał i błyskawicznie zakończył konwersację.

– *Heb je wat begrepen?* – zapytał mnie po holendersku.

– Przepraszam, ale nie rozumiem! – Zamrugałam zaskoczona.

Dotychczas rozmawialiśmy wyłącznie po angielsku. Cóż to za zmiana? A może chciał sprawdzić, czy coś usłyszałam...?

– Nic nie szkodzi... Będę się już zbierał – rzucił oschle. – Jak skończysz, zamknij dokładnie galerię na górny i dolny zamek. Widzimy się jutro.

– Dobrze – mruknęłam pod nosem i wróciłam do środka.

Wystarczyło kilka minut, a zapomniałam o bożym świecie i znalazłam się w magicznej krainie błękitu, który tak mnie uspokajał.

Godzinę później, kiedy w końcu opatentowałam swój własny system układania i zapisywania otaczających mnie zewsząd naczyń, dostrzegłam, że – tak jak mówiła gospodyni – nie wszystkie z nich pochodzą z Delftu. To był raczej mój instynkt i myśliwski nos, jak mawiał żartobliwie dziadek, a nie wiedza. Kilka razy natknęłam się na wyróżniające się wśród innych kubki z dwoma uchwytnymi i przykrywką oraz fajansowe pojemniki o najprzedziwniejszych kształtach, które – jak wskazywał haczyk z tyłu naczynia – przeznaczone były do wieszania na ścianie. Ozdobiono je głównie motywami kwiatowymi, ale zdarzały się także ryby, zwierzęta i ptaki. Zaciekawiona zerknęłam na sygnaturę, a potem do katalogu z opisem charakterystycznych dla danej wytwórni naczyń. Okazało się, że kubki i pojemniki, które trzymałam w rękach, pochodzą z angielskich manufaktur, z Bristolu. „Temple Back” – przeliterowałam nazwę jednej z nich i przetałam zmęczone odcyfrowywaniem zawiłych wzorów oczy.

– Halo, jest tu ktoś? – Przy drzwiach stał uśmiechnięty Ingmar. Trzymał dwa olbrzymie papierowe kubki. W pomieszczeniu rozszedł się zniewalający aromat świeżo parzonej kawy. – Mam nadzieję, że nie ma pana Muldera. Zabiłby mnie za tę profanację. Papierowe naczynia w jego fajansowym królestwie! Sęk w tym, że to najlepsza kawa w okolicy. Gdzieś się tam zagrzebała, Bogna?

– Chodź, z nieba mi spadłeś! – zawołałam. – Walczę z papierologią, a raczej ze wszechobecnym chaosem. Powiedz mi, skąd tutaj te angielskie skorupy? Myślałam, że Błękitny Koliber to holenderska manufaktura.

Ingmar postawił kubki na zakurzonej blacie i ze skupioną miną podszedł do skrzyni, przy której siedziałam.

– W rzeczy samej, Koliber jest holenderski. Ale bratanek Jacoba ma galerię w Londynie, pewno coś tu próbował upchnąć. Pokaż, co tam masz. – Zaciekawiony sięgnął po dzbanuszek.

– To typowy *posset pot*! Służyły do picia zdrowotnego napoju z mleka, przypraw i alkoholu – wyjaśnił. – A te tutaj... – Wskazał trzymany przeze mnie pojemnik. – ...to *wall pocket*. Bardzo popularny w Wielkiej Brytanii. Wieszano je na ścianach w kuchni. Chodź wreszcie, bo kawa wystygnie!

– Zaraz, zaraz! Nie dam się tak łatwo zbyć! Żadna kawa! Mów, o co chodzi, bo wyczuwam tutaj jakieś wrogie wibracje na linii bratanek–stryj.

– Przed tobą nic się nie ukryje – westchnął Ingmar. – W rzeczy samej, Mulderowie raczej za sobą nie przepadali. Według mojego ojca Eugène, czyli starszy z nich, nastawiał się bardziej na zysk i dlatego naciskał na sprzedawanie tutaj również i angielskich wyrobów. Jacob twierdził, że to zdrada, ponieważ Anglicy kopiowali bez pardonu holenderskie wzory. Kiedyś ojciec był nawet świadkiem jakiejś ich kłótni, ale nie znam szczegółów. Staruszek nie jest wylewny, a ja, jak widać, pytluję tu z tobą jak przekupa na rynku. To co robisz z tymi wrogimi „anglikami”? Kazał ci je wyrzucić? On ma czasem dziwne pomysły.

– Broń Boże, aż tak szalony nie jest! Mam je odłożyć do osobnej skrzyni i opisać. Pewnie te cacka odda na jakieś charytatywne aukcje. Zobacz to... – Odwróciłam dzbanuszek spodem do góry. – Widzisz? Pochodzi z końca osiemnastego wieku. Te bazgroty to inicjały garncarza, który ozdobił to naczynie.

– A te cyferki? – Ingmar pochylił się nade mną.

– To numer formy i rodzaj gliny – wyjaśniłam. – Nie patrz tak na mnie. – Roześmiałam się, widząc jego pełen podziwu wzrok. – Mogłabym udać, że jestem tak odczytana i zrobić na tobie wrażenie, ale nie będę ściemniać. Przed chwilą sama przeczytałam o tym w katalogu. Ogromnie mnie to fascynuje – przyznałam. – A teraz dawaj tę kawę, bo zaschło mi w gardle od tego pyłu.

– Nie musisz kłamać, żeby zrobić na mnie wrażenie. To już się stało – powiedział Ingmar i nagle zrobiło się poważnie.

– Dzięki, przyjacielu! – Przerwałam w końcu niewygodne milczenie. – Gdyby nie ty i Nienke, byłabym tutaj bardzo samotna.

Rozdział XII

Cornelia

Alkmaar, 1881

Od czasu, kiedy państwo odkryli naszkicowany przeze mnie portret, moja sytuacja nieco się poprawiła. Podobno przyjaciółki pani Vermeulen były zachwycone doskonale oddanym na rysunku podobieństwem. Oczywiście pani nie powiedziała im, kto go stworzył, to uwłaczało jej godności, ale nie miało to żadnego znaczenia. Najważniejsze, że zaczęła mnie traktować nieco przychylniej. Czasem wcześniej rano mogłam jej towarzyszyć podczas porannej toalety. Ilse fukała jak rozzłoszczona kotka, kiedy wdrapywałam się razem z nią na wysokie schody, ale polecenie pani było świętością.

– Tylko nie leż za mną do pokoju kąpielowego! – syknęła, kiedy o dziewiątej stanęłyśmy ramię w ramię przed sypialnią pani Vermeulen.

Poprawiłam szybko zsuwający się z głowy czepek. Zdążyłam wyprać już całe naręczce bielizny i wyszorować pół tuzina garnków, a pani ciągle spała. Zwaantje powiedziała, że teraz, kiedy jest przy nadziei, zdarza się jej leżeć w łóżku nawet do południa.

– Nie pojmuję tego – odpowiedziałam zdumiona. – Przecież nie jest chora. Świat jest taki piękny. Pani może pójść na spacer, do ogrodu, pojechać do miasta. Robić wszystko, czego zapagnie! W łóżku jest... nudno. Nawet jeżeli jest najpiękniejsze na świecie... to tylko mebel.

– A ja ją rozumiem. – Zwaantje wzruszyła ramionami. – Gdybym była na jej miejscu, przez tydzień nie wychodziłabym z tej pięknej jedwabnej pościeli, którą tak starannie składasz. W końcu wyspałabym się na miękkich poduszkach – rozmarzyła się moja siostra.

– Gdybym ja była tak majątna, podróżowałabym po całej Holandii. A kto wie, może i po innych krajach. I malowałabym! Na prawdziwych sztalugach, prawdziwymi farbami!

– Moja mała marzycielka. – Roześmiała się i pociągnęła mnie za warkocz.

A tymczasem stałam tu, przed sypialnią pani, która mogła wszystko, a wybierała... nic. Ilse zapukała cicho i po chwili oczekiwania nacisnęła klamkę. Na środku wyłożonego miękkim puchatym dywanem pokoju

królowało łoże zasłane ciężką, ozdobną narzutą obramowaną złotymi frędzlami. Nad nim wisiał baldachim w identycznym odcieniu, dojrzałego wina. Pod ścianą stała zapełniona buteleczkami, puzderkami i pudrami w ozdobnych pudełkach toaletka z drewna różanego, w ulubionym przez panią stylu Ludwika XV. Wszędzie unosił się zapach kwitnących za oknem czereśni.

– Pani śpi tutaj sama? – zapytałam cicho Ilse, onieśmielona przepychem i kolorami. Moje nędzne łapcie zapadały się w miękkości dywanu jak łyżka w owsiance, którą rano przyrzędziła mi Femke.

– A jakże! – prychnęła. – Apartament pana jest po drugiej stronie korytarza. Często wraca późno i nie chce jej budzić. I nie bądź taka ciekawska, to tutaj niemile widziane!

Niepomna na jej połajanki, rozglądałam się, nie mogąc się nadziwić, że można mieć tylko dla siebie tyle przestrzeni. Na takim łożu zmieściłoby się bez problemu czworo dorosłych ludzi! Moi rodzice spali na wąskim, twardym posłaniu w kącie chaty i błogosławili Pana Boga, że nie muszą się w nim gnieździć z dziećmi. Kiedy urodziła się Zwaantje, podobno koczowali wraz z dziadkami w jednym pomieszczeniu, które było o połowę mniejsze od sypialni pani Vermeulen!

– Jest już w pokoju kąpielowym. Muszę jej pomóc się umyć. Ty tutaj czekaj i niczego nie ruszaj – przykazała Ilse.

Posłusznie pokiwałam głową. Kiedy dziewczyna wyszła, na sekretarzyku pani zauważyłam swój szkic w srebrnej oprawie, za szkłem. Aż pisnęłam z niedowierzania! Mój rysunek, mój własny rysunek w tak pięknym miejscu, na pańskich salonach! Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Gdyby Jesper to zobaczył, na pewno byłby ze mnie dumny!

Już chciałam podejść bliżej, żeby chociaż musnąć kawałek oprawki opuszką palca, ale do sypialni weszła pani. Dygnęłam pospiesznie, ale nawet nie zwróciła na mnie uwagi. Ilse zaczęła ją ubierać jak lalkę.

– Zasznurowuj ciaśniej ten gorset! – poleciła pani i pochyliła się do przodu, opierając ciężko dłonie na ozdobnej toalecie. – Nie chcę wyglądać grubo. Postarza mnie to. A Julian brzydzi się tłustym cielskiem.

– Nie mogę ciągnąć za mocno... talia pani nie jest już tak... smukła jak przed kilkoma miesiącami – powiedziała cicho Ilse. – Jest pani przy

nadziei. Trochę cierpliwości i wróci pani do dawnych kształtów. Dziecko jest teraz najważniejsze.

– Zamilcz, głupia dziewczucho, i rób, co ci każę! Kto dał ci prawo mnie pouczać? Obetnę ci tygodniówkę! A ty nie stój jak ciele, podaj halki! – huknęła w moją stronę.

Podbiegłam, chwytając w locie przełożone przez poręcz krzesła jedwabie. Broda Ilse drżała, dziewczyna z trudem powstrzymywała się od płaczu. Pani wdziała na gorset cieniuchną koszulkę, a potem suknię z jakiegoś cienkiego, miłego w dotyku materiału. Ilse dopadła jej opuchniętych w kostkach stóp, wsunęła na nie skórzane buciki z wysoką cholewką i poczęła cierpliwie zapinać dwanaście miniaturowych guziczków. Po skończonej pracy wstała i chwyciła za leżący na toalecie inkrustowany podłużnymi kamieniami srebrny grzebień. Czułam się tutaj niepotrzebna, jak intruz, ale twardo stałam przy ścianie, czekając na dalsze polecenia.

– Przyglądasz mi się, Cornelio? – zapytała nagle pani.

Drgnęłam na dźwięk swojego imienia. Dotychczas nazywała mnie głupią dziewczuchą albo kocmołuchem. Ilse też to zauważyła i z trudem ukryła irytację w ciemnych, prawie czarnych oczach. Upinała właśnie srebrnymi szpilkami kunsztowną fryzurę na głowie swojej chlebobawczyni.

– Tak, pani – potaknęłam śmiało.

– I jak myślisz, mogłabyś namalować mój portret? Ale nie ołówkiem, farbami, w oleju. Znasz farby? Wiesz, co to płótno, blejtram, sztalugi?

– Przecież to głupie dziewczynisko, nawet do trzech zliczyć nie potrafi! – nie wytrzymała Ilse. – Pani powinna zatrudnić prawdziwego artystę, a nie tę przybłędę z Delftu! Nadaje się toto tylko do szorowania podłóg i wynoszenia nieczystości z nocników!

Pani odwróciła się w kierunku służącej, uczyniła dłonią zapraszający gest, a kiedy dziewczyna nachyliła się nad nią nisko, z całej siły trzasnęła ją w twarz. Ilse jęknęła cicho i złapała za gorejący policzek.

– Nikt cię nie pytał o zdanie! Pożegnaj się zatem z drugą tygodniówką! A teraz przypudruj mi twarz i nałóż odrobinę różu, ale nie takie grube warstwy, co ostatnim razem. Mój małżonek stwierdził, że wyglądam jak kokota! Cornelio, cały czas czekam na odpowiedź na moje pytanie!

– Tak, pani, wiem, co to farby. Umiem malować obrazy... – skłamałam sekundę później.

Tak naprawdę nigdy jeszcze nie stałam przy prawdziwych sztalugach, ale w głębi duszy wiedziałam, że sobie poradzę. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić szczęścia obcowania z płótnem i pędzlami, których włosie jest miękkie i delikatne, a nie twarde i szorstkie jak sierść świniaka.

– Na moich przyjaciółkach największe wrażenie zrobiło umiejętne użycie przez ciebie światła i cieni. Potrafisz dostrzec subtelne detale, wstążki, załamanie jedwabiu, kształt naszyjnika oplatającego moją szyję... To niewiarygodne, że ktoś taki jak ty, wywodzący się z biedy, z ludu, ledwie umiejący zliczyć do dziesięciu, to potrafi.

„Umiem liczyć do stu” – zaprotekowałam w myślach, ale pomna słów pana Vermeulena, że mam się nie odzywać niepytana, ugryzłam się w język. Nie potrzebowałam ściągać na swoją głowę więcej kłopotów.

– Mój mąż poczyni odpowiednie sprawunki. – Pani spojrzała z aprobatą na swoje odbicie w lustrze. Upięte wysoko przez Ilse włosy pięknie podkreśliły jej wystające nieco kości policzkowe. – To, że pozwolę uwiecznić siebie na twoim obrazie, nie oznacza, że darzę cię jakimiś szczególnymi względami – dodała, wydymając pociągnięte karminem pełne usta. – Nadal masz sumiennie wykonywać swoje obowiązki na dole, zrozumiano? Przekaż Femke, że dziś życzę sobie na obiad rosół z kapłona i grzybów. A teraz idźcie już sobie. Chcę zostać sama.

– Pani, jeszcze kapelusz... – bąknęła nieśmiało Ilse.

– Sama się nim zajmę. A ty pomóż Femke w kuchni. Dziś nie będę cię już tutaj potrzebować. Cornelio... ty poczekaj... – zawahała się pani Vermeulen.

Odwróciłyśmy się obie z Ilse od drzwi.

– Ty wyjdź, chcę zostać z Cornelią sama – rzuciła.

Ilse natychmiast wycofała się z pokoju.

– Możesz wybrać sobie jedną z moich wstążek... Myślę, że żółty będzie pasował do twoich włosów. I niech ci kupią nową sukienkę. Nie chcę, żebyś paradowała po moim salonie w tym zgrzebnym worku. Maartje obszycuje jakiś solidny materiał u krawca. Tylko niech nie zapomni zdjąć z ciebie miary!

Ukryłam szybko piękną wstążkę w czeluściach fartucha. Wolałam, żeby Ilse nie wiedziała o tym podarunku. Na pewno byłaby okrutnie zazdrosna i jak zwykle snułaby jakieś swoje intrygi. Dziewczyna czekała na mnie na korytarzu, ale nie odezwała się ani jednym słowem. Dopiero gdy znalazłyśmy się w kuchni, otworzyła w końcu usta.

– To niewiarygodne! – krzyknęła. – Ta podstępna zmija wkradła się niepostrzeżenie w łaski pani! Tajemnice swoje mają! Portrety jej będzie malować! Niedługo i nam polecenia zacznie wydawać! Ani się obejrzysz, Femke, jak będzie tobą rządzić. Obiadami dysponować! No już, co tak stoisz? Powiedz, co dzisiaj na pańskie stoły rozdysponować zamierzasz?

– To nie ja, tylko pani... kazała rosół z kapłona warzyć... – powiedziałam cicho i zerknęłam przepraszająco na kucharkę.

– A odkąd to pani przez ciebie polecenia mi wydaje? – Zdumiona Femke uniosła krzaczaste brwi.

– A widzisz! – Ilse ujęła się triumfalnie pod boki. – Mówiłam ci, że z tą wywłoką będą tylko problemy. Zwaantje niech ją czym prędzej odsyła tam, skąd przyszła. Nie zamierzam jej już dłużej tolerować! A jak nie...

– A jak nie, to co? – W drzwiach do kuchni pojawiła się nagle moja siostra. Miała trupio bladą twarz, nieprzeniknione spojrzenie i zlepione brzydko na czole mokre od potu włosy. – Przestań grozić Cornelii, dobrze ci radzę. Nie ma pojęcia, co znaczą knowania. W przeciwieństwie do ciebie!

Ilse podeszła do Zwaantje i oskarżycielsko wbiła w jej fartuch palec.

– Jak nie zajmiesz się tym gównem, które przywlekłaś ze sobą do Alkmaar, to powiem pani, że gzisz się z jej pierworodnym! Wylecicie obie na bruk w ciągu pięciu minut!

Zwaantje poczerwieniała na twarzy i zamachnęła otwartą dłonią. Ilse przytomnie w ostatniej chwili złapała ją za nadgarstek.

– Dziś już dostałam po pysku za twoją świętą Cornelie! – warknęła. – To moje pierwsze ostrzeżenie, zapamiętajcie to obie! Mam dosyć waszych rządów tutaj! Pracuję dla Vermeulenów już pięć lat i to do mnie należy ostatnie słowo! – Dostojnie uniosła nieco spódnicę i wymaszerowała z kuchni.

– Nie zadzierajcie z nią, *meiden*. Potrafi być mściwa. Nie robi tego ze złej woli, po prostu bardzo się boi o swoją posadę. Już wam o tym mówiłam. Tam, gdzie w grę wchodzi guldeny, nie ma litości. Ilse ma na utrzymaniu całą rodzinę, która sobie bez niej nie poradzi – powiedziała Femke i zabrała się za mycie wielkiego gara na rosół.

– Jest taka wściekła, bo straciła dwie tygodniówki – wyznałam. – Odpysknęła coś i pani zapowiedziała, że grosza nie da.

Femke zamarła z garnkiem w ręku.

– To straszne... naprawdę tam u nich bieda piszczy... Dziewczynisko harde, ale bliskich kocha nad życie. A teraz z głodu będą przymierać... No nic, sama bym jej pożyczyła, ale nie mam.

Bez wahania wyciągnęłam z kieszeni jedwabną wstążkę od pani Vermeulen.

– Sprzedaj to na targu, Femke, i daj pieniądze Ilse. Tylko nie mów jej, że to ode mnie. Gotowa ich nie przyjąć.

Kucharka z nabożeństwem chwyciła wstążkę i schowała ją za pazuchą.

– Masz dobre serce, Cornelio. Bóg ci to wynagrodzi. – Głos gospodyni zdrztał ze wzruszenia. – A teraz kysz, kysz mi stąd, wracajcie do pracy!

Zwaantje nie powiedziała ani słowa, ale pociągnęła mnie mocno za ramię na korytarz.

– O jakim portrecie mówiła Ilse? – zapytała cicho. – Podśluchiwałam pod drzwiami – przyznała się. – I wcale nie miałam zamiaru wchodzić do kuchni, uznając, że poradzisz sobie sama, ale jak ta wywłoka zaczęła cię obrażać, nie wytrzymałam. To szlachetne z twojej strony, że jej tak wielkodusznie pomagasz, ale ona tego nie doceni. Obiecuj mi, że to pierwszy i ostatni raz. Nie zapominaj, że nasza rodzina również potrzebuje pieniędzy. Znalazła się panna dziedziczka!

– Nie rób mi wyrzutów. To raczej ja powinnam je czynić tobie. Obiecałaś, że nie będziesz się już spotykać z tym chłopakiem – rzuciłam z goryczą.

– To nieprawda! – zaperzyła się Zwaantje. – Przyrzekłam tylko, że się namyślę. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje, mądralo. I co z tym portretem? Będziesz malować panią? Neeltje, to niewiarygodne! – Oczy Zwaantje zapłonęły podekscytowaniem.

– Pan ma kupić farby i sztalugi. Ale nie wiem, czy podołam... – Spłoniałam się.

– Nawet tak nie mów! Oczywiście, że sobie poradzisz! Tylko staraj się schodzić z drogi tym dwóm czarownicom, a reszta jakoś się ułoży.

– Miałaś jakieś wiadomości z domu? – zapytałam, puszczając jej ostrzeżenie mimo uszu. – Tak się martwię, co u bliźniaków. Tyle teraz tych chorób wokoło, oby się czymś nie zarazili...

– Ani słowa wieści – odparła Zwaantje. – Ale może na dniach w końcu przyjdzie jakiś list. No już, głowa do góry, siostrzyczko. Na pewno wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Zwaantje zniknęła w głębi korytarza, a ja zabrałam się za szorowanie podłogi. Tęskniłam z całego serca ze Janem i Friedą, za ich zapachem, ciepłymi, pulchnymi rączkami na policzkach i dziecinnym wołaniem: *Conelia, Conelia...* Sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać, ale niecierpliwie wypatrywałam również wieści od Jespera. Minęło już kilka tygodni od mojego wyjazdu z Delftu. Gdyby mu mnie brakowało, na pewno napisałby parę słów. Niewidzialne wiadomości, tak jak obiecał...

Uśmiechnęłam się bezwiednie i wyszłam przed dom wylać do kanału brudne mydliny. Kiedy się nachyliłam, stękając cicho, nad taflą wody, nagle za moimi plecami rozległ się męski głos:

– A któż to tak sumiennie wypełnia swoje obowiązki? Czyżby kolejna pastereczka z Delftu? Ile ich jeszcze los trzyma dla mnie w zanadrzu?

Drgnęłam, a trzymana przeze mnie w dłoniach miska z pluskiem wpadła do kanału.

– Nie przeszkadzaj mi! – krzyknęłam ze złością, odwróciłam się na pięcie i zamarłam.

Przede mną stał najpiękniejszy chłopak, jakiego w życiu widziałam. Miał gęste płowe włosy wijące się przy skroniach, jasną twarz o regularnych rysach i zdecydowanym podbródku oraz symetrycznie wykrojone pełne usta, rozciągnięte teraz w sztucznym uśmiechu.

– Kim jesteś? – zapytałam zdumiona. – I dlaczego się ze mnie naśmiewasz?

– Gdzieżbym śmiał! – Podszedł do mnie niebezpiecznie blisko.

Poczułam zapach dymu przemieszany z jakimiś intensywnymi perfumami. To nie był zwykły parobek, ale pewnikiem wielki pan. Miał na sobie jasną kamizelkę, obcisłe spodnie do kolan i wysokie skórzane buty. Chusta z cienkiego ciemnego materiału, ozdobnie zawiązana wokół wysokiego kołnierza, idealnie kontrastowała z porcelanowym kolorytem jego skóry. Stroju dopełniał elegancki kapelusz i szpicruta w lewej dłoni.

– Mam na imię Ruben – powiedział niskim głosem i przekrzywił głowę, a potem wyciągnął palec i ujął mnie nim pod brodę. – Nie powinnaś patrzeć w dół, panienko. Z takimi oczami jesteś stworzona do podziwiania nieba.

Ruben! Ruben Vermeulen! Młody panicz, którego powinnam unikać jak ognia!

Mruknęłam coś szybko pod nosem i spoglądając z przerażeniem na miskę, która znajdowała się już na środku kanału, czmychnęłam czym prędzej do sutereny. Gonił mnie jeszcze śmiech Rubena, ale po chwili wszystko ucichło. Dysząc ciężko, ukryłam się za drzwiami, dotykając mokrymi od mydlin dłońmi rozognionych policzków. A więc tak wyglądał ukochany mojej siostry? Miał piękną twarz i złe, przeżarte cynizmem oczy. Na nowo zaczęłam się o nią bać.

Tego dnia sama postanowiłam napisać list do Jespera. Wczesnym popołudniem, kiedy Zwaantje szorowała na zewnątrz brudne okiennice i polewała czystą wodą kamienne schody, ostrożnie wyjęłam z ukrytego pod łóżkiem tobołka buteleczkę z płynem, którą podarował mi mój chłopiec. Obróciłam ją kilkakrotnie pomiędzy palcami, po czym wydarłam z kajetu kartkę. Wstydziłam się, gdyż nie za bardzo umiałam pisać, ale nie mogłam już dłużej czekać. Naszkicowałam szybką kreską u góry zapamiętany kontur twarzy Jespera, a potem zamoczyłam zastrugany cienko patyczek w buteleczce i pod rysunkiem nakreśliłam starannym pismem kilka słów.

Jesperze,

Czekam z utęsknieniem na list od Ciebie. Bardzo mi brakuje naszych rozmów w trawie. Moja pani jest bardzo piękna, dobra i miła. Będę malować jej portret. Muszę Cię prosić o radę. Nigdy nie widziałam, jak powstaje obraz. Jak zaczynasz jego malowanie? Jakimi kolorami? Takimi

jak widzisz czy zmieniasz ich barwę na palecie? Och, tak bym chciała, żebyś był tutaj ze mną. Brak mi Ciebie. Bardzo.

Twoja Cornelia

Moje słowa wydawały się koślawe i niegramatyczne. W sercu szalały emocje, ale nie potrafiłam ich umiejętnie przelać na papier, poza tym nie miałam czasu, żeby poprawiać to, co napisałam. Najważniejsze, żeby Jesper jak najszybciej otrzymał ten list. Przyłożyłam kartkę mocno do piersi i przymknęłam oczy. O dziwo, nie czułam strachu, tylko podekscytowanie. Kto by pomyślał, że malowanie za chałupą na deskach ukradzioną od ojca farbą zakończy się w ten sposób? „Musisz zaufać swojej intuicji, Cornelio – przykazałam sobie w myślach. – Ona cię poprowadzi”.

Podniesiona na duchu spojrzałam na papier. Widniał teraz na nim tylko mój rysunek. Tekst znikł. Złożyłam kartkę na pół i czym prędzej schowałam do kieszeni fartucha. Musiałam teraz prosić o pomoc Zwaantje. Ona na pewno będzie wiedziała, jak mam przesłać do Delftu ten list.

Rozdział XIII

Bogna

Delft, 2020

Przez całą noc przewracałam się z boku na bok, śniąc koszmar o angielskiej fabryce porcelany, której musiałam szefować w pojedynkę, nie mając żadnego doświadczenia. Obudziłam się zrana potem, z ulgą spoglądając w okno i widząc za nim znajome schodkowe zwieńczenie dachu sąsiedniej kamienicy. Wskazówki zegara wskazywały godzinę siódmą, wyskoczyłam więc z łóżka jak z procy. Przed rozpoczęciem pracy chciałam jeszcze trochę pobiegać wzdłuż kanałów. Wielogodzinne siedzenie w galerii w najbardziej uduchowionych pozycjach świata nie wpływało dobrze na mój kręgosłup, a na żadną zdrowotną niedyspozycję nie mogłam sobie teraz pozwolić. Wparowałam pod prysznic, a potem w bawełnianych dresach wyruszyłam na poranną przebieżkę.

W plątaninie uroczych wąskich uliczek Delftu czułam się tak, jakby wehikuł czasu przeniósł mnie do epoki Vermeera. Kiedy świeciło słońce, mieszkańcy okolicznych kamienic wystawiali przed wejściami do swoich domów miniaturowe stoliczki, przy których gawędzili z sąsiadami, popijając niespiesznie poranną kawę. Tuż obok, prawie na ich stopach, parkowali swoje pojazdy mistrzowie kierownicy, jak ich żartobliwie nazywałam. Nie mogłam się nadziwić ich kunsztowi. Jednym, płynnym ruchem wprowadzali swoje auta na wąskie miejsca parkingowe na kilkanaście centymetrów od krawędzi kanału. Gdyby to był Ignacy, już dawno wylądowałby w mętnej wodzie! Zaśmiałam się w myślach.

W tych kanałach, połączonych mostkami w kształcie oślego grzbietu, niczym panny na wydaniu przeglądały się zalotnie wszystkie fikuśne kamieniczki. Nad rynkiem Grote Markt tuż przed moimi oczami górowała majestatycznie wieża Nieuwe Kerk, w którym to kościele – jak mi zdążył powiedzieć Ingmar – znajdował się grobowiec Wilhelma Orańskiego, protoplasty panującej w Holandii dynastii „pomarańczowej”⁹.

⁹ hol. *oranje* – pomarańczowy; to narodowy kolor Holandii

Na rogu ulic prowadzących na rynek zauważyłam stojącego tuż przy stylizowanej latarni Jacoba Muldera. Rozmawiał przez telefon, żywo

gestykulując. Wydawał się podenerwowany. Zamachałam energicznie w jego kierunku, ale chyba mnie nie zauważył, poszłam więc dalej.

Pół godziny później z parującym kubkiem (fajansowym!) kawy w dłoni weszłam do galerii. Mulder stał przy jednej ze skrzyń, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w jej zawartość.

– Dlaczego nie posegregowałaś do końca *delftware*, Bogno? – zapytał ostro bez słowa powitania.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Spojrzałam na niego pytająco. – Co to takiego *delftware*?

– To angielska ceramika stylizowana na nasze fajanse – wyjaśnił pospiesznie. – Te tutaj są ozdobione wyciętymi z papieru gotowymi wzorami, które przykładano do naczyń i obsypywano pigmentem. Powstały w ten sposób kontur dekorowano już ręcznie, zwykłymi metodami.

Miałam nieodparte wrażenie, że Mulder rozmawiał ze mną, a jego myśli dryfowały kompletnie gdzie indziej, hen, daleko od galerii, w której się znajdowaliśmy.

– Dlaczego więc ma je pan w ofercie Kolibra? Myślałam, że znajdują się tutaj tylko produkty z lokalnych manufaktur. Skąd więc ta Anglia?

– Nie za dużo tych pytań? Co to, przesłuchanie? – Twarz Muldera gwałtownie zbladła.

– Dlaczego jest pan dzisiaj taki poirytowany? – zapytałam wprost. – Czy coś robię nie tak?

Jacob w mig się zreflektował.

– To nie chodzi o ciebie, Bogno. Mam... przejściowe problemy związane z tym miejscem. – Zatoczył wokół dłońmi. – Już się przyzwyczaiłem do myśli, że niedługo bezpowrotnie będę się musiał z nim pożegnać, ale sądziłem, że nastąpi to na moich zasadach.

– Jacobie, jeżeli mamy dalej współpracować, powinnam o tym wiedzieć – powiedziałam otwarcie. – Tajemnice nigdy nie są dobre, jeśli zależy nam na poprawnych relacjach.

Mulder długo milczał, tak jakby się zastanawiał, co ma mi odpowiedzieć.

– Wspominałem ci kiedyś, Bogno, że prowadziłem ten biznes razem z bratem, Eugène'em... – zaczął wolno, z rozmysłem. – On był utalentowanym i bardzo skutecznym przedsiębiorcą, a ja, cóż... znam się

na szkliwieniu i malowaniu. Nigdy nie umiałem liczyć pieniędzy. To nas zawsze różniło i było powodem nieustannych konfliktów. Angielska porcelana i jego syn też nas podzielili. On chciał na niej zarabiać, ja uważałem, że w ten sposób psujemy renomę tego miejsca – wyznał gorzko. – Gwoździem do trumny stało się jednak tragiczne zdarzenie w historii naszej rodziny... Słyszałaś o tym pożarze, który strawił całą manufakturę Mulderów? Chyba mówiłem ci o tym na samym początku naszej znajomości.

– Tak, ale bardzo ogólnikowo. Właściwie to dalej nie wiem, co się naprawdę wtedy wydarzyło.

– Uwierz mi, ja również tego nie pojmuję. Znam tylko więcej faktów niż ty. Błękitny Koliber funkcjonował całkiem nieźle pod koniec dziewiętnastego wieku, na kilkadziesiąt lat przed narodzinami Eugène'a i moimi. Większość konkurentów zamykała w pośpiechu swoje podwoje. Złoty okres delftyjskiej porcelany przechodził powoli do historii. Nasza manufaktura była naprawdę imponująca. Jej korzenie sięgały siedemnastego wieku. Ciągnęła się prawie na całej długości ulicy Oosteinde. Składała się z kilku jednokondygnacyjnych budynków, otoczonych wielkimi piecami o grubych ścianach, z paleniskami u dołu. Ludzie do dzisiaj przekazują sobie z pokolenia na pokolenie w rodzinnych anegdotach obrazek typowy dla ówczesnego Delftu. Nad miastem z górujących nad okolicą kominów nieustannie unosił się biały dym. Kilka tych kominów należało do naszego Kolibra. W manufakturze najbardziej prestiżowym miejscem był warsztat malowania ceramiki, a potem wypalania. Buchało z niej bez przerwy gorące powietrze z nagranych do grubo ponad tysiąca stopni pieców.

– A kto w hierarchii Kolibra stał najniżej?

– Najsłabiej opłacani byli najmniej wykwalifikowani udeptywacze...

– Udeptywacze? – zapytałam zdziwiona. – Jeszcze nigdy nie słyszałam o takim zawodzie.

– Bo też trudno nazywać to zajęcie zawodem. To było kilkudziesięciu męzczyzn, którzy ściągali obuwie i gołymi stopami ugniatali glinę, którą używano potem na kołach garncarskich. Te wyroby następnie wypalano po

raz pierwszy, szkliwiono w specjalnych, jak to teraz nazywamy, wannach, wypalano po raz drugi i malowano.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi... – Wpatrywałam się w Muldera z niekłamanym podziwem. Nie tylko znał się na porcelanie, ale umiał również niezwykle plastycznie i zajmująco o niej opowiadać.

– W tym czasie pracowało u nas ponad czterdzieści osób – ciągnął, jakby nie słysząc mojego komplementu. – To i tak niewiele w porównaniu z okresem, kiedy nasz Koliber przechodził największy rozkwit... Zniszczyły go konkurencyjne ceny i coraz popularniejsza i tańsza porcelana z Anglii...

– To dlatego chce się jej pan jak najszybciej pozbyć? Ale przecież jest bardzo cenna!

– To prawda, szczególnie ta zrobiona z porcelany kostnej, *Bone China*. Słyszałaś o niej, Bogno?

– Oczywiście. Znane manufaktury swego czasu skupowały zwierzęce kości i ich spopielałe resztki używały do produkcji swoich wyrobów. Mój dziadek mówił, że podobno kość zwierzęca nadaje takiej porcelanie niezwykłą, nieskazitelną wręcz biel...

– Tak, to prawda. Palono te kości na popiół, a następnie w odpowiednich proporcjach mieszano z gliną i resztą składników. Cały czas ulepszano tę technikę, żeby porcelana była jak najdelikatniejsza. Brzegi gładkich, pozbawionych nawet najdrobniejszych porowatości filiżanek nie mogły być grubsze niż trzy milimetry. Te tutaj to okazy sprowadzone z manufaktury Limekiln Lane. – Wskazał na zabezpieczone starannie w skrzyniach cacka.

– Bałabym się pić z nich kawę – przyznałam z rozbrajającą szczerością.

– Mój brat twierdził, że są niezwykle wytrzymałe, można je nawet myć w zmywarkach, ja jednak wolałam używać na co dzień naszych rodzimych fajansów.

– W zmywarkach? *No way!* – Zrobiłam wielkie oczy.

– A wracając do historii naszej rodziny... – Jacob zamyślił się na moment. – Mój pradziad był bardzo surowym pryncypałem. Nie oszczędzał nikogo. Nie ma co kryć, zameczał zależnych od siebie ludzi, wymagając od nich nadludzkich umiejętności i zaangażowania. Oczywiście, jak się zapewne domyślasz, oferując im głodowe stawki za katorżniczą pracę.

To musiało się źle skończyć... Pewnego dnia do jednego z kwadratowych dołów w posadzce, w których znajdowała się masa porcelanowa, wpadł synek jednego ze szlifierzy, Hermansa. Nikt nie wiedział, w jaki sposób to dziecko dostało się do hali produkcyjnej, ale podczas niefortunnego upadku mały doznał skomplikowanego złamania prawej nogi. Kość przebiła skórę dziecka.

– To musiało być straszne! – Wzdrygnęłam się odruchowo. – Nawet nie potrafię wyobrazić sobie jego cierpienia.

Jacob pokiwał głową.

– Kilka dni potem okazało się, że w wyniku zakażenia otwartej rany malec zmarł. Obowiązkiem mojego pradziada, jako pracodawcy, było zapewnić mu lekarza, ale nie chciał ponosić dodatkowych kosztów. Nieustannie trzymał się kurczowo za pugilares. W dodatku całą winą obarczył tego nieszczęsnego człowieka, ojca chłopca. Koniec końców do dziecka przyjechał jakiś felczerzyna. Partacz jakich mało i, jak plotkowano później, akurat tego popołudnia pijany w sztok. Nic dziwnego, że dla tego dzieciaka nie było już ratunku.

– Jak można było do tego dopuścić?

– W tamtym czasie niejednokrotnie zdarzały się takie wypadki i właściciele manufaktur nie ponosili żadnych konsekwencji. Przecież wystarczyłoby zabezpieczyć odpowiednio wejście do tego pomieszczenia. Dla tej rodziny utrata dziecka była prawdziwą tragedią, co zrozumiało. Zresztą nie tylko dla nich... Większa część pracowników fabryki stanęła okoniem, wytykając mojemu przodkowi nieludzkie zachowanie i brak serca. Szlifierze strajkowali kilka dni, a ponieważ w domach żadnego z nich się nie przelewało, nie mogli sobie pozwolić na dłuższą utratę zarobków i po krótkim czasie sprawa ucichła. Tak się przynajmniej zdawało rodzinie Mulderów... – Jacob zasepił się nagle, jego zmarszczki jakby się pogłębiły, a na twarz padł cień.

– I co było dalej? – szepnęłam.

– Niecałe dwa miesiące po tym zdarzeniu prawie cała fabryka spłonęła w wyniku wielkiego pożaru. Nikt oficjalnie o tym nie mówił, ludziska bali się w to mieszać, ale wszyscy tak naprawdę znali zdesperowanego sprawcę...

– Był nim ojciec tego chłopca...? Zemścił się, podkładając ogień?

– Tak, to wygląda na bardzo prawdopodobną wersję zdarzeń. Sprawcę ujęto i wtrącono do więzienia. I tak miał szczęście, bo kilkanaście lat wcześniej, w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, zniesiono w Holandii karę śmierci. Niestety, wymierzył ją sobie sam w celi. Nie mógł znieść hańby, którą okryła się jego rodzina. W okolicy wszyscy wytykali ich palcami i wyśmiewali. Jak widać, ludzka empatia jest krótka, a pamięć zawodna. Już nikt nie współczuł mu utraty dziecka i krzywdy, której zaznał od swojego dziada. Każdy myślał o sobie. Jak twierdzili później strażnicy więzienni, Hermans powiesił się na ramie łóżka.

– A dlaczego to tragiczne wydarzenie położyło się cieniem na pana relacjach z bratem? – zapytałam zdziwiona. – Przecież nie było was wówczas na świecie. Co mieliście wspólnego ze śmiercią tego chłopca i późniejszym pożarem?

Mulder długo nie odpowiadał. Miałam nieodparte wrażenie, że właśnie teraz musi mi zdradzić najpilniej strzeżony rodzinny sekret.

– Mój brat pod koniec życia uważał, że ten człowiek został niewinnie skazany. Eugène grzebał w archiwach, przeglądał zgromadzone przez naszych przodków dokumenty, ale nie mógł niczego znaleźć. Nigdy nie umieliśmy się porozumieć. Miał inną wizję prowadzenia interesów niż ja. Najbardziej poróżnił nas jednak jego syn. Buntował ojca przeciwko mnie, podważał moje decyzje i sposób, w jaki zarządzałem schedą Kolibra. Wiele rzeczy nam umknęło, straciliśmy mnóstwo czasu na niepotrzebne niesnaski. Dopiero przed swoją śmiercią Eugène zaczął liczyć się z moim zdaniem. I to mnie pierwszemu powiedział, że prowadzi swoiste śledztwo rodzinne i w końcu udało mu się natrafić na jakiś ślad...

– Co to było? – zapytałam cicho.

Mulder podparł brodę obiema rękoma.

– Nie zdążyłem się już tego dowiedzieć – wyznał. – Kiedy informacja o ciężkim stanie Eugène'a dotarła w końcu do mnie, przebywałem w podróży służbowej po Francji. Przy łożu śmierci mojego brata siedział jego syn, Emmanuel. To on przekazał mi jego ostatnie słowa...

– Powie mi pan, jak brzmiały?

Długo nie odpowiadał, a potem nagle zmrużył oczy. Na jego poranej zmarszczkami twarzy pojawiło się napięcie.

– *Szukajcie na porcelanie* – szepnął w końcu. – *Milimetr po milimetrze. Tam jest rozwiązanie zagadki...* To wszystko. Reszta słów według mojego bratanka była już tylko niezrozumiałym bełkotem – dodał i spojrzął gdzieś ponad moją głowę na zastawione ceramiką półki.

Siedziałam oszołomiona wyznaniem starszego pana. Z jednej strony byłam rozczarowana, że nie powiedział mi o wszystkim wcześniej, a z drugiej – czułam ogromne podekscytowanie. Czyżbym brała właśnie udział w tropieniu rodzinnej tajemnicy? A ja myślałam, że praca w Błękitnym Kolibrze to jedynie wakacyjna fucha, w której mogę połączyć przyjemne z pożytecznym, liznąć nieco historii i zarobić trochę grosza.

– Teraz wszystko jasne – wyrzuciłam w końcu z siebie. – To dlatego mnie pan zatrudnił. Tylko nie wiem, czy podołam temu zadaniu. Nie jestem detektywem, jestem tylko porcelanowym *freakiem* z Polski.

– Ale z wprawnym i bystrym okiem – odparł żywo Jacob. – Cały czas mam nadzieję, że podczas tej inwentaryzacji natrafisz na coś, co przykuje twoją uwagę. I tak musiałbym ją zrobić w związku ze sprzedażą galerii, więc upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Dlatego tak bardzo zależało mi na kimś, kto zna się na porcelanie i umie dostrzec najdrobniejsze niuanse. Czasem nawet mniejsze niż te cholerne trzy milimetry grubości angielskich filiżanek.

– Nie spodziewałam się, że taki dżentelmen jak pan używa takich nieparlamentarnych słów. – Zmrużyłam zadziornie oko. – Ale dobrze i o tym wiedzieć.

– Bogno, nawet tacy dżentelmeni jak ja potrafią rzucać mięsem. – Zaśmiał się. – No cóż, wiesz teraz prawie wszystko i naprawdę żałuję, że powiedziałem ci o tym dopiero teraz. Chyba się bałem, że się wystraszysz... To niełatwe sprawy, prawdziwe zadry, których rozdrapywanie sprawia ból nawet po wielu latach. Szczególnie komuś tak zamkniętemu na ludzi, jak ja.

Nie mogłam się na niego gniewać, nie umiałam.

– Przede wszystkim cieszę się, że w końcu rozumiem, dlaczego przez dłuższy czas nie mógł pan nikogo znaleźć. W okolicy krąży nawet fama, że

jest pan trudnym i wymagającym szefem – wyznałam. – Zapewne wszyscy ci kandydaci przede mną podchodzili do tego zadania na zasadzie „popakujemy skorupy, opiszemy je i po krzyku”. Bez emocji i bez zaangażowania. – Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– Tak mniej więcej było – przyznał Mulder. – Okazja do łatwego zarobku, bez przemęczania się i bez żadnej inwencji, przyciągnęła wielu amatorów, jak ja to nazywam, fuszerki. Byłem zrozpaczony, wiedząc, że sam sobie nie poradzę. Siły i oczy już nie te, co wcześniej. Z tej desperacji wydrukowałem ulotki i rozprowadziłem je nawet w hotelu Pękata Butelka.

– Jak widać, ta desperacka decyzja poskutkowała, bo oto jestem! – Wyprostowałam ścierpnięte ramiona. – I pomyśleć, że ja również zarezerwowałam ten hotel w ostatniej chwili. Najwyraźniej byliśmy sobie pisani.

– Miałem fart! – potwierdził Mulder i w końcu uśmiechnął się blado. – Zaprosiłem cię tutaj, nie licząc na nic, pod wpływem impulsu, a potem nagle, gdy stanęłaś niespodziewanie w drzwiach mojej galerii, poczułem ciarki na plecach. To w moim przypadku prawie zawsze znak, że coś się wydarzy. Od naszej pierwszej, niezobowiązującej rozmowy spostrzegłem tę twoją, niecodzienną ze względu na wiek, uważność i przenikliwość.

– Ja czułam podobnie – powiedziałam. – Przecież przyjęcie tej propozycji to było tak naprawdę szaleństwo. A jednak to zrobiłam. Nie starałam się zbyt, byłam po prostu sobą.

– Cały czas jesteś sobą. Twoja wiedza, postrzeganie świata i miłość do tego kruchego, a jednocześnie niezwykle trwałego materiału, jakim jest porcelana, ujęły mnie, starego, bo prawie osiemdziesięcioletniego mężczyznę. A jestem już tak wiekowy, że, uwierz mi, trudno zrobić na mnie wrażenie.

– Cieszę się, że właśnie mnie się udało.

– Naprawdę mam nadzieję, że mi pomożesz, Bogno. Te rodzinne niedomówienia i sekrety ciążyą na mym sercu jak kamień. Jestem już u kresu ziemskiej drogi, niedługo nadejdzie na mnie pora, a nie chciałbym odchodzić z tego świata, wiedząc, że moi bliscy wyrządzili w przeszłości komuś wielką krzywdę. Choć może już za późno na karanie winnych...

„Szukaj na porcelanie... Tam jest rozwiązanie zagadki” – powtórzyłam w myślach ostatnie słowa Eugène’a Muldera. Co to mogło być? Jaką wstydliwą tajemnicę kryły w sobie kruche naczynia z manufaktury Błękitny Koliber? Wiedziałam jedno: nie spocznę, jakem Bogna Zasławska, póki nie odgadnę, co takiego miał na myśli umierający potomek porcelanowej rodziny z Delftu. Zrobię wszystko, żeby jak najszybciej rozwikłać tę niezwykłą łamigłówkę.

Rozdział XIV

Cornelia

Alkmaar, 1881

Zaledwie tydzień po oznajmieniu mi przez panią Vermeulen, że będę malować jej portret, po raz pierwszy poszłam ze Zwaantje do miasta. Na rynku w Alkmaar dwa razy do roku odbywał się jarmark i tak długo prosiłam siostrę, żeby mnie na niego zabrała, aż w końcu uległa.

– Ty to nawet samego diabła przekabacisz, jak sobie coś do tej upartej łepetyny wbijesz – zrzędziła, kiedy biegłyśmy rozświetloną ulicą na rynek.

Miałam na sobie świeżo uprany czepek i nową sukienkę, którą na polecenie pani sprawiła mi Maartje. Była uszyta z dobrego jakościowo materiału, miękkiego w dotyku, bez wystających, szorstkich nitek, które zawsze podrażniały moją skórę. Podrygiwałam radośnie, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w wielki świat, którego tak mało do tej pory widziałam. Uliczka, którą właśnie szłyśmy, zastawiona była straganami pełnymi wszelakich dóbr. Były tam worki ze złocistą cebulą, beczki z kapustą i kartoflami, ale i beły kolorowych jedwabi, oliwa w pękatych butelkach, miód i cytryny. Wokół kręcili się ubrani bogato panowie, przebierający ze znudzonymi minami wśród rozłożonego towaru, krzykliwe kucharki i pyzate służące, targujące się zawzięcie o każdego florena, oraz miejscowa biedota w podartych łachmanach, z błyszczącymi oczami oczekująca na najmniejszy nawet ochłap, który w przypływie dobrej woli rzuci im jakiś pan.

– Pilnij swojego tobołka – przykazała mi Zwaantje. – Pełno tutaj drobnych złodziejasków i amatorów łatwego zarobku.

Posłusznie ścisnęłam mocniej pod pachą niewielki parciany worek. Miałam tam kilka florenów, które wcisnęła mi wczoraj do ręki siostra. „Chciałam przesłać te pieniądze rodzicom – przyznała szczerze. – Ale tobie też przyda się trochę grosza. Nie jesteś żebraczką! Może kupisz sobie coś ładnego, Neeltje?”. Uśmiechnęła się wtedy czule i pogładziła mnie po policzku. Odwzajemniłam z wdzięcznością jej ciepły gest, mocno łapiąc jej rękę.

Maszerując teraz przez rozświetlony rynek, z własnymi pieniędzmi, czułam się jak bogata pani, która już za chwilę może sprawić sobie wszystko, co tylko dusza zapagnie.

Przy Wadze Miejskiej rozłożyli się sprzedawcy serów. Wciągnęłam w nozdrza ostry zapach pokrytych lśniącym woskiem kręków, poprzekładanych trawą, żeby uchronić je przed słońcem. Poczułam głód, pomimo że Femke nakarmiła nas przed wyjściem owsianką.

– W budynku ważą każdy najmniejszy kawałek, żeby obliczyć podatek, który muszą zapłacić miastu – wyjaśniła Zwaantje i pociągnęła mnie w kierunku straganów z koronkami, płótnem i pasmanterią.

Tuż obok rozłożyli się sprzedawcy *flancków*¹⁰ oraz wiklinowych koszy, cynowych mis i drewnianych zabawek. Moją uwagę przyciągał wybudowany na środku placu podest, na którym odbywało się właśnie jakieś przedstawienie. Kilku karłów, poprzebieranych w cudaczne stroje, fikało koziołki ku uciechu zgromadzonej gawiedzi. Słowa komików próbował zagłuszać stojący przy samej scenie ksiądz, który wygrażał złowróźnie pięścią w kierunku aktorów i składał ręce jak do modlitwy.

¹⁰ sadzonki, od niem. *die Pflanze* – roślina

– Co on robi? – Spojrzałam pytająco na Zwaantje.

Siostra wzruszyła ramionami.

– Pastorowi nie w smak ta zabawa. Uważa, że nasze jarmarki to sodoma i gomora. Grzmi z ambony już na kilka tygodni przed rozpoczęciem budowy sceny do występów, ale ludziska nic sobie z tego nie robią. Należy nam się trochę rozrywki. Zobacz, tam na prawo! – pisnęła nagle, radośnie jak mała dziewczynka. – Linoskoczkowie i połykacze ognia!

Spojrzałam zafascynowana na żonglujących płonącymi obręczami kuglarzy. Kilku z nich ziało pomarańczowym ogniem jak smoki. Przez tłum przebiegł szmer podziwu.

– Kogo to moje piękne oczy widzą? Jak mniemam, doskonale się panie bawią. – Za naszymi plecami rozległ się nagle znajomy głos.

Zwaantje poczerwieniała gwałtownie.

– Chodź szybko! – syknęła i szarpnęła mnie tak mocno, że aż jęknęłam.

– Hola, hola, nie przedstawiś mnie swojej siostrze?

Ruben Vermeulen zastąpił nam drogę, uśmiechając się dziwnie. Miałam wrażenie, że natarczywe spojrzenie panicza przewierca mnie na wylot. Miał na sobie szykowny jasny garnitur, podkreślający błękit jego oczu. Był bardzo podobny do matki, ale miał mocniej zarysowany podbródek.

– Daj nam spokój – szepnęła niemal błagalnie Zwaantje. – Chciałam pokazać Cornelii jarmark. Ona jeszcze niczego nie widziała w mieście. Ciągle tylko ta suterena i suterena.

– To prawda, Cornelio? Czyżby moja matka aż tak cię wykorzystywała? – Ruben postąpił krok naprzód. Odniosłam wrażenie, że chciał mnie dotknąć.

– Pani mnie nie wykorzystuje. Sama najęłam się na służbę i wiedziałam, co mnie czeka. Ciężka praca mi niestraszna – odpowiedziałam hardo.

– Proszę, proszę, nie dość, że urodna, to jeszcze z temperamentem! Lubię takie dziewczki! – Roześmiał się i poprawił rozwiane włosy. – Może poczęstujesz się ciasteczkami? Kupiłem kilka precli z migdałami i makiem, skosztuj. – Niespodziewanie wyciągnął w moim kierunku otłuszczoną papierową tutkę.

Spojrzałam zdezorientowana na Zwaantje, gotowa odmówić, ale ta zrezygnowana potaknęła głową. Po chwili na moim języku rozlał się lepki aromat słodczy. Jeszcze nigdy nie jadłam takich frykasów. Przymknęłam z lubością oczy. Najchętniej oblizalabym się jak kotka.

– Chodźmy już! – Usłyszałam stanowczy głos Zwaantje. – Wystarczy tego dobrego.

– Chwileczkę! – zaprotestował żywo Ruben. – A może chcesz posłuchać wróżby Cyganki, Cornelio? Przepowie ci przyszłość. Może czeka cię coś więcej niż szorowanie podłóg w domu moich rodziców. Nie jesteś ciekawa swojego losu? – kusił jak diabeł.

– Jestem! – zakrzyknęłam i ponieważ ugryzłam się w język.

Zwaantje jęknęła, ale było już za późno. Ruben ujął mnie zdecydowanie pod ramię. Przeszliśmy kilka kroków dalej, do ozdobionej frędzlami jurty. Wewnątrz panował dziwny, duszący zapach kadzidła. Na środku klepiska, na przetartej brzydko na bokach wielkiej poduszce, siedziała ogorzała kobieta o pooranej głębokimi zmarszczkami twarzy. Bez słowa wskazała nam miejsca naprzeciwko i, nie czekając na zgodę, ujęła mocno w szorstkie, spracowane ręce moją dłoń. Wpatrując się w nią uważnie przez

kilka minut, w końcu otworzyła usta. Dopiero teraz dostrzegłam, że kilka jej zębów zrobionych było ze złota.

– Masz wielki talent, panienko – powiedziała wolno, ważąc każde słowo.

– Do rozwieszania powłoczek! – Ruben roześmiał się złośliwie.

Cyganka nie zwróciła na niego uwagi. Zaczęła gładzić wnętrze mojej dłoni, szepcząc coś niezrozumiałego pod nosem.

– Ale musisz uważać – wymamrotała. – Żli ludzie chcą ci go odebrać. Wykorzystać cię... Nie daj się im. Ochroni cię wielka miłość, ale i ona zostanie poddana próbie. Musisz wytrzymać cierpienie, a dopiero wtedy zaznasz szczęścia. I strzeż się wielkich panów – dodała głośniejszym głosem, bez strachu spoglądając prosto na Rubena.

W namiocie zaległa ciężka jak ołów cisza. Przełknęłam głośno ślinę i szybko wyrwałam rękę z palców Cyganki. Zaczęło mi się kręcić w głowie jak na kołowrotku, kto wie, być może z emocji albo z panującego w namiocie zaduchu. Nagle poczułam, że muszę jak najszybciej wybiec na zewnątrz i zaczerpnąć ożywczy haust świeżego powietrza.

– Gadasz bzdury, czarownico! – prychnął Ruben, ale dobył z kieszeni srebrną monetę i rzucił na podolek kobiety. – Już nigdy nie przyprowadzę tu żadnej panny, zapamiętaj to sobie, starucho!

Kilka dni potem pani wezwała mnie do siebie. Odstawiłam pełną mydlin miskę, wytarłam szybko mokre ręce w fartuch i odprowadzana życzliwym spojrzeniem Femke, wdrapałam się po schodach. W pokoju na kanapach siedzieli obok siebie pan i pani Vermeulenowie. Kobieta gładziła czule i leniwie swój coraz bardziej widoczny brzuch. Lśniący jedwab sukienki opasywał go coraz ciasniej, coraz zachłanniej. Bąknęłam pod nosem słowa przywitania i rozejrzałam się dyskretnie wokół. W rogu salonu dostrzegłam nowe sztalugi i kilka pudełek z farbami. Wpadające przez duże okna światło tańczyło figlarnie na naciągniętym ciasno na blejtram płótnie. Poczułam, że zaczynają mnie mrowić opuszki palców.

– Mój mąż poczynił odpowiednie zakupy – zakomunikowała uroczyście pani. – Na stole leżą pędzle. Możesz je obejrzeć – zezwoliła łaskawie.

– Tylko uważaj, bo kosztowały krocie – dodał surowo pan Vermeulen. – Są najwyższej jakości, z włosia czerwonej kuny. Doskonała precyzja

wykonania, jak zapewnił mnie subiekt. – Odchrząknął znacząco. – Nie ma lepszych w całym kraju. Sam mistrz Vermeer używał wprawdzie borsuka, ale ty, pomimo że zdolna i nadzwyczaj biegła technicznie, nigdy mu nie dorównasz.

Nie mogąc ukryć podekscytowania, podbiegłam do stołu. Delikatnie wzięłam do ręki polakierowaną drewnianą rączkę w mahoniowym kolorze i przyłożyłam miękkie włosie do twarzy. Poczułam subtelne jak trzepot skrzydeł motyla muśnięcie na skórze. Trójkątna rękojeść pędzla pewnie leżała w mojej drobnej, ale silnej dłoni.

– To co, może już zaczniesz? – Pani przyglądała mi się badawczo. – Póki jeszcze nie jestem rozdęta jak balon. – Westchnęła ciężko.

Pokiwałam głową i bez słowa podeszłam do płótna. W zakamarkach fartucha nosiłam zawsze kawałek węgla drzewnego. Pewnym ruchem przestawiłam sztalugi, tak żeby słońce padało na nie z lewej strony, i wyciągnęłam węgiel z kieszeni. Opuszką palca przejechałam po gładkiej powierzchni płótna. Ach, co to była za rozkosz czuć pod palcami aksamitu, a nie porowatość desek, na których dotąd malowałam. Spojrzałam kilka razy uważnie na panią, starając się z całych sił, żeby mój wzrok nie był taksujący. Zrobiła upozowaną minę i wyprostowała się sztucznie na kanapie. Zaczęłam kreślić delikatny zarys jej profilu, pomijając na razie detale.

W tej chwili drzwi salonu się otworzyły i od progu rozległ się wrzask:

– Ojczy, dlaczego cofnąłeś fundusze na mój przyszłościowy biznes?! Tak się nie godzi! Obiecałeś, że będziesz mnie wspierać!

Drgnęłam, a kawałek węgla wypadł mi z dłoni na lakierowany parkiet, kreśląc na płótnie brzydką grubą smugę. Schyliłam się i zamarłam na kolanach pod stołem. Ruben! Znowu Ruben! Czy ten chłopak już nigdy nie przestanie mnie prześladować?

– Uspokój się, synu, i przestań krzyczeć! – Głos pana zdawał się spokojny, ale wyczułam w nim trudno tłumioną irytację. –

Przeanalizowałem sytuację na chłodno i uznałem, że nie ma potrzeby topić moich ciężko zarobionych pieniędzy w tak niepewnym interesie. Sława i chwała porcelany zaczyna przemijać. Delft już nie jest tak popularne, jak kiedyś. Jeżeli naprawdę chcesz zarobić, zainteresuj się lepiej angielską

ceramiką. Mówiliśmy ci z matką, że opłacimy twoją podróż do Londynu. To będzie dla ciebie o wiele lepsze niż przesiadywanie całymi dniami w karczmie u Arjena. I nagabywanie nad kuflem piwa łatwych i tanich dziewczek...

– Julianie, błagam cię, nie bądź wulgarny! Mam teraz takie słabe nerwy... – jęknęła pani Vermeulen i rozejrzała się nagle spłoszona, szukając mnie wzrokiem.

Uniosłam się z węglem w dłoni zza stołowego blatu. Czułam, że moje włosy wymykają się niesfornie spod czepka i oplatają ciasno policzki.

– Na dzisiaj koniec! – zakomenderowała. – I następnym razem uczesz się, na Boga! Wyglądasz tak... prostacko! Nie jesteś w kuchni przy piecu!

Starając się unikać wzroku najeżonego panicza, szybko wymknęłam się z salonu. Dopiero kiedy zamknęłam za sobą drzwi, odetchnęłam z ulgą. Zbiegłam pod schodach, modląc się o to, żeby zastać Zwaantje w kuchni. Zamiast niej nad talerzami zupy siedziały przy stole Maartje i Ilse.

– O proszę, nasza artystka – prychnęła Maartje. – Cóż dzisiaj zmalowałaś na pańskich salonach?

Postanowiłam nie dać się sprowokować i puścić jej docinek mimo uszu. Poprawiając włosy, podeszłam do kredensu, na którym stał dzbanek z wodą.

– Przeglądałaś dzisiejszą pocztę, kochana? – odezwała się do swojej towarzyszki Maartje, po czym obie zachichotały złośliwie.

Nadstawiłam uszu, czujnie jak zając, i łypnęłam na Ilse. Ta odsunęła nagle z łoskotem krzesło i wyciągnęła zza pazuchy podłużną szarą kopertę.

– A cóż my tu mamy? – zapytała drwiąco. – Liścik od kochasia? Ten, na którego tak długo czekasz, codziennie wypatrując oczy? Myślałaś, że nie wiem, o czym szepczesz po kątach ze Zwaantje?

Spurpurowiałam na twarzy i bez chwili wahania rzuciłam się w jej kierunku.

– Oddaj mi to! – krzyknęłam.

Ilse cofnęła się pod ścianę i uniosła wysoko rękę z kopertą, wymachując nią jak chorągwią. Maartje złapała mnie za ramiona i unieruchomiła w żelaznym uścisku.

– Oddawaj, ale już! – Zaczęłam płakać, szamocząc się jak ryba w sieci.

Ilse, patrząc na mnie triumfalnie, otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej list. Z mojej piersi dobył się zwierzęcy ryk wściekłości.

– Ale tu nic nie ma! To pusta kartka! – Zdumiona spoglądała na trzymany w rękach papier. – Twój chłopak z ciebie zadrwił! A to heca! Pewno znalazł sobie jakąś słusznej postury dziewczkę z piersiami, a nie takie płaskie chuchro! – Ilse zaczęła rechotać, a po kilku sekundach dołączyła do niej Maartje. – Pewnikiem ukochany to sakramencka niemota i nawet pisać nie potrafi. – Rżała, trzymając się za brzuch. – Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak ten bezużyteczny śmieć wrzucić do ognia! Cóż nam po kawałku brudnego papieru?! – powiedziała, po czym rozdarła list na drobne kawałki.

– Nie! – krzyczałam, wijąc się w żelaznym uścisku ramion Maartje. – Błagam cię, nie! Nie rób tego, Ilse! Nie umiesz odczytać tego pisma!

– Ja nie umiem czytać?! Ty kocmołuchu jeden! Już ja ci pokażę!

Dziewczyna, niepomna na moją rozpacz, podeszła do pieca, zdjęła z niego pogrzebaczem fajerkę i wrzuciła list do ognia. Zakryłam oczy dłońmi i w końcu, napinając wszystkie mięśnie, wyrwałam się z uścisku Maartje. Podbiegłam do Ilse i z całej siły uderzyłam ją w twarz, aż się zachwiała.

– Co tu się dzieje?! – Do środka wpadła z koszykiem w dłoniach Femke. Widząc mnie z rozwianym włosiem i trzymającą się za policzek purpurową Ilse, ujęła się pod boki. – Natychmiast wracajcie do pracy! Migiem! Jedna i druga! Widowiska mi tu będą urządzać! Sio, ale już! – warknęła. – Koniec tego teatru, bo pogrzebaczem po tyłkach złoje!

Nie oglądając się za siebie, wybiegłam do ogrodu i ze złości zaczęłam okładać pięściami drewnianą skrzynię na narzędzia, stojącą na tyłach posesji. W tym momencie chciałam umrzeć. Tak długo czekałam na list od Jespera, a ta podła dziewczka go zniszczyła. „Nigdy jej tego nie daruję!” – postanowiłam i znowu się rozpłakałam.

Nie miałam wówczas pojęcia, że los nie tylko nie da mi szansy na rewanz, ale jeszcze doświadczy mnie mocniej, niż mogłam się tego spodziewać.

Rozdział XV

Bogna

Delft, 2020

Znając tajemnicę Jacoba Muldera, zdecydowanie lepiej mi się pracowało. Znalazłam w końcu swój własny rytm, choć wiedząc, jakie znaczenie mają nawet najmniejsze detale, czasem zdarzało mi się siedzieć nad jednym wazonem lub szkatułką kilka godzin i uważnie porównywać błękitne detale i sygnatury z tymi opisanymi w katalogach. Często dyskutowałam z dziadkiem, dzieląc się z nim moimi wątpliwościami i potwierdzając przypuszczenia. Dziadek był prawdziwą skarbnicą wiedzy i ufałam mu w tych kwestiach jak nikomu na świecie. Dziś rano również postanowiłam do niego zadzwonić.

– Jaka szkoda, staruszkule, że nie mogę się przenieść kilkaset lat wstecz i chociaż na chwilę podejrzeć malarzy porcelany w jednej z pracowni Błękitnego Kolibra – mówiłam, kurczowo przyciskając do ucha swój smartfon, tak jakbym w jakiś niewytłumaczalny racjonalnie sposób mogła poczuć na policzku pomarszczoną skórę twarzy dziadka, pokrytą krótkim, kłującym zarostem. – Ingmar, wiesz, ten znajomy przewodnik, z którym się zaprzyjaźniłam, mówił wprawdzie, że mogę zobaczyć proces zdobienia naczyń na żywo w jednym z muzeów w Delfcie, ale to zdecydowanie nie to samo, co wehikuł czasu.

– Wybierz się tam koniecznie, Bogienko – zachęcał żywo dziadek. – A co do malowania... Wprawdzie jestem starym prykiem, ale nawet ja nie mam czterystu lat i nie byłem nigdy naocznym świadkiem wytwarzania delftów. Uwierz mi, pomimo upływu czasu, to wszystko wygląda podobnie. Może tylko ludzie są mniej kreatywni, bo wzory podstawia im się pod nos. Tak naprawdę najważniejsza jest glina, córciu. Naczynia pokrywa się jej rozcieńczoną warstwą i wsadza do pieca, hop-siup, o temperaturze ponad tysiąc stopni.

– Na jak długo, dziadziu?
– Doba im wystarczy. Potem taki herbatnik...
– Co takiego? Herbatnik to do kawy, dziadku! – Roześmiałam się, jedną ręką rozmasowując ścierpięte kolana.

– W tym wypadku to żadne ciacho, mój łasuchu. Tak zwiemy w branży wyrób nieszkliwiony, od razu po wypaleniu. Potem do akcji wchodzi malarze, ich zwinne dłonie i pędzle, najlepiej z sobola lub wiewiórki, oraz czarna farba na bazie tlenku kobaltu.

– Czarna? Przecież delfty dekorowano błękitem? – zdziwiłam się.

– Poczekaj na finał, wnusiu! – upomniał mnie dziadek. – Pod tym względem jesteś dokładnie taka jak babcia. Ona też nie umiała wytrzymać i zawsze otwierała po kryjomu prezenty, które jej kupowałem. Ale wracając do tematu... Na czym to ja...? Ach, już wiem! Ozdobiony wazon spryskujemy glazurą i znowu wstawiamy na dobę do pieca. W czasie tego wypalania glazura się wytapia i otrzymujemy przezroczystą warstwę, a czarna farba, jak w bajce o brzydkim kaczątku, przepoczwarza się z czarnego w błękit! Dokładnie taki, jaki widzisz na delftach!

– Czary! – Zachichotałam. – A ty jak się czujesz, mój Harry Potterze z Przesławic?

– Daję radę, wnusiu. Tylko ciebie mi brak. Ale nic nie mów, nie musisz się tłumaczyć, przecież ja jak nikt inny potrafię zrozumieć twoje pasje.

Przesławice, czternaście lat wcześniej

– Tylko pamiętaj, ani mru-mru babci! Gotowa mnie powiesić na suchej gałęzi! Mam surowy zakaz przyrowadzania cię do fabryki.

– Dlaczego, dziadziu? To aż tak niebezpieczne?

– A skądże znowu! – obruszył się. – Ale sama wiesz, jaka jest babcia. Na zimne chucha, gorącego się wystrzega.

Staliśmy z dziadkiem przed wejściem do przesławickiego królestwa porcelany. Miałam na sobie poplamiony atramentem sweterek (ćwiczyliśmy z wychowawczynią po lekcjach moją ukochaną kaligrafię) i opadające wiecznie podkolanówki. Już wczoraj umówiliśmy się na tajną akcję, o której babcia absolutnie nie mogła się dowiedzieć. Dziadek również początkowo nie był do tego pomysłu przekonany, ale tak długo wierciłam mu dziurę w brzuchu, aż w końcu się zgodził. Nie potrafił mi niczego odmówić.

– Rozpuściłem cię jak dziadowski bicz i będziesz niedługo mną kręcić na wszystkie strony – mruknął i złapał mnie mocno za rękę. – Mój majster,

Marczak, wie o twojej wizycie, ale zastrzegł, że jakby ktoś się burzył, to on się wszystkiego wyprze. Chodźmy już! Tylko żadnych wygłupów, moja panno. Teraz ja jestem twoim szefem.

Potaknęłam przejęta i ujęłam mocniej ozdobionymi kleksami z atramentu palcami dziadkową prawicę. Weszliśmy do klatki schodowej w górującej nad fabryką, usytuowanej pomiędzy kominami wieży.

– Tutaj mamy kompletownię i pakownię – objaśnił, wskazując otwarte drzwi, za którymi uwijali się ubrani w granatowe kombinezony ludzie.

– Co to kompletownia? – zdziwiłam się.

– To tak samo jakby babcia układała wszystkie filiżanki i talerze z serwisu w jednym miejscu, tak żeby do siebie pasowały.

– A, już rozumiem! – Podskoczyłam podekscytowana, a dziadek skierował się do windy. Na porysowanej ścianie widniały ponumerowane przyciski. – A dlaczego nie zjeżdżamy na dół? – zdziwiłam się, kiedy dziadek zdecydowanie nacisnął guzik z wymalowaną krzywo na jego środku jedyneką.

– Do przyziemia cię nie zabiorę. Tam jest szlamownia. Wieczna wilgoć i smród piachu, gipsu i mułu. Poza tym obracają się tam nieustannie olbrzymie bębny młynów do mieszania składników masy i w tym hałasie nawet byśmy się nawzajem nie słyszeli.

Winda drgnęła i, zgrzytając jak stara lokomotywa, powiozła nas na górę.

– Na piętrze znajduje się ceglany piec. Wypalamy w nim naczynia w tysiącu dwustu dwudziestu stopniach. A wiesz, moja mądralko, ile zajmuje jego studzenie? – Dziadek mrugnął do mnie.

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Całe trzy dni, córciu. Czujesz to gorące powietrze? Aż drga, prawda?

– Jak w gorący letni dzień, kiedy babcia wystawia w szklanym dzbanku kompot z truskawek i każe nam go pić, żebyśmy się nie odwodnili. – Roześmiałam się.

– Obok znajduje się dział zdobniczy. Dekorujemy tutaj porcelanę przy pomocy kalki ceramicznej. Ale najbardziej chciałbym ci pokazać malarnię. Nie będziemy już jechać tam windą, przejdziemy się schodami, dobrze? Przecież widzę, że przebierasz nogami z niecierpliwości, żeby je trochę rozruszać.

Oczy mi rozbłysły! Dziadek jak zwykle miał rację. Winda była atrakcją dla dzieciaków mieszkających w domkach jednorodzinnych, ale ja miałam ją na co dzień w bloku.

– No już, biegnij, tylko zatrzymaj się na szczycie schodów i czekaj na mnie, urwiesz!

Jak strzała wystrzeliłam do przodu. Już w korytarzu poczułam kłujący mocno w nos ostry zapach farb, rozpuszczalników i oleju. W ogromnej hali, do której weszliśmy, znajdowały się produkcyjne linie zdobnicze, przy których siedziało kilkanaście osób z pędzlami w dłoniach, pochylonych nisko nad trzymanymi naczyniami.

– Tam, na antresoli, składujemy kalkę ceramiczną i stare urządzenia, które są już zbędne – objaśnił dziadek. – A tutaj masz myjkę elektryczną, żeby oczyścić porcelanę z kurzu i zabrudzeń. Każda filiżanka po zdjęciu z taśmy jest dokładnie czyszczona od środka i z zewnątrz. Potem taśma przemieszcza je do suszarni. I na końcu już suchutkie przewozimy je do pieca do dekoracji lub wypału naszkliwnego. Chodź, Bogienko, podejźmy do pani Krysi, może pozwoli ci namalować jakiś wzór na filiżance. Tylko nie papłaj za dużo. Masz się zachowywać jak grzeczna dziewczynka.

Dziadek odchrząknął, poprawił wysuwający się z mojego warkocza kosmyk, po czym podeszliśmy do bardzo szczupłej pochylonej nad taśmą blondynki. Obok kobiety znajdowały się ustawione w równych piramidkach filiżanki. Jednym okiem dostrzegłam, że staruszek ugładził szybko również swoje sterczące niesfornie przy uszach włosy.

– Krysiu, poznaj moją wnuczkę – zagał przyjaźnie.

Kobieta się odwróciła i dopiero wtedy spostrzegłam, że pomimo dziewczęcej postury miała już swoje lata. Jej wesołe oczy, zatopione w siateczce drobniutkich zmarszczek, spojrzały na mnie ciepło, wręcz czule.

– To ty jesteś córeczką Irenki! Nieprawdopodobne podobieństwo! Wyglądasz dokładnie jak twoja mama. – Zsunęła do połowy nosa okrągłe okulary i przyglądała mi się z zainteresowaniem. – Znamy się z twoim dziadkiem jeszcze od szkoły podstawowej... – Urwała, jakby ważąc w myślach słowa. – Potem nasze drogi się rozeszły, a po latach znowu na

siebie trafiliśmy. – Odniosłam wrażenie, że dziadek na te słowa zaczerwienił się po czubek głowy. – Ja wyszłam za męża, on ożenił się z twoją babcią i w tym samym czasie urodziły się nasze dzieci. Nawet spacerowaliśmy razem z wózkami po przesławickim parku...

– To stare dzieje, Krysiu, nie ma co do nich wracać. – Dziadziś machnął ręką. – Bogna nie wie kiedy wyrosła, a Irenki... już nie ma. Mała ma po mnie smykałkę do sztuki i ciągle coś tam smaruje w tych swoich blokach rysunkowych – oznajmił, nie bez dumy.

– Długo już pani tu pracuje? – wtrąciłam, obserwując się w przesuwającą się taśmę.

– Ponad trzydzieści lat. Nigdy nie przypuszczałam, że zagrzeję tutaj tak długo miejsca... Zobacz, Bogno, moje ręce. – Wyciągnęła przed siebie obie dłonie. – Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio pomalowałam paznokcie. O biżuterii nie wspomnę. Mogę ją zakładać tylko w niedzielę. A taka ze mnie była zawsze sroka.

Dziadek uśmiechnął się, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał.

– A dlaczego nie może pani nosić pierścionków? – zainteresowałam się.

– Wolę mieć nagie palce. Manipulowanie naczyniami ze świeżo uformowanej porcelany wymaga ode mnie wielkiej precyzji i uwagi. Kolory i biżuteria tylko by mnie rozpraszały. Poza tym ciężki pierścionek zmienia siłę nacisku palców, a to muszę mieć pod kontrolą.

– Pokaże mi pani, jak się maluje filizankę? – Złożyłam ręce jak do modlitwy i spojrzałam pytająco na dziadzia.

– Oczywiście! – potaknęła błyskawicznie pani Krysi. – Siadaj, kochanie, tutaj obok i wybierz sobie pędzelek. Może ten szary albo biały? Ich włosie jest sztywne, zrobione ze szczeciny dzika. Wolałabym bardziej miękkie, z ogonów kuny, mają cienkie czubki i nadają się do długich pociągnięć, żeby szybciej kreślić kontury, ale cóż... mamy to, co mamy... Może najpierw przyjrzyj się, jak ja to robię, zgoda?

– Zgoda! – Umościłam się wygodnie koło pani Krysi. Pachniała rumiankiem i cytrynami. – Dużo pani pracuje?

– Mój syn Marek jest już dorosły, mąż nie żyje, dlatego uciekam od samotności do tej malarni. Czasem siedzę tutaj nawet po dziesięć godzin dziennie – wyznała, moczając pędzelek w słoiczku z jakąś farbą.

– Przecież może pani przyjść do nas z wizytą! Babcia na pewno się ucieszy i upiecze najlepsze na świecie ciasto drożdżowe ze śliwkami. Prawda, dziadziu? Dlaczego nigdy nie zapraszamy pani Krysi? Nie musi być samotna!

Dziadek i jego znajoma wymienili nieco spłoszone spojrzenia.

– Dziękuję za zaproszenie, moja kochana, na pewno kiedyś do was wpadnę. – Uśmiechnęła się. – A teraz spójrz tutaj, Bogno...

Przylgnęłam do jej boku i zajrzałam ciekawie przez jej ramię.

– Przede wszystkim maluję kwiaty. – Podniosła na wysokość moich oczu filiżankę ozdobioną zebranych w bukiety różami. – Ale lubię równie mocno sielskie widoczki. Przesławice też uwieczniłam na kilku wazach.

Uśmiechnęła się ciepło, po czym uniosła pędzelek i jednym płynnym ruchem, bez odrywania przesunęła nim po powierzchni naczynia. Spod jej rąk wyłonił się nagle zabarwiony złotem kontur kwiatu.

– Teraz ty. Wypełnij jego płatki, równiutko, bez wychodzenia poza linie – powiedziała, przekazując mi ostrożnie pędzelek.

Wysunęłam na kilka milimetrów koniuszek języka i starannie umieściłam bursztynowy barwnik w precyzyjnie nakreślonym szkicu. Moje palce nawet nie zadrżały i po kilku minutach z dumą zaprezentowałam efekt mojej pracy dziadkowi i pani Krysi.

– Jesteś bardzo zdolna! – pochwaliła mnie. – A wiesz, czym właśnie pomalowałaś ten kwiatek?

– Farbkami? – Spojrzałam zdezorientowana na dziadka.

– Płynnym złotem. Używamy go do zdobienia naszej porcelany. Zobacz, tam, w rogu, znajduje się specjalnie zaplombowany magazyn na ten cenny kruszec – szepnęła mi do ucha pani Krysia i nagle przyciągnęła mnie do siebie mocno, serdecznie.

Odwzajemniłam ten uścisk, wtulając policzek w jej miękki dekolt. Złoto! Malowałam przed chwilą prawdziwym złotem! Koledzy w szkole umarliby z zazdrości! Ale czułam, że nie mogę się tym zbytnio chwalić, to byłoby nie na miejscu.

Najchętniej zostałamby tam na zawsze, ale dziadek postukał znacząco w cyferblat swojego zegarka. Musieliśmy wracać do domu.

Kilka godzin później przy kolacji okazało się, że nie umiem jednak utrzymać języka za zębami. Naprawdę nie chciałam wsypać dziadka, ale czujne oko babci od razu zauważyło moje podekscytowanie i spryciara tak umiejętnie pokierowała rozmową, że polegåłam na całej linii.

– Nie powinienesz ciagnać jej do fabryki, Julianie! Przeciez to zabronione!

– Nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi, babusiu! – zapewniłam solennie.

– Rozmawiałam tylko z panią Krysią.

Brwi babci w jednej sekundzie poszybowały do góry.

– Coś takiego! Dziadek nie mógł się powstrzymać, żeby cię z nią nie zapoznać, doprawdy!

– Ona jest bardzo miła, babciu.

– Nie wątpię – odparła z przekąsem. – I bardzo ładna.

– To prawda! – zawołałam z entuzjazmem. – I tak pięknie pachnie!

– A wspominała ci, że kiedyś spotykała się z twoim dziadkiem? I gdyby nie ja, pewnie by się pobrali...

– Marianko, nie mąć dziecku w głowie! Po co jej wiedzieć takie rzeczy!

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego dziadek nagle odwrócił głowę, a babcia spuściła wzrok na talerz z nadgryzionym kawałkiem bułki z ulubioną mortadela.

Dopiero kilkanaście lat później dowiedziałam się, że Krysią była pierwszą miłością dziadzi i babcia całe życie była o nią zazdrosna. Podobno zakochani pokłócili się ze sobą o jakąś błahostkę i ukochana wyjechała do Niemiec. Nie dawała znaku życia i dziadek zaczął się spotykać z babcią. Kiedy Krysią wróciła nieoczekiwanie po kilku latach, dziadek był już po ślubie i oczekiwał swojego pierwszego dziecka.

Dziadzius już nigdy nie zabrał mnie ze sobą do fabryki. Chyba obiecał to babci.

Tego dnia sortowanie porcelany szło mi wyjątkowo opornie. Fukałam nad otwartymi skrzyniami, nie mogąc się skupić. Kilka razy pomyliłam nawet sygnatury, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło. Spoglądając na zacinający ostro o witrynę galerii deszcz, zrzucałam całą winę na niskie ciśnienie. „Kawy!” – wołało rozpaczliwie moje ciało, a ja piłam ten napój

bogów jedna filizanka za drugą, a pomimo tego i tak nie mogłam się pobudzić do bardziej efektywnego działania.

W pewnej chwili, szukając na zapleczu, oddzielnym od sklepu grubą aksamitną kotarą, potrzebnego mi na cito niemieckiego katalogu z osiemnastowieczną porcelaną, usłyszałam cichy dźwięk dzwoneczka wiszącego nad drzwiami wejściowymi. Cholera, znowu zapomniałam zamknąć na klucz! Wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że galeria jest nieczynna, ale czasem trafiał się zagubiony i nieorientowany turysta, próbujący kupić jakąś figurkę czy wazonik.

Odłożyłam pospiesznie grube tomiszcze i uchylłam zasłonę. Na środku pomieszczenia stał wysoki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w powycierane na kolanach modne dżinsy i sztruksową marynarkę. Rozglądał się z dezaprobatą, tak jakby wszedł do domu, w którym gospodyni zapomniała sprzątnąć ze stołu po śniadaniu i nieoczekiwanie kazała mu to zrobić samemu.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – odezwałam się przyjaźnie po angielsku. – Bardzo mi przykro, ale nie sprzedajemy już w tym miejscu porcelany.

Nieznajomy drgnął i spojrzał na mnie zdumiony.

– A co pani tu robi? Jakim prawem grzebie pani w tej skrzyni? – Wskazał dłonią na otwarte wieko.

Zdębiałam i na kilka chwil odebrało mi mowę. Mężczyzna od razu spostrzegł moją konsternację, a w jego oczach pojawiła się złość.

– Pracuję tutaj – wyjąkałam, w końcu odzyskując głos. – I nie za bardzo rozumiem, skąd ten tupet. Kim pan jest, do cholery?

– Jak widzę, brak pani nawet podstawowych manier! – rzucił z ironią. – Nazywam się Emmanuel Mulder i jestem właścicielem tej galerii! Nie przypominam sobie, żebym panią zatrudniał.

– Jeżeli nawet kiedykolwiek by pan próbował, ja i tak nigdy nie zgodziłabym się dla pana pracować! – Błyskawicznie odparłam atak. – A jeżeli ma pan jeszcze jakieś pytania, proszę zwrócić się z nimi do mojego szefa, Jacoba Muldera. Zdaje się, że Błękitny Koliber to jego własność. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wracać do pracy.

Mało brakowało, a otworzyłabym drzwi i własnoręcznie wyrzuciłabym stąd tego impertynenta, ale powstrzymywały mnie od tego resztki klasy. Ten człowiek jednak najwyraźniej kompletnie mnie ignorował! Podszedł wolno do stojącego za kontuarem wytartego na podłokietnikach fotela i umościł się w nim wygodnie, zakładając nonszalancko nogę na nogę.

– Taaak, oczywiście, mogłem się tego domyślić – rzucił, przeciągając słowa. – To stryj panią zatrudnił. Jestem jego bratankiem, nie mieszkam na stałe w Holandii. Od czasu do czasu pojawiaam się w Delfcie, żeby sprawdzić, jak idą interesy. Jak widzę, raczej marnie.

Ale ze mnie gapa, w końcu mnie olśniło! Przecież Jacob opowiadał mi o tym Emmanuelu. Dostrzegałam teraz nawet pewne podobieństwo pomiędzy nimi, chociaż starszy pan Mulder miał z pewnością bardziej przyjazny wyraz twarzy. Łączyły ich obu orli nos i charakterystyczny dołeczek w brodzie.

Przez kilka chwil w milczeniu mierzyliśmy się wzrokiem i chyba każde z nas się zastanawiało, jaki powinien być następny krok. Ja pierwsza się zламаłam i wypaliłam:

– Przepraszam, ale Jacob nie uprzedził mnie o pańskiej wizycie i, prawdę mówiąc... wolałabym, żeby pan sobie poszedł. Jak już mówiłam, mam jeszcze sporo do zrobienia. Porcelana nie...

– A w jakim charakterze jest pani tutaj zatrudniona? – przerwał mi bezceremonialnie.

– Segreguję i opisuję wszystkie znajdujące się w Kolibrze naczynia. Przez te wszystkie lata nikt tego nie robił i, mówiąc oględnie, panuje tutaj niezły chaos – odpowiedziałam spokojnie, choć wszystko we mnie wrzało.

– Ale po co?– Uniósł starannie przystrzyżone brwi. – Przecież mój wuj i tak zamierza to wszystko sprzedać, a przynajmniej taka była umowa. Zrobiliśmy wstępną wycenę towaru, a tak właściwie to ja ją zrobiłem. Kilka najcenniejszych waz stoi w specjalnie opisanej skrzyni za kontuarem. Znam się na tych skorupach, taka rodzinna skaza, jeżeli rozumie pani, o czym mówię.

– Obawiam się, że nie za bardzo.

– Stryj bawi się z tym wszystkim już zdecydowanie za długo! – syknął niecierpliwie. – Od śmierci mojego ojca nie zajmuje się niczym innym,

tylko grzebie w tej porcelanie jak kret! A popularność nawet najcenniejszych okazów powoli spada! Jak się nie pospieszy, będzie musiał oddać wszystko za bezcen!

– Właśnie dlatego powinien chyba wiedzieć, co sprzedaje, nie uważa pan? – ucięłam. – Poza tym nie jestem upoważniona, żeby dyskutować z panem o sprawach rodzinnych.

Ten bufon naprawdę mnie wkurzał!

– Pakujecie to wszystko w takie gówno?! – wykrzyknął nagle Emmanuel, chwytając kawałek wystającej ze skrzyni ochronnej folii bąbelkowej. – Mulderowie przewracają się w grobach.

Zamrugalam zdezorientowana.

– Przepraszam, ale naprawdę... – Odwróciłam się na pięcie. Nie widziałam innego sposobu na zakończenie tej dyskusji.

– Wie pani, kiedy przed wiekami zaczęliśmy sprowadzać porcelanę z Chin, żeby zabezpieczyć morski transport cennych cacek, w skrzyniach zawijano porcelanę w drzeworyty.

– Drzeworyty? Przecież to odbitka graficzna! – Zatrzymałam się jak wryta.

– W rzeczy samej. – Mulder spojrzał na mnie nieco przychylniejszym okiem. – Papier, którego używano do tych odbitek, był niezwykle miękki i mocny, więc świetnie się nadawał do zabezpieczania kruchych naczyń. A że moi rodacy są niezwykle praktyczni, zaraz po rozpakowaniu porcelany drzeworyty prasowano i sprzedawano za niezłą cenę, jako kurioza z Dalekiego Wschodu.

– I tak trafiały do innych krajów europejskich, budząc coraz większe zainteresowanie przedsiębiorczych marszandów, którzy w mig zwietrzyli w tym niezły interes.... – rozległo się nagle za naszymi plecami.

Jak na komendę odwróciliśmy głowy.

– Stryj Jacob! Jak miło cię widzieć! – Emmanuel wyciągnął w kierunku starszego Muldera swoją prawicę.

Ten skrzywił się i powiedział:

– Nic się nie zmieniłeś od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Zaraz, zaraz, czyżby to było w Hadze? Na jednej z konferencji dotyczących delftów?

– Nie bądźmy tacy drobiazgowi. Na szczęście regularnie rozmawiamy telefonicznie – odpowiedział Emmanuel.

– Trudno to nazywać rozmową. Przez większą część tych pogaduszek urządzasz mi awantury. – Jacob nie zamierzał gryźć się w język.

– Przesadzasz! To z troski. Jak doskonale wiesz, finanse naszej rodziny leżą mi bardzo na sercu.

– Lata mijają, a Emmanuel jak zawsze ten sam! – Jacob roześmiał się gorzko. – Gdziekolwiek się na ciebie natykam, mówisz tylko o pieniądzach!

– Przyganiał kocioł garnkowi. Nawet słowem nie wspomniałem o chciwych marszandach. To ty zakończyłaś tak moją historię. Ja chciałem ją spuentować zupełnie inaczej – podsumował Emmanuel.

– To może panowie porozmawiają sobie w cztery oczy, ja będę się zbierać – wtrąciłam się w końcu, dyskretnie rozmasowując plecy. – Nie chciałabym brać udziału w rodzinnych potyczkach, choć temat drzeworytów wydaje mi się niezwykle ciekawy. Będę jutro o zwykłej porze – rzuciłam w kierunku Jacoba.

Ten machnął nieuważnie ręką, dziwnie zasępiony. Emmanuel nawet się ze mną nie pożegnał. Ruszył zdecydowanym krokiem na zaplecze za kotarą.

– Chyba za sobą nie przepadają – stwierdziłam pół godziny później w kafejce Pod Czerwoną Wiewiórką, na rynku.

Przedemną siedziała zasapana nieco Nienke, która dosłownie na kilka minut wyskoczyła z hotelu na popołudniową przerwę. Zadzwoiłam do niej, wyciągając na kawę i pogaduchy.

– Mamy dziś prawdziwy armagedon! – Przewróciła oczami. – Kilka wycieczek z Hiszpanii. Nie wiem, w co ręce włożyć! Na szczęście sama młodzież, a oni nie zwracają uwagi na brak udogodnień w naszym hotelu. Liczy się dla nich tylko zabawa.

– Ale przerwa święcie ci się należy. Nawet jeżeli wizja pustej recepcji przyprawia szefa o stan przedzawałowy. – Zrobiłam głupią minę.

– Jego nawet piorun nie uszkodzi! A wracając do Mulderów... choć chyba nie powinnam plotkować...

– Wiesz coś? Teraz już musisz mi powiedzieć! Nie odpuszczę! – mruknęłam i upiłam łyk kawy z filiżanki.

– No dobrze, dobrze... Bratanek Jacoba już od wielu lat nie ma zbyt dobrej passy. Jakieś nietrafione inwestycje, szczegółów nie znam, bo przecież nie jestem jego księgową. Chodzą jednak słuchy, że podobno jego ojciec podupadł na zdrowiu, dowiadując się o wielotysięcznych długach swojego pierworodnego. Miał kilka galerii z dziełami sztuki, bodajże w Londynie czy Paryżu, ale komornicy zajęli te nieruchomości i Emmanuel został z niczym. Nic dziwnego, że przypomniał sobie o stryju. Pewno mu nie w smak, że się tam kręcisz i węszysz.

– Nic z tego nie rozumiem... – Popatrzyłam na nią zdziwiona. – Przecież według relacji Jacoba to właśnie Emmanuel przekazał mu ostatnie słowa swojego ojca, które zachęciły go do poszukiwania rozwiązania rodzinnej zagadki. Tylko po kiego grzyba puścił parę z gęby? Gdyby trzymał język za zębami, wuj nie inwentaryzowałby tak drobiazgowo schedy, tylko od razu sprzedał wszystko i podzielił majątek pomiędzy ich dwóch. – Poniewczasie ugryzłam się w język, ale Nienke nie wydawała się zaskoczona moimi rewelacjami.

– Skoro już ci to zdradziłam... i ja odkryję wszystkie karty...

– Wiedziałam, że coś przede mną ukrywasz, czarownico z Delftu!

– Emmanuel na pewno nie puściłby, jak to malowniczo określiłaś, pary z gęby, gdyby nie notariusz, który siedział przy łożu śmierci starego Eugène'a. To on o wszystkim powiedział jego bratu. Emmanuel milczałby jak grób! Zresztą i tak podważał później słowa swojego ojca, twierdząc, że bredził w malignie kilka minut przed zgonem. Twardo trzymał się wersji, że to były jedynie majaki, a nie żadne fakty.

– A ty skąd o tym wszystkim wiesz? – Spojrzałam podejrzliwie na Nienke. – Gadasz tak, jakbyś sama towarzyszyła staremu Mulderowi w ostatniej drodze.

– Prawie! – Roześmiała się. – Tym notariuszem był brat mojej babci. Oczywiście zachował należyłą dyskrecję, ale ja i twój ulubiony przewodnik dowiedzieliśmy się o tym, jak by to rzec, z nieoficjalnych źródeł. Po prostu schowaliśmy się kiedyś pod biurkiem dziadka w jego gabinecie

i podsłuchiwałam jego biznesowe rozmowy. Ta akurat najbardziej zapadła nam w pamięć, bo staruszek był wyjątkowo zbulwersowany.

– *À propos* Ingmara... Gdzie on właściwie jest? Wysłałam mu esemesa, żeby do nas dołączył, ale nawet nie odpowiedział. Co tak nagle poczerwieniałaś? Powiedziałaś coś nie tak?

– Tylko ani słowa, bo udusi mnie gołymi rękoma!

– O mammo, znowu jakieś sekrety, zlituj się! No dobra! Nie pisnę, choćby mnie kołem łamano! Gadaj!

– Ingmar nie chce się już umawiać, jak to określił, w kłopotliwych trójkątach. Podobno chce cię zaprosić na randkę. W cztery oczy *of course*. Mój kuzyn ruszył do ataku! Strzeż się, niewiasto z dalekiego kraju!

Masz ci los! Jeszcze tego mi brakowało! Zdębiałam. Musiałam natychmiast zamówić jakieś procenty, żeby pomóc sobie w miarę szybko i bezboleśnie przetrwać te informacje. *Tête-à-tête* porcelanowego *freaka* i przewodnika stulecia! A to ci niezła kombinacja!

Rozdział XVI

Cornelia

Alkmaar, 1882

Idąc z targu rybnego ze świeżym linem w koszyku, przystawałam kilkakrotnie, żeby narwać rosnących tuż przy kanałach żółtych kosaćców. Wdychając ich zapach, przypominałam sobie jak przez mgłę *omę* Smid, która zbierała te kwiaty i przyrządzała z nich przeciwgorączkowy eliksir. Przychodzili do niej ludziska z całej wsi, gdyż umiała leczyć domowymi sposobami przeciągające się przeziębienia, otarcia i złamania. Jej gorące szorstkie dłonie, którymi przykładała na dotknięte chorobą miejsca różne zerwane na ławkach liście i zioła, działały cuda. Nie była czarownicą, raczej zielarką, szeptuchą, ale ludzie jej ufali i często zasięgali u niej porady. Kiedy umarła, na jej pochówek przybyła prawie cała wieś. Tak, wtedy nas poważano...

Gdyba *oma* żyła, na pewno wymyśliłaby jakiś eliksir pokuty dla Ilse! Mimowolnie na wspomnienie tej mały zazgrzytałam zębami. Cały czas miałam do niej żal o zniszczenie listu od Jespera. Jeszcze tego samego dnia napisałam do niego wiadomość, ale Bóg raczy wiedzieć, kiedy mój list do niego dotrze i kiedy on ponownie da radę na niego odpisać.

Stałam przed drzwiami prowadzącymi do sutereny, starannie wytarłam ubłocone po bieganiu po ławkach saboty i przezornie ukryłam żółty bukiet za pazuchą. Femke fukała na mnie zawsze, kiedy znosiłam zielsko do domu, dlatego postanowiłam nie wstawiać kwiatów do wody, a przewiązać je sznurkiem i ususzyć.

Ledwo zdążyłam postawić pierwszy krok w korytarzu, gdy zza drzwi naszej komórki wychynęła zapłakana twarz Zwaantje.

– Neeltje, musimy jechać do domu! – krzyknęła histerycznie. Czepek na jej głowie się przekrzywił, uwalniając opadające na ramiona pasma spletanych włosów. – Dostałam wiadomość od ojca!

Straciłam na moment dech. Rozsypując po podłodze pęk kosaćców, przypadłam do siostry, chwytając ją mocno za fartuch.

– Co się stało? Coś z dziećmi? – wyrzęziłam, gdyż macki strachu chwyciły mnie bezlitośnie za gardło.

– Wiem tylko tyle, że w naszej wiosce rozpanoszyło się jakieś choróbko – odpowiedziała szybko zmartwiałymi ustami. Z jej twarzy jakby odpłynęła cała krew. – Podobno przywlekli ją ci francuscy grajkowie. Siedzą na obrzeżach Delftu od tygodni i kto wie, ilu ludzi już zarazili.

– Kiedy ojciec wysłał ten list?

– Dwadzieścia dni temu! Pisał, że przenieśli się do miasta, koczują w gospodzie Pod Czerwoną Wiewiórką. Wszyscy, na szczęście, na razie są zdrowi. Musimy ich stamtąd wyciągnąć jak najszybciej, zanim zdarzy się jakieś nieszczęście!

– Może uda nam się ich sprowadzić do Alkmaar?

– Zorientujemy się na miejscu, Cornelio, teraz nie pora na pogaduszki. Pakuj swoje rzeczy, ja poproszę Femke o jakiś prowiant na drogę – zarządziła. Już nie płakała, tylko ślady łez na policzkach świadczyły o jej niedawnej hysterii. – A potem pójdiesz do pani i wybłagasz kilkanaście dni wolnego dla nas obu. Ona ma teraz do ciebie słabość, mnie na pewno nie posłucha, tylko się rozgniewa.

Pobiegłam czym prędzej do naszej komórki i schyliłam się, po omacku próbując wymacać leżący pod łóżkiem tobolek z moim nędznym dobytkiem. Kiedy moje dłonie natrafiły w końcu na szorstkie płótno, poczułam nagle, że czyjeś ręce opasują mnie w talii, a ktoś napiera z całych sił na moje pośladki. Krzyknęłam przerażona, wychyliłam głowę spod pośłania i zamarłam.

– Chodź tu do mnie, dziewczko! – sapnął Ruben Vermeulen.

Miał purpurową twarz, zmierzwione włosy i zwężone jak u agresywnego zwierza źrenice. Odór bimbrowy, zmieszany z ciężkim zapachem cygar, wywołał u mnie torsje.

– Zostaw mnie! Puszczaj natychmiast! – syknęłam, wbijając paznokcie w jego przedramiona i próbując odepchnąć go od siebie.

Jednak Ruben zakleszczył mnie w żelaznym uścisku i wpił się w moje wargi. Poczułam ciekącą po skórze strużkę krwi.

– Nie ma mowy, głupia suko! Zdejmuj halkę! Albo nie, czekaj, ja to zrobię! – warknął.

Fala gorąca oblała mnie od stóp do głów. Czułam napierające na moje udo stwardnienie w jego spodniach. Krzyknęłam głośno, ale momentalnie

nakrył rozczapierzonymi palcami moją twarz i zacisnął boleśnie ostre paznokcie na ustach. Rzęząc jak ranne zwierzę, sięgnął do dekoltu mojej sukienki, jednym szybkim ruchem rozdarł materiał i sięgnął do moich zakrytych cienką koszulą piersi. Jęknął głośno, ściskając moje sutki, i zaczął rozpinać guziki przy rozporku. Wiłam się na wszystkie strony, nadludzkimi siłami próbując się od niego uwolnić. W końcu szarpnęłam głową i wbiłam zęby w jego rękę. Na sekundę oderwał się od moich ust i wtedy udało mi się przeraźliwie zawyc.

– Zwaantje!

Ruben błyskawicznie uderzył mnie kantem dłoni w twarz. Snop gwiazd rozsypał się boleśnie przed moimi oczami.

– Zamknij się, dziwko! – wycharczał, a potem zaczął zawodzić jak w transie. – Dotknij mnie tu, tutaj, kurwa! – Szarpnął brutalnie za moją rękę i położył na swoim nagim, gorącym przyrodzeniu.

Poczułam podchodzącą do gardła falę mdłości. Zamknęłam oczy i ostatkiem sił wierzgnęłam w bok.

– Proszę, proszę... – Z korytarza padł na nas nagle snop światła. – Twoja siostra pakuje dla was chleb na drogę, roniąc łzy, a ty gzisz się z jej oblubieńcem! Jesteś zwykłą ladacznicą!

– RATUJ MNIE! – wyrzeźbiłam z trudem, czując w gardle lepki miazg i jak przez mgłę rozpoznając w stojącej w drzwiach kobiecej sylwetce Maartje.

Przetarłam oczy, które zaszyły bielmem, i odepchnęłam zwiotczałe nagle ciało Rubena.

– Ani mi się śni! – Wzruszyła ramionami. – Zaraz tu sprowadzę twoją siostrę, niech zobaczy, co z ciebie za ziółko – rzuciła z pogardą i odwróciła się na pięcie.

– To nie będzie konieczne... – tuż zza jej pleców odezwała się głucho Zwaantje.

Trzymała w obu dłoniach jakieś zawiniątko. Miała trupio bladą twarz i puste oczy.

– Zabieram się stąd! – rzucił nagle Ruben i podniósł się, zapinając spodnie. – A z tobą jeszcze się rozmówię – rzucił złowrogo w moim kierunku, przejechał dłonią po sterczących na wszystkie strony włosach i wyszedł z komórki, brutalnie potrącając ramieniem Maartje.

Zaczęłam rzewnie płakać, próbując przykryć wystające z rozdartej sukienki nagie piersi.

– A tak ją broniłaś! – Maartje splunęła nienawistnie pod moje nogi. – Won stąd, ale już! Pakuj manatki, wywłoko! *Je bent een hoer*¹¹!

¹¹ hol. Jesteś dziwką!

– To nie tak... Zwaantje, proszę, powiedz coś, błagam! To Ruben... On mnie napadł. Musisz mi uwierzyć, proszę, siostrzyczko! – Rzuciłam się do jej stóp.

Odepchnęła mnie tak mocno, że upadłam na posadzkę, uderzając głową o kant łóżka.

– Nie chcę cię znać, Cornelio! Zejdź mi z oczu raz na zawsze i zapomnij moje imię. Ja już nie mam siostry! – zawołała i zatrzaskała za sobą drzwi.

Przez chwilę płakałam bezgłośnie, a potem zrzuciłam z siebie podartą sukienkę, otarłam nią twarz i po omacku wdziałam koszulę, w której przyjechałam do Alkmaar. Drżącymi dłońmi przeczesałam włosy i zaplotłam je w warkocz. Kiedy wyszłam na pusty korytarz, ogarnęła mnie taka żalność, że z trudem mogłam ustać na trzęsących się nogach. Powlekłam się do drzwi i, przyciskając do siebie tobołek, nacisnęłam klamkę. Wiatr ochłodził nieco moją rozpaloną i opuchniętą twarz. Nie miałam pojęcia, jak bez pieniędzy uda mi się wydostać z portu, ale wiedziałam jedno: nie mogę się teraz załamać. „Muszę sobie poradzić!” – powtarzałam w myślach i, chwytając mocno poręcz przy schodach, wdrapałam się na poziom ulicy.

– Cornelio! – Usłyszałam nagle wołanie.

Tuż przy kanale, skubiąc kraj fartucha, stała Ilse. Zasłoniłam się odruchowo, oczekując kolejnych razów.

– Nie bój się mnie. Wszystko widziałam... – powiedziała cicho. – Chodź, przejdziemy kawałek dalej, tutaj może nas ktoś zobaczyć z okien na piętrze – dodała, rozglądając się strachliwie na boki.

Powłócząc nogami, podążyłam za nią. Tak naprawdę było mi już wszystko jedno. Kiedy skręciłyśmy w sąsiednią uliczkę, Ilse odwróciła się do mnie i wyciągnęła z kieszeni białe zawiniątko.

– Masz, przyda ci się w drodze – powiedziała szybko. – Włożyłam tam kilka florenów... Nie wiem, czy to wystarczy na zapłatę szyprowi, ale nie

miałam więcej. A z Rubenem... To gnida! Do mnie też się kilka razy przystawiał, ale ja umiem sobie radzić z takimi typami. Dlatego potem trzymał się już ode mnie z daleka. Zwaantje zapomni o tym. Na pewno się pogodzicie!

Patrzyłam na nią zdumiona.

– Dlaczego to robisz? – wyjąkałam. – Dlaczego mi pomagasz? Myślałam, że mnie nienawidzisz...

Ilse przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.

– Femke powiedziała mi o tej wstążce... Tej, którą sprzedała na targu, żeby mi pomóc zapłacić za jedzenie dla mojej rodziny. Najpierw myślałam, że to jej sprawka. A potem w końcu, przyciśnięta do muru, wyznała, że dostała ją od ciebie. Nie musiałaś tego robić, a jednak... Jestem pyskata i krnąbrna, jeżeli ktoś nadeptnie mi na odcisk, ale potrafię również okazać wdzięczność za bezinteresowną pomoc. Tobie tego nie zapomnę. Gdyby nie ty, moi bliscy pomarliby wtedy z głodu. Dziękuję ci...

– Muszę już iść, Ilse. – Opuściłam nisko głowę. – Czeka mnie długa droga do domu.

– Cornelio, poczekaj jeszcze chwilę! – zawołała, kiedy odwróciłam się na pięcie.

Spojrzałam na nią pustymi oczyma, bez emocji. Ostatni raz.

– Przepraszam cię za zniszczenie tego listu. Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczysz. Jestem głupia jak but! Nie powinnam tego robić. Tak długo na niego czekałaś...

– To już nie ma żadnego znaczenia, Ilse. Teraz to już nie ma żadnego znaczenia... – powtórzyłam głucho i ciężkim krokiem udałam się w kierunku portu.

A jednak Bóg jeszcze nade mną czuwał. Kiedy znalazłam się ponownie na tłumnym, rozkrzyczanym nabrzeżu, rozglądając się bezradnie, nagle podbiegła do mnie mała, może kilkuletnia dziewczynka. Była ubrana w porządną granatową sukienkę i kapelusz z koralową wstążką.

– Zgubiłam swoją mamę – oznajmiła rezolutnie i z ufnością chwyciła swoją pulchną rączką moją dłoń. – Pomożesz mi ją odnaleźć? Tutaj są sami groźni panowie i trochę się ich boję. Ale ty jesteś taka ładna, tylko bardzo,

bardzo smutna. Masz... – Wyciągnęła nagle z kieszeni bursztynowy karmelek. – Kiedy mam zły nastrój, mamusia pozwala mi czasem jeść cukierki. No, spróbuj, zobaczysz, zaraz będzie ci lepiej. Otwórz buzię...
Aaa!

Posłusznie spełniłam życzenie dziewczynki. Miałam wrażenie, że zarówno ona, jak i cały świat znajdują się za grubą szybą. Wszystkie dźwięki docierały do mnie przytłumione, a otaczające mnie kolory zdawały się tracić swoją rzeczywistą barwę.

– Jak masz na imię? – zapytałam, czując rozlewającą się na języku słodycz. – I nie martw się, zaraz znajdziemy twoją mamusię.

– Nie martwię się, bo jesteś ze mną. Nazywam się Louise, a ty? – Dziewczynka patrzyła na mnie bystrze, bawiąc się wysuwającym się spod kapelusza miękko skrzyconym lokiem.

– Cornelia, ale możesz mówić do mnie Neeltje – odparłam. – Chodź, pójdziemy do jednego z budynków portowych. Tam na pewno znajdziemy strażników miejskich. Być może twoja mama już tam na ciebie czeka – powiedziałam, chwytając dziecko mocniej za rękę.

Z trudem przeciskałyśmy się przez napierającą ze wszystkich stron ludzką ciżbę. Nad nami krążyły nerwowo rozkrzyczane mewy. Słońce schowało się za horyzontem, a chłód płynący szeroką falą od kanału zaczynał wciskać się boleśnie pod moje liche odzienie. Zadrżałam i pociągnęłam nosem.

Louise spojrzała na mnie uważnie i przytuliła się ufnie do mojego boku. Nagle ze stojącej przy murowanym budynku z czerwonych cegieł grupy kobiet oderwała się ubrana w piękny zielony płaszcz niewiasta.

– Córeczko! – krzyknęła i rozłożyła szeroko ramiona.

Mała pobiegła w jej kierunku i wpadła w objęcia matki, ściskając ją mocno w talii.

– Gdzieś ty się podziewała? Ja tu od zmysłów odchodzę... – Urwała, spoglądając na mnie, stojącą tuż za jej córką.

– To Neeltje mnie uratowała! – zawołała dziewczynka, uśmiechając się od ucha do ucha. – Gdyby nie ona, mogłabym wpaść do wody. A ja nie umiem pływać!

W oczach nieznanym kobiety dostrzegłam przerażenie.

– Aż tak źle nie było – zaprzeczyłam szybko. – Louise jest bardzo rezolutną dziewczynką. Po prostu miała trochę szczęścia, że trafiła właśnie na mnie.

Matka dziecka przyglądała mi się uważnie, z troską.

– Ty krwawisz – rzekła w końcu. – Twoje usta i policzek... Co się stało?

– Nic takiego. Jestem taką niezdara! Przewróciłam się niedawno na bruku – odpowiedziałam spłoszona, dotykając szybko opuchniętych warg. Na moich palcach została krwawa smuga. – Przechodziłam koło straganów, gdzie się poniewierały połamane skrzynie i rybie odpadki. Poślizgnęłam się na rozrzuconych wokół wnętrznościach i głowach... Już wszystko dobrze. W domu ktoś mnie opatrzy. Płynę do Delftu.

– W biurze portu na pewno jest balwierz. Proszę pójść ze mną. Nie możesz w takim stanie wsiąść do łodzi. Na pewno znajdzie się jakaś maść, którą zatamujemy krwawienie. A potem napijemy się herbaty. My również zmierzamy do Delftu. – Zerknęła ze zmarszczonym czołem na mały złoty zegarek na przegubie dłoni. – Nasza łódź odpływa dokładnie za godzinę. Musimy się pospieszyć!

Wszystko to, co zdarzyło się potem, pamiętam jak przez mgłę. Stanowcze, pachnące medykamentami dłonie portowego balwierza rozsmarowały na moich obolałych ustach jakąś woniejącą nagietkiem miksturę.

– Policzek jest bardzo obolały, musiała się panienka nieźle uderzyć. – Zerknął na mnie szybko, oczyszczając ranę i przyklejając na otarcie gruby plaster.

W jego spojrzeniu dostrzegłam niedowierzanie, tak jakby chciał powiedzieć: „Nie musisz kłamać, ja doskonale znam takie «upadki»”.

– Masz, wypij to! – Wyciągnął ze szklanej gabloty dużą brązową butelkę i uważnie odmierzył jedną łyżkę płynu. – To syrop z opium, uśmierzy ból.

Moje zęby szczękały o brzegi fajansowego kubka z letnią herbatą, którą chwilę potem zamówiła w portowej kantynie mama Louise. Piłam drobnymi łykami, ostrożnie rozchylając usta, jak ryba próbująca łapać powietrze po wyciągnięciu z wody. Ból zdawał się łżejszy, podniosłam więc głowę i rozejrzałam się uważnie. Jeszcze nigdy nie siedziałam w tak zacisznym wnętrzu. Kantyna była przeznaczona dla zamożnej klienteli.

Żebracy i portowa biedota nie mieli tutaj wstępu. Z wielkich okien rozpościerał się panoramiczny widok na port i łodzie, kołyszące się majestatycznie na wodzie. Każdy stolik był nakryty wykrochmalonym białym obrusem.

W końcu przestałam trząść się z zimna. Mama Louise zdjęła płaszcz. Miała na sobie piękną jedwabną bluzkę wykończoną grubą koronką przy rękawach. Ze wstydem spoglądałam na swoje poszarpane i brudne odzienie, podszyte wiatrem. Kiedy ktoś otworzył drzwi i do środka wpadł podstępnie zimny, wilgotny powiew znad kanału, skuliłam się na wyściełanym bordową tkaniną krześle i kichnęłam siarczyście.

– Mam gdzieś tutaj ciepły szal – powiedziała kobieta i wyjęła z eleganckiego kuferka zwój błękitnego materiału. – Okryj się nim. Jesteś przemarznięta do szpiku kości! Ten twój chałat... Przepraszam, nie chcę być niegrzeczna, ale chyba nie nadaje się na dalekie podróże.

Chwyciłam miękką tkaninę i z lubością otuliłam zziębnięte ramiona. Poczułam nagły przypływ energii. Spojrzałam z wdzięcznością na matkę małej Louise.

– Pokornie proszę o wybaczenie, nie przedstawiłam się pani. Nazywam się Cornelia Smid. Pracowałam w Alkmaar jako służąca u państwa Vermeulenów, ale muszę wracać do domu. Mieszkam w małej osadzie na północ od miasta.

– Liselotte van Keulen. Mój mąż jest zegarmistrzem w Delfcie. Prowadzi w kamienicy tuż obok Domu Wagi Miejskiej odziedziczony po rodzicach zakład. Drewniana Kukułka, może słyszałaś? Prawie wszyscy mieszkańcy Delftu naprawiają u niego zegary. Ja byłam z Louise w odwiedzinach u mojej siostry. Trochę się zasiedziałyśmy, ale może to i lepiej... – Urwała nagle, spoglądając ponownie na swój zegarek.

– Dlaczego lepiej? – zapytałam.

– Musimy już iść, Cornelio – odpowiedziała wymijająco. – Popłyniesz z nami, dobrze? To dosyć podła łódź, ale mamy miejsca na krytej nadbudówce z miękkimi ławkami. Jakoś się pomieścimy.

Zebrałyśmy swoje bagaże i pospiesznie wyszłyśmy na nabrzeże. Nasza łódź cumowała zaledwie kilka kroków od kantyny. Pani van Keulen uniosła

ciężką spódnicę i pewnie weszła na pokład. Ja zatrzymałam się kawałek za nią.

– Muszę zapłacić u szypra za bilet... – powiedziałam zrozpaczona.

Zaraz wszystko się wyda! Przecież na pewno nie miałam wystarczająco pieniędzy, żeby płynąć z nimi.

– Ja się tym zajmę – zakomenderowała Liselotte. – A ty idź już z Louise do kabiny, Cornelio. Poczekaście tam na mnie.

Mała wyszczerzyła drobne ząbki w uśmiechu, pociągnęła mnie mocno za rękę i w podskokach, zgrabnie lawirując pomiędzy ludźmi i porozstawianymi wszędzie skrzyniami, pobiegła do nadbudówki. Usiadłam onieśmielona na miękkiej ławce i oparłam obolałą głowę o podłożony pod ramię tobołek. Przymknęłam na moment oczy...

Kiedy się ocknęłam, jak mi się zdawało, pięć minut później, okazało się, że minęło kilka godzin. Przykryta rozłożonym szalem spałam tak mocno, że przegapiłam moment, kiedy łódź odbiła się od brzegu. Teraz znajdowaliśmy się już gdzieś koło Lejdy. Za oknami drewnianej przybudówki rozciągały się malownicze poldery, zielone groble porośnięte gęsto wierzbami, pomiędzy którymi majaczyły rozrzucone wśród pól jak dziecięce zabawki zabudowania gospodarstw i obracające się leniwie wiatraki.

– Masz, zjedz to. Wyglądasz tak mizernie. Błada, z ciemnymi kręgami wokół oczu... Pewno cię ci twoi państwo na służbie nie oszczędzali. – Pani Liselotte podała mi pajdę białego chleba, przełożoną grubym plastrem pachnącego ziołami tłustego sera.

Z trudem się powstrzymałam, żeby nie wepchnąć wszystkiego naraz do ust. Ale mama Louise nie wydawała się zdegustowana moimi manierami.

– Dobry ten ser, prawda? To gouda. – Uśmiechnęła się łagodnie. –

Dlaczego porzuciłaś służbę i wracasz do Delftu? – zapytała po chwili milczenia.

– Moja siostra... – Poczulałam krótkie ukłucie bólu na wspomnienie Zwaantje. – ...dostała wiadomość, że w okolicy naszej osady rozplenila się zaraza. Rodzicom, na szczęście, udało się skryć w mieście. Mam dwoje młodszego rodzeństwa i muszę im pomóc – powiedziałam, przeżuwając łapczywie kawałek sera.

– To bardzo szlachetne z twojej strony. Tak, słyszałam o tej zarazie. Osada, w której wykryto pojedyncze przypadki choroby, została odseparowana od reszty miasta, a jej mieszkańców poddano kwarantannie – odparła pani van Keulen, marszcząc starannie wyskubane brwi. – Wszędzie rozstawiono strażników. Mój mąż mówił, że na szczęście wszystko zduszono w zarodku. Tylko kilkudziesięciu ludzi nie udało się uratować. Dobrze, że twoi rodzice wydostali się z tego piekła na czas, bo teraz byłoby to niemożliwe. A wiesz, gdzie się zatrzymali?

– Tak. W szynku Pod Czerwoną Wiewiórką. To gdzieś przy rynku, niedaleko nabrzeża. Bardzo się o nich martwię... – przyznałam.

– Wszystko będzie dobrze, Cornelio – powiedziała serdecznie pani van Keulen. – Zjesz jeszcze jedną pajdę? Nie martw się, starczy dla wszystkich. Moja siostra przygotowała mnóstwo prowiantu. Nigdy tego z Louise same nie przejemy.

Z pełnym brzuchem, okryta ciepłym szalem, z życzliwą panią van Keulen u boku uwierzyłam, że mój zły los w końcu się odmienił.

Dotarliśmy do Delftu późnym wieczorem, kiedy całe miasto pogrążyło się już w mroku. Po moje towarzyszki wysłano wóz konny, ale pomimo że Liselotte zaproponowała mi podwózkę, odmówiłam grzecznie. Wolałam pójść do centrum pieszo. Krępowałam się nadużywać serdeczności mojej nowej znajomej. Pani Liselotte uścisnęła mnie mocno i na pożegnanie podarowała swój ciepły szalik. Gdyby nie on, zamarzłabym w swojej cienkiej, lichej koszulinie.

Musiałam przed spotkaniem w gospodzie ułożyć sobie w myślach rozmowę z rodzicami. Wiedziałam, że na pewno będą mnie pytali, dlaczego Zwaantje nie przyjechała ze mną do Delftu. Powinnam szybko wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, choć cała moja dusza wzdragła się przed jakąkolwiek nieprawdą. Nie mogłam jednak ranić ich opowieścią o Rubenie. Na to zapewne jeszcze przyjdzie czas.

Przyciskając do piersi nędzne zawiniątko, przemykałam pustymi o tej porze ulicami. Szynk Pod Czerwoną Wiewiórką znajdował się na tyłach Grote Kerk. Kiedy stanęłam przed wyglądającą ponuro, odrapaną kamienicą ze schodkowym dachem i chwiejącym się na wietrze metalowym szyldem, ogarnęło mnie nagłe zwątpienie. Wszystkie kłamstewka, które

wymyśliłam przed chwilą, nagle rozmyły się w jedną wielką plamę w mojej udręczonej głowie. Nabrałam głęboko w płuca kilka oddechów i w końcu pchnęłam skrzypiące drzwi.

Owionęło mnie ciepłe, zatechłe nieco powietrze i kwaśny zapach piwa. Niewielkie pomieszczenie było wypełnione siedzącymi przy prostych, długich ławach ludźmi. Rozglądałam się wokół niecierpliwie, podekscytowana, że już za chwilę zobaczę moje kochane bliźniaki i rodziców. Nie umiałam się na nich długo gniewać, pomimo że byli dla mnie aż tak surowi. Choć wyteżałam wzrok, nigdzie nie mogłam dostrzec ich twarzy. Może zlegli gdzieś w izbie za szynkwasem?

Z trudno skrywanym rozczarowaniem starałam się precyzyjnie przycisnąć w stronę zastawionej kuflami lady. Koło mnie przemknęła nagle roślina dziewczyna w poplamionym fartuchu, niosąca dwa wielkie dzbany spienionego piwa.

– Przepraszam... – zaczęłam ją nieśmiało, nagle tracąc cały rezon.

Dziewczyna spojrzała na mnie niecierpliwie.

– Czego? Nie mam czasu na pogaduszki! Klienci marudzą, nawet na chwilę na dupsku przysiąc nie mogę. No czego? Języka w gębie zapomniała?

– Gdzie znajdę właściciela szynku? – wydukałam wreszcie. – Mam do niego sprawę.

Dziewczyna obrzuciła mnie pełnym politowania spojrzeniem.

– Proszę, jaka ważna! – prychnęła. – Takie chuchro w łachmanach i na rozmowy przychodzi! Świat się kończy! A po kiego diabła ci Anton? Jeżeli szuka zarobku, to nie tutaj! Z taką krzepą to kwiatki na łąkach zrywać, a nie do uczciwej roboty się najmować! Wygląda, jakby po ciężkiej chorobie była! A może jaka uciekinierka z morowej osady, co? – zasyczała i postąpiła krok w tył. – Szefie! Idzie tu szef, a chyżo!

– Z żadnej osady – zaprotestowałam słabo. – Dopiero co z łodzi wysiadłam. Przyplłynęłam z Alkmaar do rodziny. Podobno mogę ich u was znaleźć. Dostałam wiadomość, że zatrzymali się w tej karczmie.

Nagle zza naszych pleców wychynął postawny mężczyzna z czarnym wąsem i okazałym brzuchem, który ledwo nakrywała wielka płachta płóciennej koszuli.

– A tu co za pogaduszki?! – huknął. – Lieke, do roboty wracaj, a migiem! Bo jak po karku zdzieję, to od razu odechce ci się bumelowania! A ty czego tu? – Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. – Żebraków gonię, bo tylko mi klientów męczą, więc radzę po dobroci, zabieraj się stąd, ale już!

– Rodziców szukam. Smidowie z osady. Geertje i Benjamin. Schronili się tu z dziećmi przed zarazą. Gdzie mogę ich znaleźć?

Właściciel szynku patrzył na mnie jak na ducha, a potem nagle potarł obiema dłońmi twarz i postąpił krok w tył.

– A ty skąd się urwałaś? – wydusił w końcu. – Toć oni o żadnej córce nie wspominali. Właściwie to tylko o tej zarazie gadali.

– Na posłudze byłam w Alkmaar – wyjaśniłam, uradowana, że rodzice są tutaj. – Nie było mnie w Delfcie przez kilka miesięcy, ale usłyszawszy, że bliscy w potrzebie, od razu spakowałam tobolek i jestem. Gdzie mogę ich znaleźć? Bardzo się za nimi stęskniłam. Bliźniaki są takie pocieszne, nieprawdaż?

Anton odwrócił głowę. Jego ramiona oklapły nagle. Już nie wydawał się taki groźny.

– Chodź, dziecko. Może ty głodna? – zagaił z innej beczki. – Zupę mam rybną. Lieke! – wrzasnął na wycierającą blat sąsiedniego stolika dziewczynę. – Polewki do miski wlej i chleba nakrój!

– A co to, pali się? Księżna jakaś czy co? A juści, już kiecę zadzieram i lecę! – odpysknęła dziewczyna, ale posłusznie zniknęła za szynkwasem.

– Proszę pana, niech pan mnie zaprowadzi do ojca i matki... – Popatrzyłam na Antona błagalnie. – Może też chętnie się posilą? Jan i Frieda ledwo od ziemi odrośli, a apetyt mają jak, nie przymierzając, chłop na roli. Zawsze im jakieś kąski do kieszeni chowałam, a oni jak te psiaki do moich kolan się łasili – paplałam. – Czemu pan tak na mnie dziwnie patrzy? Powiedziałam coś nie tak? Jeżeli tak, to proszę pokornie o wybaczenie. Trochę drogi za mną, nie wiem, co gadam.

– Ich już nie ma, dziewczyno. Ich już nie ma... – wyjąkał nagle Anton.

– Jak to nie ma? Kogo? – wydukałam, nic nie rozumiejąc.

– Twoich bliskich, dziewczyno.

– Przeprowadzili się do innej gospody? Proszę powiedzieć gdzie. Ja zaraz tylko twarz obmyję i tam pójdę. Dam radę, nie wyglądam, ale krzepę mam.

Pójdę już... Jaka to oberża?

– Niebieska... Tam, gdzie my, żyjący, wstępu nie mamy... Te dzieciaki... Jak to mówiłaś? Jan i Frieda... najpierw one padły jak muchy, a potem starsi. Grajkowie z tej cholernej Francji jakieś paskudztwo nam roznieśli, ale w porę zdusiliśmy zarazę w zarodku. Tych twoich do lazaretu na wozie zawieźliśmy, bo trzęśli się jak w febrze, ale już nie było dla nich ratunku. Pochowano ich razem z innymi nieszczęśnikami, w jednej mogile. Ech, niedola ta nasza ludzka, niedola!

– Jak to nie było ratunku? – powtórzyłam machinalnie słowa Antona, ale ich znaczenie wciąż do mnie nie docierało. – Oni umarli? Moje małe aniołki umarły? Matka? Ojciec? Wszyscy? To nie może być prawda! Powiedz, panie, że to okrutny żart! **TO NIEPRAWDA! ONI ŻYJĄ!**

Przed moimi oczami wirowało coraz szybciej. Zachwiałam się i mocno przytrzymałam rozchybotanego krzesła, na którym siedział jakiś jegomość. Już miał huknąć, ale zobaczył wyraz mojej twarzy i położył po sobie uszy.

– Lieke, gorzały przynieś! Trzeba tego dzieciaka znieczulić, bo zaraz się rozpadnie na kawałki! – zarządził władczo właściciel szynku.

Nagle całe pomieszczenie zlało się w jedną wielką plamę. Złapałam się za głowę, w której dudniło jak w kamieniołomie. Przez chwilę jeszcze widziałam nachylającą się nade mną okrągłą twarz Antona, która po chwili rozmyła się w nicości. A potem nastąpiła ciemność. Najchętniej zostałbym w niej na zawsze.

Rozdział XVII

Bogna

Delft, 2020

Pracowaliśmy od dobrych czterdziestu minut ramię w ramię, ale Jacob oprócz krótkiego powitania już się do mnie więcej nie odezwał. Czasem miewał takie napady milczenia, a ja, znając go już trochę, wiedziałam, że po prostu muszę je przeczekać. Tym razem domyślałam się, co może być powodem jego złego humoru. A raczej kto...

– Napijesz się kawy? – zaproponowałam w końcu, po zamknięciu trzeciej skrzyni z posegregowanym i opisanym starannie towarem.

Skinął głową, nawet nie podnosząc wzroku znad grubego katalogu zapisanego gęsto miniaturowymi literkami.

– Wprawdzie nie mówię po holendersku i żadne z tych słów, które teraz tak namiętnie studiujesz, nie jest mi znane, ale wydaje mi się, że czytanie do góry nogami znacznie utrudnia sprawę – powiedziałam, podając mu parujący kubek z czarną kawą bez cukru. Pił tylko taką.

Jacob najwyraźniej się zmieszał, gdyż zatrzasnął głośno katalog i, nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem, odłożył go na półkę.

– Coś nie tak z Emmanuelem? – odważyłam się zapytać. – Pokłóciliście się?

– Właściwie to ja nie pamiętam, Bogno, kiedy rozmawialiśmy normalnie – westchnął. – Emmanuel utrzymuje, że zatrudnienie ciebie było zbędne – przyznał szczerze. – Uważa, że powinienem zapytać o ekspertyzę jego. W końcu swego czasu prowadził za granicą kilka uznanych galerii sztuki i jak nikt inny jest obeznany z tematem.

– To dlaczego nie poprosiłeś o pomoc właśnie jego?

Mulder spojrzał na mnie uważnie.

– Z prostego powodu... Ponieważ mu nie ufam.

Wszystko było jasne. Nie chciałam już drażnić tematu. Dopiłam kawę, przetrąłam dłonie z kurzu i zabrałam się do pracy. Z ciekawością otworzyłam kolejną skrzynię. Pod wiekiem kryły się filizanki. Delikatnie chwyciłam pierwszą z nich i przybliżyłam kruche cacko do oczu. Jego powierzchnia, pokryta głębokim i wyrazistym błękitem, lśniła w świetle

mocnej lampy stojącej na kontuarze. Odwróciłam filiżankę do góry dnem. Na spodzie widniał namalowany kobaltem stylizowany monogram: C.S. Poczułam nagle dreszcz ekscytacji.

– Kim była osoba znacząca swoje inicjały na sygnaturze, Jacobie? Data umieszczona obok liter po prawej stronie wskazuje na rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty trzeci. Muszę ci przyznać szczerze, że natykam się na ten monogram po raz pierwszy. – Wyciągnęłam filiżankę w kierunku Muldera.

Ten zerknął szybko na spód naczynia zza grubych szkieł szylkretowych okularów.

– Ach, jeszcze ci o tym nie opowiadałem... Wśród naszej kolekcji natkniesz się na śladowe ilości tej sygnatury. Kryje się pod nią Christina Susanne Mulder, moja prababka. Była dość dobrą malarką. Gdzieś mamy nawet schowane kilka jej landszaftów. Reszta przepadła.

– Dlaczego? – zdziwiłam się. – Co się stało z tymi obrazami?

Mulder rozłożył bezradnie ręce.

– Możliwe, że je sprzedała. Była dosyć ekscentryczna jak na owe czasy, w wiecznej kontrze wobec swoich rodziców. Ptasiego mleka jej nie brakowało. Na początku odzęgnywała się od pomocy w Błękitnym Kolibrze, ale na początku tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku nagle zaczęła bardzo aktywnie się włączać w dekorowanie fajansów w manufakturze. Nie chodziła wprawdzie, jak inni zatrudnieni, do fabryki, nie chciała brudzić pyłem swoich pantofelków. Była bardzo kapryśna i humorzysta, dlatego jej ojciec urządził pracownię w naszej rodowej kamienicy przy Oosteinde. Bardzo naciskał, żeby zajęła się dekorowaniem fajansów, chyba ze względu na dość awanturnicze życie, jakie prowadziła. Staruszek jak każdy rodzic pragnął, żeby się ustatkowała, wyszła za męża, urodziła dzieci.

– I co było dalej? – Poczułam, że ta historia zaczyna mnie wciągać.

– Nastąpił chyba jakiś cud, bo pewnego dnia nagle zaczęła tworzyć prawdziwe dzieła sztuki. To właśnie Christina wpadła na pomysł, żeby wizerunku kolibra nie umieszczać na spodzie filiżanek, jak to czyniły inne manufaktury, na przykład miśnieńska ze swoim najbardziej rozpoznawalnym w świecie porcelany znakiem – symbolem

skrzyżowanych mieczy. Taka była wielowiekowa tradycja, a Christina ją przełamała.

– A gdzie w takim razie znajdował się wasz koliber?

– Ukryty wśród płataniny listków i drobnych kwiatków na filiżance. Tych okazów przetrwało, niestety, niewiele. Zostały zniszczone w pożarze, o którym ci wspominałem.

– To ogromna strata, choć być może i tak nie zachowałyby się do naszych czasów. To jednak krucha i delikatna materia.

– Czas nie ma tu nic do rzeczy, Bogno. Najstarsze oznakowane sztuki porcelany, które ocalały do dziś, pochodzą z czternastego wieku, z okresu cesarza Hung-wu z dynastii Ming. Ale ich już nigdzie nie kupisz, to białe kruki.

– Co się stało z Christiną? Po pożarze dalej malowała?

– Tego dnia, kiedy wybuchł, była w manufakturze. Nikt nie wie, dlaczego akurat wtedy tam poszła, bo zazwyczaj pracowała w domu. Po tej traumie z poparzonymi twarzą i dłońmi już nigdy nie odzyskała pełni władz umysłowych. Rodzice umieścili ją w zakonie i tam zmarła.

– To straszne... Czyli w tej skrzyni nie znajdę filiżanek z kolibrem? – zapytałam. Policzki paliły mnie żywym ogniem.

– Nie ma ich w kolekcji tej galerii. Jediną filiżankę, która ocalała w naszej rodzinie, ma w swoich zbiorach Emmanuel. Odziedziczył ją po swoim ojcu.

– Istnieje jakakolwiek szansa, żebym mogła ją zobaczyć? Co o tym sądzisz, Jacobie?

– Mogę poprosić Emmanuela, żeby ją przywiózł, ale wątpię, czy to zrobi. Strzeże jej jak oka w głowie.

– A skąd wiesz, że ocalało ich tylko kilka? Gdzie w takim razie są?

– To tylko moje przypuszczenia. Próbowałem szukać „koliberków”, jak je pieszczotliwie nazwałem, na różnych aukcjach w całej Europie, ale jak kamień w wodę. Możliwe, że ten egzemplarz, który ma w zbiorach Emmanuel, jest jedynym, który ocalał.

– To bardzo piękny ptak, ten koliber... – powiedziałam zamyślona.

Mulder szukał filiżanek na aukcjach, ale może ktoś, kto posiadał je w swojej kolekcji, wcale nie zamierzał się ich pozbyć? Powinien raczej

poszperać na licznych forach internetowych dotyczących porcelany. Dołączyłam już jakiś czas temu do różnych międzynarodowych grup zrzeszających miłośników delftów. Ludzie wiedzieli tam prawie wszystko na ich temat. Ale nie sądziłam, żeby Jacob w ogóle korzystał z Internetu. Dlatego musiałam zająć się tym sama, a na razie postanowiłam mu o niczym nie mówić.

– O czym tak dumasz? Zaintrygowałam cię tą opowieścią?

– Myślę o kolibrze... – odpowiedziałam szybko, błogosławiąc w myślach swój błyskawiczny refleks. – Skąd pomysł, żeby to właśnie ten ptak był symbolem manufaktury Mulderów? Wasza firma była przecież jedną z największych w Delfcie, a kolibry to najmniejsze ptaki na ziemi.

Jacob uśmiechnął się dobrotliwie.

– Wiedziałaś, że potrafią dostrzec kolory, o których ludzkiemu oku się nawet nie śniło? Akwamaryna, amarant, fuksja to dla nas abrakadabra. A one potrafią rozróżnić nawet najsubtelniejsze różnice w barwach. Dzięki dodatkowemu czopkowi w siatkówce widzą ogromne spektrum kolorów, ponieważ są wrażliwe na więcej rodzajów fal świetlnych. To daje im możliwość dostrzegania kombinacji barw, których my nie widzimy, a nawet nie potrafimy sobie wyobrazić.

– Nadawałyby się na projektantów mody. – Roześmiałam się.

– I nie tylko, również na akrobatów. Potrafią latać do tyłu i trzepoczą skrzydłami w nieprawdopodobnym tempie, średnio pięćdziesiąt razy na sekundę. Żeby to zobaczyć, człowiek potrzebuje specjalnego sprzętu wideo. Kolibry są jak klejnoty, Bogno. Dokładnie tak jak nasza porcelana. I tak jak ona pomimo tej pozornej kruchości są niezwykle wytrzymałe.

Jacob potrafił zainteresować rozmówcę tematem. Postanowiłam zakupić w księgarni album o kolibrach, a tymczasem musiałam wracać do pracy.

– Czy mógłbyś mi podać numer telefonu Emmanuela? – zapytałam od niechcienia. – Spróbuję go przekonać, żeby mi pokazał filizankę z kolibrem. Nie wyglądał, co prawda, na zbyt otwartego i zachwyconego moją obecnością w galerii, ale może uda mi się go przekabacić.

– Jasne, Bogno, możesz próbować. Ja już dawno straciłem nadzieję, że ten gagatek będzie mnie słuchał. Ma swoje wizje i plany i raczej nie liczy się z innymi.

Kiedy Jacob zniknął na zapleczu, błyskawicznie wyciągnęłam z kieszeni swoją komórkę i zalogowałam się pod nickiem *Blue Girl* na grupie Porcelanowi Szperacze. Szybko napisałam krótki tekst:

Poszukuję info na temat filizanek z delftyjskiej manufaktury Błękitny Koliber, sygnatura C.S., rok około 1883. Znak szczególny – miniaturowy wzór kobaltowego kolibra na szkliwie. Podobno bardzo rzadki. Please, poszperajcie na strychach i w babcinych kufrach. Moja wdzięczność będzie bezgraniczna!

Już miałam schować komórkę, gdy nagle na wyświetlaczu pojawił się numer Ingmara. Oho, czyżby mój ulubiony przewodnik zaczynał akcję „zwalczamy trójkąty”? Uśmiechnęłam się pod nosem i przyłożyłam aparat do ucha.

– Wieki cię nie widziałam... Czyżbyś przeniósł się do Delftu z czasów Vermeera i zostawił mnie tutaj na pożarcie rodzinie Mulderów? – szepnęłam dramatycznie.

– Cóż to za okrutne pomówienia? Właśnie zamierzałem zaprosić cię na kolację – odezwał się, zabawnie modulując głosem.

– A Nienke pójdzie z nami? – zapytałam, złośliwie wbijając mu szpileczkę.

– Nie mówiła ci, że umawia się teraz z potomkiem właściciela najstarszej pracowni zegarmistrzowskiej w mieście? Drewniana Kukułka, kamienica po prawej stronie Wagi Miejskiej. Bardzo zacna firma, jej korzenie sięgają osiemnastego wieku.

– Czy wy nie możecie się spotykać z normalnymi ludźmi, tylko zawsze z najbardziej znanymi potomkami miejscowego establishmentu? – jęknęłam.

– Nic na to nie poradzisz, Bogna. Wdepnęłaś w naszym Delfcie w sam środek historii. Ciesz się, że nie każemy ci się bratać z Maxem.

– Kim, na Boga, jest Max? Stryjecznym praprawnikiem Johanna Vermeera? Czy może Rembrandta?

– Pudło, porcelanowa księżniczko! Rembrandt urodził się w Lejdzie. Ale przyznaję, jesteś bardzo bystra i byłaś blisko. Max de Hooch to potomek Pietera¹². Nie mów, że o nim nie słyszałaś?

¹² Pieter de Hooch – holenderski malarz tworzący w XVII wieku, przez pewien czas mieszkający w Delfcie.

– O Maxie, na szczęście, nigdy, a o Pieterze coś tam mi się obilo o uszy – blefowałam. Solennie postanowiłam podszkolić się w temacie holenderskich malarzy złotego wieku!

– To co, o dziewiętnastej w naszej tawernie na rynku? Strój wieczorowy, bo przecież nie możesz się pojawić w podartych dżinsach na spotkaniu z przedstawicielem miejscowego establishmentu!

– Nawet tak nie żartuj! – Wzdrygnęłam się. – Widzimy się za kilka godzin. Dobrego dnia.

Odłożyłam telefon na stojącą obok skrzynię i zabrałam się do pracy. Po chwili komórka zawibrowała kilkakrotnie.

– Ki diabeł?

Zmarszczyłam zniecierpliwiona czoło i, oglądając się szybko za siebie, chwyciłam aparat. Jacob gotów pomyśleć, że nie robię tutaj niczego innego oprócz bawienia się smartfonem!

Porcelanowi Szperacze! Kilka nowych wiadomości! Poczułam dreszcz podekscytowania, który przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa.

Anton: *Nie ma szans, Blue Girl. Te okazy to porcelanowe białe kruki. Słyszałem o jednej wystawionej w jakiejś galerii w Londynie. Ale życzę powodzenia! Jak coś znajdziesz, daj znać!*

Julian z Amsterdamu: *Heeey, Blue Girl. Ja też jestem niezłym kolibrem. Pokręcimy?*

Fajansowy Sylvan: *Podaj więcej szczegółów. A szukałaś już na Marktplaats? Tam czasem sprzedają prawdziwe dzieła sztuki.*

Miranda: *Kolibier? Grubo! Wpadnij do kilku amerykańskich grup na eBayu. Oni tam mają fioła na punkcie delftów. W Europie to już lekki przeżytek. Good luck!*

– Na razie pudło – westchnęłam.

Postanowiłam wieczorem poszukać jeszcze ogłoszeń na holenderskim Allegro i kilku angielskich forach. Kto wie? A teraz naprawdę musiałam w końcu wziąć się za robotę!

Kiedy przebrana w ulubioną sukienkę Jacoba, w kolorze błękitu pruskiego (nie wzięłam słów Ingmara na poważnie, ale w ostatniej chwili zdecydowałam się jednak zmienić dzinsy na jakiś przyzwoitszy przyodziewek), zbiegłam po schodach, o mały włos nie strato wałam stojącego na chodniku przed witryną Kolibra Emmanuela Muldera. Najpierw obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem, a potem najwyraźniej rozpoznał, bo jego chmurny wzrok nieco złagodniał.

– W tej kiecce wyglądasz zdecydowanie lepiej niż w tych zakurzonych firmowych fartuchach z czasów królowej Wilhelminy – rzucił. – Mój stryj jest jednak chodzącym średniowieczem w kwestiach mody.

Zazgrzytałam zębami i już chciałam uraczyć impertynenta jakąś kąśliwą ripostą, ale przypomniało mi się, że przecież miałam do niego arcyważną sprawę.

– Poprosiłam Jacoba o twój numer telefonu... – zaczęłam.

Emmanuel uniósł wysoko brwi.

– A to ci niespodzianka. Szybka jesteś! Nie wiedziałem, że aż tak przypadłem ci do gustu. Byłem raczej... hm... mało sympatyczny. Ale skoro już się widzimy, zapraszam cię na kawę.

Najchętniej utopiłabym tego buca w łyżce wody!

– Bo chciałam cię poprosić o przysługę... – dokończyłam na wdechu. –

Ogromnie mi zależy na filizance z kolibrem. Wiem, że masz ją w swoich zbiorach. Wystarczy, że na nią zerknę, obiecuję, nie zajmie to dłużej niż kilka minut!

Twarz Muldera spochmurniała w ciągu kilku sekund.

– Jakim prawem Jacob zdradza osobom postronnym takie informacje!

– Nie jestem postronna. Pracuję dla niego i jeżeli chcecie, żebym pomogła w rozwiązaniu...

– Nie pomożesz w niczym! Ta cała akcja inwentaryzowania staroci to bzdura! Powinnaś się stąd jak najszybciej wynieść!

Nagle wpadł mi do głowy genialny pomysł. Chyba wiedziałam już, jak zmiękczyć tego cwaniaka.

– Zrobię to. Jak pozwolisz mi zerknąć na filizankę. Dwie minuty, góra trzy. – Zimną krew zdecydowanie miałam po dziadku.

Mulder nagle ochłonął. Przetarł obiema rękoma twarz. Dostrzegłam ciemne bruzdy pod jego oczami. Chyba je pudrował, bo na palcach został mu delikatny osad.

– Nie noszę jej przy sobie – mruknął. – Jest w moim apartamencie w Londynie. Ale mam gdzieś w Holandii w albumie zdjęcie tej skorupy, zrobione przez profesjonalnego fotografa. Wysoka rozdzielczość, kolory jak brzytwa. Jeżeli chcesz coś znaleźć, to na pewno dojrzysz wszystkie najdrobniejsze detale.

– *Deal!* Mogę jak najszybciej zobaczyć to zdjęcie? – O mały włos padłabym przed nim na kolana.

– Ile czasu tu jeszcze zabawisz? Trzy minuty z fotografią, ale spadasz z Kolibra w ciągu trzech dni. I ani minuty dłużej! Nie chcę tu żadnych węszących panienek z nosem w chmurach, bo wydaje im się, że zjadły wszystkie rozумы. Co ty masz za pojęcie o handlu porcelaną i dziełami sztuki? Zgrabne nogi to za mało, żeby czuć się porcelanową gwiazdą Delftu!

Najchętniej rozerwałabym go na strzępy.

– Tydzień i mnie nie ma – rzuciłam zimno, starając się z całych sił ukryć emocje. – I żadna ze mnie panienka. Mam na swoim życiowym koncie więcej, niż ci się wydaje... – Prawie dodałam „idioto”, na szczęście babcia Marianka czuwała z nieba nad swoją porywczą wnusią i w ostatniej chwili zamknęłam buzię.

– Wpadnę jutro, najdalej pojutrze. I jeszcze jedno, panienko... Radzę ci trzymać język za zębami. Wolałbym, żeby poczciwy Jacob nie wiedział, co tu knujemy. Jeszcze gotów dostać apopleksji. Choć, nie ukrywam, jego zejście z ziemskiego padołu byłoby mi bardzo na rękę.

Rozdział XVIII

Cornelia

Delft, 1882

Obudziłam się w pogrążonym w mroku pomieszczeniu, przesiąkniętym kwaśnym zapachem piwa. Leżałam na twardym sienniku, przykryta miękkim, ciepłym szalem, naciągniętym aż pod samą brodę. Kiedy otworzyłam oczy i rozejrzałam się, przez moment nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Pod odrapaną ścianą majaczyły kontury jakichś beczek i drewnianych skrzynek. Zamrugałam szybko i już chciałam zawołać Zwaantje, ale nagle przypomniało mi się, że mojej siostry tutaj nie było. Pokłóciłyśmy się i została w Alkmaar, w domu państwa Vermeulenów. A potem wsiadłam na łódź z tą dziewczynką... Nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia. Jej matka dała mi chleb i ser... Przełknęłam głośno ślinę. Nagły przebłysk świadomości wbił się w mój mózg jak sztylet, a czarny całun rozpacz przykrył świat nieprzeniknionym oceanem beznadziei. Już wszystko wiedziałam... Byłam w Delfcie, w gospodzie Pod Czerwoną Wiewiórką, a moich rodziców i bliźniaków już nie było. Nadal nie mogłam w to uwierzyć. Czułam na policzkach dotyk ciepłych łapek Jana, a w moich uszach cały czas dźwięczało radosne szczebiotanie Friedy: *Conelia... Conelia... Chodź, pobaw się z nami za domem. No chooodź!*

– Cornelio, obudź się, musimy porozmawiać – usłyszałam nagle jak zza grubej szyby.

Coś skrzypnęło głośno. Uniosłam obolałą głowę. Mój czepek przekrzywił się na lewą stronę, ale nie miałam siły, żeby go poprawić. W otwartych drzwiach stała zwałista sylwetka jakiejś dziewczyny. Światło padało z tyłu na jej włosy, rozświetlając je jak aureola. Miała na sobie prosto skrojoną brązową suknię, opasaną brudnym fartuchem z cajgu. Jej twarz znaczyły brzydkie blizny po chorobie, a nos jak kartofel poruszał się czujnie niczym u psa myśliwskiego. Z całych sił starałam się przypomnieć sobie, kto to jest, ale na próżno.

– W końcu się obudziłaś! No już, chodź tutaj, do izby. Zjesz owsianki – powiedziała i zostawiła za sobą uchylone drzwi.

Niechętnie opuściłam bose stopy na brudne klepisko. Pięty kleiły mi się do podłogi, ale nigdzie nie mogłam znaleźć swoich sabotów. Na moje ramiona opadały skołtunione, tłuste strąki, ale było mi wszystko jedno. Weszłam do pustej o tej porze karczmy. Na jednym ze stołów z ciemnymi plamami po piwie stała parująca miska z owsianką.

– Siadaj, posil się. Od kilku dni nic nie jadłaś – odezwał się nagle męski głos z rogu pomieszczenia. – Musisz mieć krzepę, żeby iść dalej. Tutaj nie możesz zostać. No już, siadaj, co tak sterczysz?

Klapnęłam posłusznie na ławie i zmrużyłam oczy. Pod oknem siedział czarniawy mężczyzna z wielkim brzuchem i kopcił fajkę. Zęby, w których trzymał cybuch, były brązowe od tytoniu, a wielkie jak bochny chleba dłonie o zgrubiałych palcach bębniły nerwowo po masywnych udach.

– Pozwól jej jeszcze przekimać na zapleczu, Antonie. Choć kilka dni. Dokąd ma pójść? Przecież to sierota – odezwała się korpulentna dziewczyna, przecierając ociekające wodą ciężkie szklane kufle. Odwróciła się na moment, stawiając czyste naczynie na półce. Jej szerokie proste plecy przecinał gruby, ciasno zapleciony warkocz.

Anton skrzywił się i puścił dym z fajki, który uniósł się wąską smużką aż pod belkowane sklepienie.

– Już dość jej serca okazałem, Lieke. W mieście fama poszła, że chorą dziewczuchę w ukryciu trzymam. Mało żeśmy dotąd zgryzoty mieli z tą zarazą? Już mi część klienteli do oberży U Florisa przeszła! Muszę myśleć o interesach, nie jestem szaleńcem. Dziewczyna musi sobie iść precz! Basta!

– Dokąd, na Boga? Miej ty zlitowanie, przecież to chuchro samo zemrze gdzieś na rynku, jak zbity pies!

– A cóż mnie Lieke tak od rana napastuje i fochy stroi? – zachnął się mężczyzna. – Nie wiem, co z nią dalej, przytułku dla poszkodowanych przez los nie prowadzę i świętym się nazywać nie zamierzam! Daj jej kilka florenów z kasy. – Jego głos nieco złagodniał. – Pajdę chleba ukrój i żeby mi jej tu po południu nie było. Powiedziałem raz i zdania nie zmienię! I dość tych jęków, bo i ciebie wypędzę! – Uderzył pięścią w stół, wstał i zniknął za szynkwasem.

Lieke fuknęła kilka razy pod nosem i łypnęła na mnie spod oka. Grzebałam łyżką w gęstej zawieszynie. Miałam wrażenie, że znajduję się w jakiejś bańce, nieczuła na świat, tak jakby prowadzona właśnie rozmowa dotyczyła kogoś zupełnie innego. A przecież chodziło o mnie...

– Pójdę sobie – powiedziałam nagle wolno i odłożyłam oplecioną kozuchem z mleka łyżkę na stół. – Nie będę nadużywać waszej gościnności. Pan Anton ma rację.

– Gówno to, a nie racja! – zaperzyła się Lieke. – Dzieciaka na ulicę wyrzucać, jak jakiś śmieć!

– Poradzę sobie...

– Nie chojrakuj! Dokąd ty niby pójdziesz, co?

– Do domu, do osady... – powiedziałam głucho i nagle tama puściła.

Rozpląkałam się rzewnie. Wielkie jak ziarna grochu łzy skapywały po moich policzkach, a ja próbowałam je wycierać rękoma, rozmazując na skórze brudne smugi. Lieke bez słowa podeszła do mnie i przetarła jednym stanowczym ruchem moją twarz krajem fartucha. Poczułam zapach starej smażeniny i cebuli. Przyłgnęłam do niej cała, łaknąc czułości i obejmując z całych sił obiema rękoma w talii. Dziewczyna stała cierpliwie bez ruchu, czekając, aż się wypłaczę. Jej ciepłe, pachnące jedzeniem miękkie ciało jakby kołysało moją umęczoną cierpieniem duszę.

– Wypłacz się, ptaszku, dobrze ci to zrobi – mówiąc to, klepała mnie szorstką, spracowaną dłonią po plecach.

– Chcę do domu – szeptałam z nosem pomiędzy fałdami jej fartucha.

– Żadnego domu już nie ma – powiedziała szybko, odsuwając mnie w końcu od siebie i patrząc mi w oczy. – Tam zaraza była. Ludziska rozebrali tę chałupę do czystego klepiska. Nawet deski spalili. Masz ty jakąś rodzinę tutaj, w Delfcie? Kogoś, u kogo mogłabyś się zatrzymać? Nie ma co już z Antonem dysput prowadzić, uparł się jak osioł. Sama widziałaś, że próbowałam. Naprawdę nikogo tu nie znasz?

Jesper! Serce zabiło mi żywiej. Ale nie mogłam do niego pójść. Przecież jego ojciec przepędziłby mnie, gdzie pieprz rośnie. I jeszcze napytałabym biedy swojemu chłopcu...

– Znam panią van Keulen. I jej córeczkę Louise. Jej mąż jest zegarmistrzem – rzekłam nagle, sama zadziwiona własną śmiałością.

– Herman van Keulen? Tak, znam go! – przerwała mi uradowana Lieke. – Pracuje zaraz za rogiem, kilka kroków stąd. Jego zakład nazywa się Drewniana Kukułka! Zaraz narzucę na siebie jakieś odzienie i zaprowadzę cię do niego. Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? To bliska rodzina? Tacy możni państwo i pozwolili ci chorować w tej podłej dziurze u Antona? Świat się kończy! – gderiała, zawiązując mocno płócienny czepek na głowie. – No już, idź po swoje rzeczy, czekam na ciebie przy wyjściu!

Pospiesznie zebrałam rozrzucone na podłodze pod łóżkiem drobiazgi, skórzany kajet od Jespera i zeschnięty na wiór kawałek chleba, i powlekłam się do Lieke. Ta spojrzała na mnie krzepiąco, sięgnęła za pazuchę i wyjęła kilka monet.

– A tu masz na czarną godzinę. Nigdy nie wiadomo, może ci się przydać trochę grosza. A teraz chodźmy! Ale już, bo robota na mnie czeka, sama na łasce i niełasce Antona jestem, więc muszę uważać. – Złapała mnie za rękę i pociągnęła w kierunku majaczącego w oddali gmaszyska Miejskiej Wagi.

Po kilkunastu metrach Lieke zatrzymała się przed wysoką, wąską kamienicą z lakierowanymi na ciemną zieleń drzwiami. Tuż nad nimi kołysał się na wietrze metalowy szyld z napisem. Z trudem przeliterowałam znajdujące się na tabliczce literki:

Drewniana Kukułka

H. van Keulen

Dyplomowany zegarmistrz

– To tutaj – sapnęła Lieke. – Na mnie już pora... – dodała, patrząc na swoje stare, znoszone trzewiki.

– Nie wejdiesz ze mną do środka? – zapytałam zaniepokojona. Obecność dziewczyny dodawała mi otuchy.

– Nie ma takiej potrzeby – burknęła i wytarła krajem rękawa zaczerwieniony nos. – Ja na takie salony nie pasuję. Zrobiłam dla ciebie, co mogłam. Teraz musisz radzić sobie sama. To... niech ci się szczęści, Cornelio – rzuciła szybko, odwróciła się na pięcie i pobiegła w głąb ulicy, jakby ją ktoś gonił.

Popatrzyłam na szyld zakładu zegarmistrzowskiego należącego do kogoś, kogo tak naprawdę wcale nie znałam. Kilka razy wyciągałam dłoń w kierunku ozdobnej metalowej gałki przy drzwiach, ale za każdym razem

ogarniał mnie taki strach, że cofałam rękę, nie mogąc się przemóc, żeby ją przekroczyć. W końcu postanowiłam usiąść na schodkach kamienicy znajdującej się tuż naprzeciwko Drewnianej Kukułki i poczekać na panią van Keulen. Podczas podróży do Delftu wspominała, że codziennie w porze obiadowej przynosi swojemu mężowi gorącą zupę. Zegar na kościelnej wieży wskazywał godzinę jedenastą czterdzieści. Musiałam więc uzbroić się w cierpliwość.

Wyciągnęłam z tobołka swój skórzany kajet. „Przeszedł już ze mną tak wiele...” – pomyślałam czule i pogładziłam naddarty nieco grzbiet zeszytu. Przewracałam wolno kartki, tak jakbym zaglądała w księgę czyjegoś zupełnie mi obcego życia. Kilka szkiców krajobrazu widzianego spod murów nad kanałem Schie, zarys twarzy Jespera, sylwetka brzemiennej pani Vermeulen, szkice jej twarzy i rąk, przygotowywane do portretu, który miałam namalować na płótnie, Zwaantje stojąca w drzwiach naszej komórki i trzymająca w dłoniach zerwane przed chwilą kwiaty... Moje serce ścisnęło nagle niewidzialne imadło i ukryłam twarz w dłoniach.

– Cornelia, a co ty tu robisz? – rozległ się nagle nade mną zdziwiony głos.

Przy schodkach do kamienicy, przed którą przycupnęłam, stała Liselotte van Keulen w pięknej pelerynce o barwie malachitu, podbitej futrem z lisa. Miała na sobie czarne skórzane rękawiczki i pachniała konwaliami. W rękę trzymała spory czarny kuferek, który postawiła teraz na jednym z kamiennych stopni i ujęła palcami moją brodę.

– Co się stało? – zapytała łagodnie. – Szkoda, że Louise nie mogła przyjść tutaj ze mną. Cały czas o tobie opowiada. Zapadłaś jej w pamięć na tej łodzi. A ona wbrew pozorom niełatwo się zaprzyjaźnia. Mów, dlaczego siedzisz taka zabiedzona na schodach.

– Nie mam dokąd pójść – wyjąkałam. – Moi rodzice umarli, domu już nie ma. Zostałam sama... Przyszłam tutaj, bo... może pani będzie mogła mi pomóc. Zrobię wszystko! Umiem pracować, prasować, mogę rąbać drewno i palić w piecu...

– Bidulko, jesteś cała zziębnięta. Chodź ze mną – przerwała mi pani van Keulen. – Ogrzejesz się w pracowni mojego męża i porozmawiamy, dobrze?

Skinęłam głową i schowawszy zeszyt do tobołka, podążyłam za Liselotte. Była moją ostatnią deską ratunku.

Po chwili znalazłam się w pomieszczeniu wypełnionym ciepłym światłem, płynącym z ciężkich lamp umieszczonych tuż przy pociętych szprosami oknach. Wszędzie pyszniły się błyszczące, wypucowane gabloty z ciemnego, lśniącego drewna, wypełnione najróżniejszej maści zegarkami. Niektóre z nich leżały na fikuśnych poduszeczkach, inne pyszniły się w eleganckich skórzanych pudełkach, wymoszczonych miękkim aksamitem. Na pomalowanych na ciemny kolor ścianach wisiały bogato rzeźbione zegary z wahadłami, które tykały równomiernie w rytm mojego serca. Za bogato zdobioną snycerską ladą stał wysoki, szczupły mężczyzna o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, ubrany w spodnie z ciemnej gabardyny z wysokim stanem i marynarkę w tweedowy deseń.

– Liselotte, kim jest ta dziewczyna? – zapytał piskliwym tonem. – To służąca? – Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. – Przecież mówiłem ci, że nie potrzebujemy już pomocy kuchennej. Margriet świetnie sobie radzi.

– Hermanie, a może jednak zmienisz zdanie? – Pani van Keulen uniosła wąskie brwi. – Margriet sapie na sam widok szczotki i wiadra. Ma już swoje lata i naprawdę coraz gorzej sobie radzi. Ostatnio Louise o mało nie zakrztusiłaby się obierkiem ziemniaka, który gospodyni przeoczyła.

– Nie zamierzam jej zwalniać! – zagrzemiał. – Pracowała jeszcze u mojej matki, której obiecałem na łożu śmierci, że Margriet doczeka u nas spokojnej starości! O co ty mnie właściwie prosisz? Mam powiedzieć tej biednej, wiernej nam jak pies kobiecie, że nadszedł kres jej służby? Bo znalazłaś jej młodszą zamienniczkę?

– Nikt nie chce się pozbywać Margriet, źle mnie zrozumiałeś – łagodziła sytuację Liselotte. – Wiem, że praktycznie to ona cię wychowała. Chciałabym jednak, żebyś przemyślał kwestię pomocy w kuchni. Cornelia jest bardzo silna i zręczna, pracowała w Alkmaar, w domu znamienitej rodziny, ale... prywatne sprawy zmusiły ją do wymówienia tej posady. Jak się nazywała twoja pani, Cornelio? – zwróciła się do mnie.

– Vermeulen – powiedziałam szybko. – Chętnie państwu pomogę, mogę zacząć już dziś. I nie muszę dostawać za swoją pracę żadnej zapłaty,

wystarczy mi dach nad głową i miska ciepłej stawy.

Po twarzy van Keulena poznałam, że zaczął się wahać.

– Louise na pewno się ucieszy, bardzo mnie lubi... – dodałam, pełna nadziei.

Przerażona mina Liselotte wskazywała jednak, że najwyraźniej nieświadomie popełniłam błąd.

– Skąd nasza córka zna tę dziewczkę? – Van Keulen poczerwieniał gwałtownie na twarzy. – Jakim prawem zaprowadziłaś ją już do domu? Jak mogłaś zrobić coś takiego za moimi plecami?! Przecież mogła zarazić nasze dziecko jakimś choróbskiem?

– Cornelio, wyjdź na zewnątrz i poczekaj na mnie na schodkach, dobrze? Ja muszę się rozmówić z moim mężem w cztery oczy.

– Ale...

– Żadne ale, idź już!

Liselotte popchnęła mnie lekko w kierunku wyjścia. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się ciężko plecami o ich lakierowaną powierzchnię. A już myślałam, że mój zły los się odmienił. Ścisnęłam tobolek w garści i usiadłam na zimnym kamiennym podeście. Po kilku chwilach zaczął siąpić drobny deszcz.

Kiedy zegar na wieży kościoła wybił godzinę trzynastą, z pracowni wyszła w końcu Liselotte van Keulen. Westchnęła ciężko i, nie zważając na tworzącą się na schodach kałużę, usiadła obok mnie.

– Poplami pani sobie swoje piękne odzienie! – zaprotestowałam, ale ona uciszyła mnie jednym stanowczym ruchem ręki.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

– Niestety, mój mąż okazał się nieprzejednany – wyznała. – Gdybyś nie napomknęła o naszej córce, na pewno by się zgodził. Jest na jej punkcie ogromnie przewrażliwiony. Straciliśmy już jedno dziecko... naszego pierworodnego syna. Od tego czasu trzęsie się nad małą jak nad okazem najcieńszej i najbardziej kruchej porcelany. Uważa, że przyprowadzając cię do naszego domu, naraziłam Louise na niebezpieczeństwo... – Liselotte urwała na moment. – Tłumaczyłam mu, że to nieprawda. Opowiadałam, w jaki sposób poznałyśmy się kilka dni temu w drodze z Alkmaar do Delftu. Miałam nadzieję, że go zmiękczy, mówiąc, że mała zgubiła się na

nabrzeżu, a ty ją do mnie przyprowadziłaś. Niestety, mój mąż jest dziś w wyjątkowo podłym nastroju. Dostało mi się jeszcze bardziej, że jej nie pilnowałam! Herman nie jest złym człowiekiem, Cornelio, ale cechują go nieustępliwość i ośli upór. Naprawdę wątpię, czy uda mi się go jeszcze złamać. Naprawdę próbowałam...

– Pójdę już. – Wstałam pospiesznie, strzepując z sukienki kropelki osiadłej na niej wody. – I bardzo dziękuję, że starała się pani mi pomóc. Jakoś sobie poradzę... Wrócę do karczmy i na kolanach będę prosić pana Antona, żeby mnie nie wyrzucał. Mogę spać nawet na podwórku, za szynkiem. Niedługo zrobi się ciepło, na pewno nie zamarznę. Bylebym tylko miała swój kąpiel. Odpracuję za niego z nawiązką.

– To nie będzie konieczne – powiedziała stanowczo pani van Keulen i również wstała. – Właśnie mi się przypomniało, że znam kogoś, kto poszukuje silnej i uczciwej posługaczki. Słyszałam to od naszej kucharki, Margriet, która zna wszystkie plotki w mieście. Codziennie chodzi na targ, a tam wszystkie przekupki jak wróble ćwierkają o każdej nowej ofercie pracy w Delfcie. Idź do tych państwa jeszcze dziś i powołaj się na mnie. To bardzo bogata rodzina, właściciele manufaktury Błękitny Koliber. Produkują znaną na cały kraj porcelanę...

– Mulderowie?! – krzyknęłam bezwiednie i zasłoniłam dłonią usta. – Wiele o nich słyszałam. Mój ojciec malował dla nich kafle. Na początku jego rysunki były piękne, równe, jak odrysowane od szablonu, a potem coraz bardziej skarżył się na pogarszający się wzrok. Wiecznie pracował w pyłe, ale nigdy nie narzekał. Szanował swój fach. Niech pani zobaczy... To jego robota i mój talizman...

Rozwiązałam tobołek i wyciągnęłam z niego gładki kafel przedstawiający kobaltowe figurki dziewczynki i chłopca. Zupełnie o nim zapomniałam!

– To jedyna pamiątka, która mi została po ojcu – powiedziałam, z trudem panując nad drżącym głosem.

– Jest bardzo piękny. Na pewno przyniesie ci szczęście – powiedziała ciepło pani van Keulen. – A teraz już idź. Widzę kątem oka, że mój mąż obserwuje nas uważnie z okna. A, byłabym zapomniąca! Mulderowie mieszkają przy ulicy Oosteinde sto siedemdziesiąt jeden. Nie znam ich zbyt

dobrze, ale Herman regularnie naprawia dla nich zabytkowe zegary. Mają ogromny dom i mnóstwo służby. Na pewno znajdzie się miejsce dla ciebie.

– Przysięgam, że pani nie zawiodę!

– Staraj się przede wszystkim nie zawieść ich zaufania, Cornelio! Ja bardzo w ciebie wierzę! Pracuj ciężko i uczciwie, a na pewno twój zły los niedługo się odmieni. Ujęłaś mnie od pierwszego wejrzenia. Masz w sobie coś takiego, co nie pozwala o tobie zapomnieć. A ja znam się na ludziach jak nikt inny.

Stałam wyprostowana, milcząc ze wzruszenia, a zimny wiatr smagał mnie po rozognionych policzkach.

– Dziękuję pani – powiedziałam w końcu i schyliłam się z wdzięcznością do jej ręki, ale nie pozwoliła mi jej pocałować.

– Nie jestem biskupem – rzuciła stanowczo i po chwili dodała szeptem: – I nie gniewaj się na mnie, Cornelio. Gdyby to ode mnie zależało, już dzisiaj znalazłabyś schronienie w moim domu.

Rozdział XIX

Bogna

Delft, 2020

Wczesnym rankiem, kiedy siłowałam się z trochę przestarzałym, zardzewiałym zamkiem przy drzwiach do galerii, nagle usłyszałam radosny głos Nienke:

– W końcu cię dopadłam! – krzyknęła i od razu rozjaśniła ponury, zamglony dzień swoim szerokim uśmiechem. – Jak tam randka z moim kuzynem? Nie mogłam się do ciebie wczoraj dodzwonić! A może *tête-à-tête* skończyło się dopiero nad ranem? Jestem żądna szczegółów!

– Próżne nadzieje! – parsknęłam. – Po prostu rozładował mi się telefon. – Ziewnęłam dyskretnie.

– Tak prozaicznie? Czyli nie masz dla mnie żadnych romantycznych kawałków? A TWOJA RANDKA?

– Aaa, randka... Nie uwierzysz! Ingmar wystroił się w garnitur i białą koszulę! Jak na wiejskie wesele! Dobrze, że w ostatniej chwili przebrałam się w sukienkę, inaczej wygladalibyśmy jak z dwóch różnych bajek.

– Wcale mnie to nie dziwi, Bogna. On jest starej daty. Zegar na ratuszu zdaje się młodszy niż jego poglądy na spotkania towarzyskie i adorowanie kobiety. Ale to dobry chłopak – zreflektowała się, stawiając w ostatniej chwili na rodzinną solidarność. – Odkrył wreszcie wszystkie karty?

– Wchodź do środka, nie będziemy gadać na ulicy – sapnęłam i w końcu otworzyłam odporne wrota. – Będę musiała poprosić Jacoba, żeby zrobił coś z tym przedpotopowym zamkiem.

Nienke wkroczyła za mną do galerii, rozglądając się uważnie.

– Lubię ten zapach kurzu i staroci – powiedziała, rzucając na szeroki parapet swoją kolorową włóczkową torbę.

– To żaden grzech. – Uśmiechnęłam się. – Ja kochałam aromat benzyny i mój dziadek bał się swego czasu, że z takimi skłonnościami popadnę niechybnie w jakiś nałóg.

– Zawarty w paliwie metylobenzen jest silną substancją psychoaktywną i może działać na nas euforycznie. Zatem przyjemność wywołana zapachem benzyny jest biochemicznie uzasadniona.

– Czy wy z Ingmarem naprawdę macie odpowiedź na wszystko? Jak w *Milionerach*?

– Nie wiem, co mają z tym wspólnego milionerzy, ale Ingmar wie na pewno o wiele więcej niż ja, zapewniam cię. Oczywiście poza zasadami *dress code'u* na nieformalnych randkach. – Nienke pokazała mi język, a potem powiedziała: – Dawno tutaj nie byłam, ale powiem szczerze, wydaje mi się, że zrobiłaś kawał dobrej roboty. Koliber nie przypomina już tej graciarni, którą pamiętam. Kiedyś bywałam tu z moją mamą.

– Dziękuję, kochana. A teraz napijmy się kawy. W porcelanowej filiżance! – zarządziłam. – Swego czasu twój genialny kuzyn przyniósł do galerii papierowe kubki i Jacob o mało nie dostał zawału.

– No właśnie, Ingmar! Opowiadaj dalej! Jestem ogromnie ciekawa, jak ten nasz słoń w składzie porcelany zabrał się za podryw.

– Niezwykłe... oryginalnie – przyznałam, naciskając włącznik wiekowego ekspresu do kawy. – Najpierw opowiedział mi o sali tortur w ratuszu miejskim oraz wymienił szczegółowo wszystkie narzędzia służące do wymierzania sprawiedliwości w średniowieczu.

– Bardzo romantycznie! A wykrztusił w końcu z siebie prawdziwy powód tego zaproszenia na kolację?

– W pewnym momencie poczerwieniał i zapytał wprost, czy zostanę jego dziewczyną. Za moich czasów nazywało się to „prosić wybranek o chodzenie”, ale nie słyszałam o tym procedurze już całe lata. Teraz ludzie chyba po prostu się umawiają, kiedy mają na to ochotę, bez zbędnych deklaracji?

– Mnie nie pytaj, nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w randkowaniu. I jak przyjęłaś te jego konkury?

– Powiedziałam dyplomatycznie, że najpierw chciałabym się z nim trochę poprzyjaźnić, a potem zobaczymy. Nienke, ja naprawdę nie mam teraz nastroju na miłostki. Niech zostanie tak, jak jest. A jest fajnie! Po co to zmieniać?

– Zgadza się z tobą – potaknęła przyjaciółka. – Ale nie dziwię się Ingmarowi, że kompletnie stracił dla ciebie głowę. Jesteś mądra i nawet ładna.

– Ach, bardzo ci dziękuję za ten wyszukany komplement! – Skłoniłam się z galanterią. – Co do mojej mądrości, nie zamierzam z tobą polemizować, ale przecież rodzina Ingmara na pewno wolałaby, żeby wybrał sobie na dziewczynę jakąś lokalną przedstawicielkę znamienitego rodu. Nie wiem, złotników, zegarmistrzów...? – zagaiłam sprytnie.

Nienke zaczerwieniła się po sam czubek głowy. „Mam cię, ptaszku!” – pomyślałam, dusząc się ze śmiechu.

– Ingmar nagadał ci coś o Adamie, tak? – syknęła. – Wcale się z nim nie spotykam. Po prostu się lubimy. I od czasu do czasu jeździmy razem na rowerowe wycieczki do Hagi.

– Adam? – Uniosłam wysoko brwi, udając niewiniątko. – Niewiele mi o nim wiadomo. Gadaj!

– Nie ma o czym! – Machnęła ręką. – Jego ojciec prowadzi na rynku zakład zegarmistrzowski Drewniana Kukułka. To, podobnie jak u Mulderów, rodzinny biznes. Ale wątpię, żeby Adam przejął ten interes. Lubuje się w dronach, a nie starych zegarach z kukułką. Najśmieszniejsze jest to, że nasze matki się znają i, jak usłyszałam z wiarygodnych źródeł, to one zaaranżowały nasze pierwsze spotkanie. No cóż, kliknęło! – Nienke znowu spiekła raka.

– Zaaranżowane randki? – powiedziałam wolno i uśmiechnęłam się do swoich wspomnień. Coś o tym wiedziałam!

Przesławice, piętnaście lat wcześniej

Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka zła na babcię! Jak ona mogła wmanewrować mnie w ten kocioł?! I to pod niewinnym pozorem szkolnej lektury, której od kilku dni bezskutecznie szukałam. Siedzący naprzeciwko mnie w kawiarni Eklerka chudy jak szparag chłopak w powyciąganej szarej bluzie i najmodniejszych spodniach z lampasem przyglądał mi się z drwiącym uśmieszkiem. „Już ja sobie z panią pogadam, pani Zdanowicz – odgrażałam się w myślach. – Skąd ona wytrzasnęła tego dziwoląga?”.

– Jaka lektura? – „Szparag” patrzył na mnie jak na osobę niespełna rozumu. – Babcia Waleria mówiła, że kolekcjonujesz stare wydania magazynu „Modny Świat”, a tak się składa, że brakuje mi kilku numerów z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

– W ogóle nie wiem, o czym do mnie gadasz! – parsknęłam. – Jaki znowu „Modny Świat”? To jakiś plotkarski szmatławiec! Miałeś mi skołować *Konrada Wallenroda*. W żadnej bibliotece nie mogę go znaleźć.

– Z choinki się urwałaś! Nie znam żadnego Wallenroda! Co to za ziom?

– Nie czytasz lektur? Gdzieś się uchował?! – Zdębiałam. – Jak ci właściwie na imię? Izajasz?

– Wypraszam sobie! Jestem Ignacy! A ciebie zwą Bogna, tak? Babcia mówiła, że masz fioła na punkcie mody, ale widzę, że to jedna wielka ściema. Ten twój sweter to stary trend.

– A moja przekonywała, że Mickiewicz to twoje drugie imię i Wallenroda masz w jednym paluszku! A tu taka wtopa! A od swetra to ty się odwal!

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, na poły wrogo, na poły podejrzliwie, a potem nieoczekiwanie zaczęliśmy się śmiać. Babcine intrygi, szyte zdecydowanie zbyt grubymi nićmi, zaczęły się pruć na całego.

– Co jeszcze gadała ci o mnie babcia oprócz tej mody? – zapytałam, trzymając się za brzuch. Ja i Ignac?! A to ci pomysł!

– Same superlatywy! Że kochasz róż i dziewczynskie plotki. I że można z tobą konie kraść. Że ja się wcześniej nie zorientowałem, co w trawie piszczy!

– Moja była bardziej stonowana – wyznałam. – Podobno grasz na akordeonie i malujesz na szkle. Ja i róż?! To miał być komplement?

– Na szkle? Pierwsze słyszę. Ale akordeon lubię, to fakt. Myślisz, że nasze staruszki chciały nas ze sobą zeswatać?

– Na to wygląda. – Zachichotałam. – Tylko, z całym szacunkiem, Ignacy, ty kompletnie nie jesteś w moim typie.

– I *vice versa*! Poza tym ja kocham plotki i róż.

– A ja nie cierpię akordeonu. Dlaczego moja babcia, na Boga, ubzdurała sobie, że szukam chłopaka?

– To raczej ja go szukam – pisnął Ignacy i spłonął się jak pensjonarka.

Zerknęłam na niego zaintrygowana.

– Dobra, przeprowadzę cię przez to. Jestem gejem! – rzucił szybko mój niedoszły oblubieniec. – Nie umawiam się na randki z wielbicielkami Wallenroda, ale chętnie doradzę ci w kwestii makijażu. Chcę zostać wizażystą.

– To zazdrozczę tej pewności w sprawie własnej przyszłości, bo ja jeszcze nie wiem, kim chciałabym zostać. Może będę ozdabiać filiżanki w naszej manufakturze? Od dziecka ciągnie mnie do porcelany.

– To mamy w końcu jakiś punkt wspólny! Oboje chcemy malować! – Ignacy roześmiał się głośno. – Sztama?

– Sztama! I... sama nie wierzę, że to mówię, ale kiedyś chętnie spotkam się z tobą ponownie na kawę.

– Nie dlatego, że tak umyśliły sobie nasze sprytne babcie? – Mrugnął do mnie.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu dlatego, że ja sama tego chcę. Miłości z tego nie będzie, ale może się zaprzyjaźnimy. Zamawiamy w końcu jakieś ciacho? Mam nadzieję, że po solidnej dawce cukru będę bardziej wyrozumiała dla babci i wybaczę jej te renesansowe knowania. Zachciało się jej bawić w swatkę, doprawdy!

Po południu postanowiłam w końcu wdrapać się na strych nad moją kawalerką. Od kilku dni intensywnie myślałam, czy powinnam bez pytania o zgodę Jacoba myszkować po – jak to nazywał Ingmar – *vlieringu*, ale uznałam, że przecież w końcu nie planuję napadu na bank, tylko historyczny rekonesans.

Przez kilka chwil wpatrywałam się z powątpiewaniem w zwisający z sufitu sznurek (nadal czułam obawy, czy jego pociągnięcie nie okaże się zgubne w budowlanych skutkach), ale ciekawość zwyciężyła. Szarpnęłam za niego zdecydowanie. Kłapa w suficie się uchyliła i moim oczom ukazały się wąskie drewniane schodki, które rozłożyły się jak harmonijka. Spojrzałam z zainteresowaniem w niewielką dziurę rozjaśnioną ciepłą słoneczną plamą płynącą z umieszczonego w dachu świetlika.

– Raz kozie śmierć – wyszeptałam rycersko i wdrapałam się na górę.

Zakurzone i pokryte pajęczynami pomieszczenie rozciągało się na szerokość całego budynku. Powąła była łukowata, a jej linia oddawała układ belek wspierających dach. Miałam wrażenie, że znajduję się we wnętrzu odwróconej do góry dnem łodzi. Zamrugałam szybko i odruchowo schyliłam głowę. Drobinki kurzu wirowały wokół mnie, osiadając w ciemnych kątach. Wyciągnęłam z kieszeni zabraną przezornie z kuchni

latarekę i omiotłam silnym snopem światła stojące po bokach skrzynie. Niektóre z nich były zamknięte na kłódki, inne straszyły wypełnionym szpargałami wnętrzem. Książki, abażury, jakieś świeczniki, połamane deski i zwoje pokrytych stuletnim kurzem tkanin... W kącie stało parę tapicerowanych krzeseł i zaśnieżone lustro. Na jednej z umieszczonych pod świetlikiem półek dostrzegłam kilka woluminów w skórzanych okładkach i leżące jedna na drugiej oprawne w bogato zdobione ramki fotografie w sepia. Wyciągnęłam leżące na samym szczycie zdjęcie. Przedstawiało ubraną w długą białą suknię matronę z wysoko upiętymi włosami. Tuż przy jej boku siedział na trawie, w marynarskim ubranku, nieco naburmuszony chłopiec z równo podciętą grzywką. Zmrużyłam oczy, ale ich twarze były mi kompletnie obce.

Odłożyłam fotografię i zerknęłam niżej. Pod półką w równym rzędku stały odwrócone do ściany malaturą płótna i jakieś pudła z narzędziami. Sięgnęłam do jednego z nich i po chwili trzymałam zaschnięty na kość pędzel. Kiedy wsunęłam rękę głębiej, moje palce natrafiły na pokierszowaną powierzchnię jakiegoś kafla. Był niemiłosiernie obtłuczony po bokach. Przetarłam jego brudną powierzchnię rękawem i dostrzegłam w końcu kobaltowy rysunek przedstawiający dwie figurki, dziewczynki i chłopca. Stali naprzeciw siebie, z ciekawością wyciągając ku sobie głowy. Malec miał zmierzwioną czuprynę, a jego towarzyszka zawiązany na wielką kokardę czepek. Na odwrocie kafla ktoś nabazgrał datę – 1879 – i chyba imię – Cor... Wytężyłam wzrok, ale nie mogłam odczytać wszystkich liter, gdyż zlewały się w rozmazaną plamę.

Odłożyłam kafel na bok i sięgnęłam po odwrócone do ściany płótna. Pierwszy obraz przedstawiał rynek w Delfcie, namalowany z lotu ptaka. Dostrzegłam budynek ratusza i kolorowe szczyty rozstawionych po obu stronach placu kamieniczek. Kimkolwiek był autor tego dzieła, chyba malował w pośpiechu lub nie grzeszył talentem. Zbyt płaska perspektywa i złe światło bez różnicowania odcieni psuły niezwykle efektowny kadr. Sięgałam po kolejny obraz, gdy nagle zza ramy wysunął się oprawiony w ciemną skórę kajet. Chwyciłam zeszyt w obie dłonie i zaintrygowana zerknęłam do środka. Pierwsza strona, pokryta żółtymi plamami o dziwnie

chropowatej w dotyku fakturze, była pusta. Kolejne zapełniały niezwykle udane szkice ludzkich twarzy i sylwetek.

Po chwili krzyknęłam z zachwytem. Na jednym z rysunków widniał drgający w trzepocie skrzydeł koliber z wygiętym lekko w dół długim dziobem. Genialna, miękka, a jednocześnie pewna kreska twórcy sprawiła, że namacalnie czułam wibrowanie lotu maleńkiego ptaszka. Niecierpliwie przekartkowałam poplamione i naddarte kartki, ale nigdzie nie mogłam znaleźć podpisu lub choćby inicjałów jego właściciela. Bez wahania chwyciłam zeszyt i kafel, schowałam je do wielkiej kieszeni mojego starego swetra i kichnęłam siarczyście. Kurz osiadł na moich włosach i twarzy, a drobno utkana pajęczyna oplatała nawet moje policzki.

Ostrożnie zeszłam do mieszkanek, otrzepując się w miniaturowej kuchence jak pies. Leżący na blacie telefon nagle zaśpiewał znajomym dźwiękiem nadchodzącej wiadomości. Zniecierpliwiona już miałam go wyłączyć, chcąc na spokojnie przejrzeć niezwykle rysunki w kajecie, gdy nagle dostrzegłam, że ktoś przesłał mi *message* na belgijskim forum dla miłośników porcelany.

Jan: *Po co w tym grzebiesz? Mulderowie ci kazali? Próżne nadzieje. Nie znajdziesz tych filizanek. Zajmij się lepiej czymś pożyteczniejszym. Sugeruję shopping!*

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Nigdzie nie wspominałam o nazwisku właścicieli manufaktury. Ktoś najwyraźniej doskonale znał jej historię albo... wiedział więcej, niż mogłam przypuszczać.

Bogna: *Drogi Janie, shopping to pomysł dla zblazowanych pań o wymanikiurowanych rączkach. Ja lubię się pobrudzić. Skąd wiesz o Mulderach? Może pogadamy na żywo?*

Ledwie zdążyłam nacisnąć ikonkę „wyślij”, a w mojej skrzynce po kilku sekundach pojawiła się kolejna wiadomość.

Jan: *Nie jestem zainteresowany. Brudź się sama!*

Zazgrzytałam zębami! Nie mogłam teraz zgubić tego tropu! Opuszki palców swędziały mnie coraz mocniej... I nagle wpadłam na genialny pomysł. Może pora odkryć pierwszą z kart?

Bogna: *Wiesz coś na temat zeszytu w skórzanej oprawie? Znalazłam w nim właśnie szkic kolibra. Jest wyjątkowy. Dalej nie chcesz się brudzić?*

Jan: *Kajet w barwie terra, z poprzecieranymi mocno brzegami? Dobra, jeszcze się zastanowię!*

Błyskawicznie sięgnęłam za pazuchę. Tak, zeszyt miał specyficzny brązowy odcień! Skąd ten porcelanowy *freak* z Belgii o tym wiedział? Ta zabawa zaczynała się robić interesująca. W końcu miałam jakiś trop. A nawet dwa!

Rozdział XX

Cornelia

Delft, 1883

Już od kilku miesięcy żyłam w nowym domu, przy ulicy Oosteinde 171. Kamienica należała do właścicieli manufaktury Błękitny Koliber. Była piękna, szeroka, z trzema piętrami i mansardą. Od frontu z jej okien widać było górującą nad kanałem wieżę Nieuwe Kerk. Cały czas pamiętałam ten moment, kiedy umęczona, głodna i spragniona stanęłam przed fasadą siedziby Mulderów po raz pierwszy... Szczęście mnie nie opuszczało, pomimo że już na samym początku popełniłam ogromny błąd. Zwaantje uczyła mnie, że służące nie powinny pojawiać się przed pańskimi drzwiami, a ja, niepomna jej porad, zamiast zastukać do sutereny, ruszyłam po schodach do wejścia głównego i załomotałam mocno kołatką. Otworzyła mi ubrana w czarny fartuszek służąca, Merel. Jej imię oznaczało w języku niderlandzkim nazwę ptaka i niezwykle do niej pasowało. Merel zakładała najchętniej ciemnobrązowe sukienki i wplatała żółte wstążki w grube warkocze. Dokładnie takie kolory widniały na upierzeniu samic kosa. Służące w mieszczańskich domach zazwyczaj nie mogły nosić żadnych ozdób we włosach, ale Marie Mulder miała do Merel słabość i pozwalała jej na wiele więcej niż innym *meiden*¹³. A kto umiał żyć dobrze z ulubienicą pani, mógł w domu przy Oosteinde spać spokojnie.

¹³ hol. dziewczynom, tu: służącym

– Miałaś być o dwunastej! – syknęła karcąco, kiedy zobaczyła mnie w wejściu. – Pospiesz się! Nikt nie będzie na ciebie czekał! Nie jesteś udzielną księżną!

Ukryłam zdumienie na twarzy. Czyżby pani van Keulen w jakiś niewytłumaczalny sposób już mnie zapowiedziała? Skąd bowiem ci ludzie wiedzieliby, że przyjdę się starać o posadę?

– No już, nie śnij na jawie! – skarciła mnie Merel. – Ocknij się, czeka cię ważna rozmowa!

– Przepraszam... – Dygnęłam odruchowo. – Jesteś bardzo ładna – odważyłam się powiedzieć, wpatrując się z podziwem w jej gęste włosy w kolorze dojrzałych kłosów zboża.

Merel aż pokraśniała i od razu spojrzała na mnie życzliwiej.

Po chwili weszłam do ogromnego holu, na którego środku pyszniły się szerokie schody. Na ścianach wisiało jeszcze więcej obrazów niż u pani Vermeulen w Alkmaar, ale mój zachwyt przyciągnęły od razu błękitne wazy stojące na stolikach.

– Piękne, prawda? – szepnęła z dumą Merel. – Pochodzą z naszej manufaktury.

– Są wyjątkowe – potwierdziłam szybko i wepchnęłam dyskretnie do kieszeni główki kwiatków, które zerwałam przy kanale w drodze na Oosteinde.

– Nigdy nie wolno ci ich dotykać... Lotje. Tak masz na imię, czyż nie? Jesteś tą dziewczką od woźnicy Gijsa?

Spuściłam nisko głowę. Bańka szczęścia pękła w jednej sekundzie. Wszystko się wydało. Mulderowie czekali na kogoś innego. Ja zostałam tutaj wpuszczona przez przypadek.

– Mam na imię Cornelia. Nie znam żadnego Gijsa. Poleciała mnie pani van Keulen, żona pana zegarmistrza – odpowiedziałam na wdechu.

– To dziwne... nic z tego nie rozumiem – zafrasowała się Merel. – Ale to nie czas na rozwiązywanie łamigłówek. Pani czeka! A Lotje niech obejdzie się smakiem! Spóźnialskich nam tu nie potrzeba. Niech no tylko się jeszcze zjawi, to kijem latawicę przepędzę!

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam żonę właściciela manufaktury Błękitny Koliber, poczułam się mała i nieważna jak ziarenko piasku. Marie Mulder była postawna i bardzo wysoka, z siwymi jak skrzydła gołębia włosami, upiętymi na karku w misterny kok. Nie chciała nawet ze mną rozmawiać, ze względu na spóźnienie, ale Merel, którą najwyraźniej życzliwie do siebie usposobiłam komplementami, zarekomendowała mnie sama.

– To inna dziewczyna, nie ta głupia Lotje. Żona zegarmistrza ją polecała, może niech pan jeszcze na nią zerknie? On zna van Keulenów – rzuciła odważnie. – Wygląda lichy, ale już ja ją podszkolę, nie dam bąków zbijać! Potrzebujemy na gwałt pomocy i myślę, że ona się nada. Sama już nie daje rady, tyle tej roboty w kuchni...

– Już dobrze, Merel, nie jojcz – westchnęła pani. – Dobrze, wyślij toto do Brama, tylko za moment, bo muszę z nim najpierw porozmawiać. Niech

poczeka w kuchni. I daj jej coś zjeść, na Boga, bo za chwilę się przewróci. Jak ty możesz tak łągać, że można z tego chuchra coś wycisnąć?!

Kiedy kilkanaście minut później ogrzana i napojona weszłam do pokoju pana Muldera, kolana trzęsły mi się tak bardzo, że obawiałam się, iż pan usłyszy ich klekotanie. O dziwo, nie pytał mnie, czy potrafię dobrze sprzątać i prać, tylko kazał mi wymieniać kolory kwiatów i barwę nieba nad Delftem. Zdradziły mnie ostróżki, wychylające swoje płatki z kieszeni mojego odzienia, i to właśnie dzięki nim dostałam tę posadę. Gdybym ich nie narwała, ponownie wylądowałabym na ulicy.

Pokój, który mi przydzielono, był prawie dwa razy większy niż komórka w domu państwa Vermeulenów, którą dzieliłam ze Zwaantje. Miał bielone ściany i znajdowały się w nim dwa metalowe łóżka. Moje posłanie, z grubym siennikiem i obleczoną w płótno poduszką, stało z prawej strony, tuż przy wąskim oknie wychodzącym na ogród na tyłach domu. Wsunęłam szybko pod materac swój tobołek i stawiałam się w kuchni, czekając na dalsze instrukcje. Byłam ogromnie ciekawa, kim jest moja współlokatorka, ale nie miałam odwagi zapytać o to Merel. Później się okazało, że będę spać z pomocnicą kucharki, małą i mrukliwą Aagje, która chrapała tak mocno, że co noc musiałam zatykać pięściami uszy.

W domu oprócz mnie, Merel i Aagje pracował jeszcze z tuzin służby – dwie kucharki, trzy pomywaczki, kilka pokojówek, stangreci, kamerdyner pana i garderobiana. Merel stała najwyżej w tej hierarchii, sama nazywała siebie ochmistrzą, ale pani nigdy nie potwierdziła oficjalnie tej funkcji. Mawiała o Merel „panna wyprawna”, którą miała odziedziczyć w wianie jedyna córka państwa Mulderów – Christina Susanne. Jej młodszy o kilka lat brat, Jacob Wilhelm, podróżował po kraju i rzadko bywał w rodzinnym domu. Kiedy wracał do Delftu, wśród służby panowała nerwowa atmosfera, gdyż panicz przyzwyczajony był do zbytków i wymagającej francuskiej kuchni. Kucharka najbardziej lubiła przyrządzać mięsiwo z warzywami, ale Jacobowi nie w smak były lokalne dania, dlatego klęła siarczyście pod nosem, zawsze kiedy się zjawiał i stroił fochy.

Moja posługa w domu państwa nie różniła się niczym od pracy w Alkmaar. Codziennie rano zamiatałam wszystkie pokoje, myłam wodą z mydłem podłogi, wycierałam i froterowałam parkiety, przynosiłam węgiel

i paliłam w piecach. Nierzadko przygotowywałam wieczorami podgrzewacze pościeli dla państwa, gdyż noce nad kanałem bywały niezwykle zimne. Praniem zajmowała się Merel, ale często prosiła mnie o pomoc w dźwiganiu ciężkich cynowych misek. Pana Muldera nie widywałam praktycznie nigdy. Jego żona siedziała przez większą część dnia w salonie z wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę i czytała jakieś grube tomiszczą. Panienci Christiny moje oczy nie oglądały ani razu, aż do tego dnia, kiedy rozpętała się ta straszliwa awantura...

Froterowałam właśnie podłogę w holu, gdy nagle drzwi wejściowe się otworzyły i w sieni rozległ się głośny śmiech. Po chwili do środka weszła ubrana w podbity sobolem szkarłatny płaszcz młoda panienska Mulder. Jej zabłocone trzewiki zostawiały mokre, brudne ślady na posadzce, którą właśnie umyłam.

– Postaraj się bardziej! – krzyknęła, przydeptując chrzęszczące pod podeszwami grudy. – Nie pracujesz starannie, jak zapewne przykazała ci moja matka!

Rzuciłam się błyskawicznie w jej kierunku, chcąc wytrzeć brud spod jej trzewików, ale nagle w holu rozległ się surowy głos pana.

– Zostaw to, Cornelio! – polecił lodowatym tonem. – A ty, moja panno, natychmiast idź do swojej pracowni – zwrócił się do córki. – Przez następne dni nie ruszysz się z niej ani na krok, rozumiano? Mało masz pracy?

– Niczego mi papa nie może zabronić! Jestem dorosła i będę robić to, co uważam za stosowne! – Mulderówna tupnęła z pasją.

– Nie pod moim dachem i za moje pieniądze! Zrozumiałaś? I ostatni raz zwracasz się do mnie tym tonem! – ryknął, podszedł do córki i z całej siły uderzył ją w twarz.

Skuliłam się na podłodze, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. Christina złapała się za zaczerwieniony policzek.

– Nienawidzę cię, słyszysz? Nienawidzę! – wysyczała i wybiegła z holu, głośno stukając obcasami.

Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwiami, które zabrzmiało jak huk armaty. Pan Mulder spojrział na mnie zdziwiony, jakby właśnie teraz przypomniał sobie o mojej obecności. Najchętniej wtopiłabym się w drewno podłogi, tak jak pokrywający ją olej.

– Idź do kuchni – powiedział głucho. – I przyślij do mnie Pietera, ale żywo!

Zbiegłam posłusznie na dół. Pieter, kamerdyner pana, słysząc jego polecenie, wstał bez słowa i przejechał dłonią po napomadowanych starannie włosach.

– Co znowu za afera? – mruknęła pocziwa gruba kucharka Mulderów, Anneke. Opasana wielkim białym fartuchem stała przy piecu służącym do wypieku chleba. – Nie ma tygodnia, żeby panienska Christina jakiejś biedy rodzinie nie napytała. Malować powinna, a nie po szynkach latać i reputację państwu psuć. Koliber na cały kraj znany, a tu taka poruta!

– To panienska Christina maluje? – zapytałam, otwierając szeroko oczy i sadowiąc się za szerokim, wyszorowanym do białości stołem.

Anneke podeszła i postawiła przede mną parujący talerz z kartoflanką. Z lubością zanurzyłam łyżkę w zupie i zaczęłam łapczywie przelykać parzące w język ziemniaki, tak jakby mnie kto gonił. Zawsze byłam głodna i nie odmawiałam poczęstunku, nawet jeżeli przed chwilą wciągnęłam dwie ogromne pajdy chleba. Dlatego Anneke nigdy nie pytała, po prostu dawała mi jeść.

– A bo to Cornelia nie wie? Panienska bez przydziału szwendała się po mieście, to się państwo naradzili i nakazali jej w Kolibrze porcelanę malować. Dryg do pędzla ma, ale co by mieć nie miała, w końcu oni wszyscy to artyści. Do fabryki chodzić nie musi, wszystko ma w swojej pracowni na piętrze. Obrazki też jakieś tam produkuje, ale chyba porcelana wychodzi jej lepiej niż pejzażyki. Zresztą co to za sztuka, kwiatki to i ja namalować umiem – mruknęła pod nosem i machinalnie przetarła stojący przy stole zydel.

W mojej głowie przesunęły się obrazy z przeszłości. Zobaczyłam swoje własne szkice pani Vermeulen i płótno naciągnięte na blejtram, na którym nie zdążyłam już niczego namalować. Ogarnęła mnie taka tęsknota za zapachem farby i dotykiem miękkiego włosa pędzla na palcach, że z trudem powstrzymałam się od płaczu.

– Na śmierć zapomniałam odebrać ozorków od rzeźnika! – wykrzyknęła nagle Anneke. – Skocz ty, Cornelio, do hali rzeźniczej i przynieś moje zamówienie, ale już!

Nasrożyłam się momentalnie. Unikałam jak ognia wypraw do miasta, a tutaj nagle miałam się udać prosto do paszczy lwa? *Nooit!* Nigdy!

– Niech kto inny pójdzie, pani gospodyni kochana, ja muszę jeszcze... wyłąć do kanału mydliny po praniu. – Przymilałam się jak kociak.

– Łżesz, aż ci się ze łba kurzy! Wszystkie mydliny już wylane! – huknęła Anneke. – Masz tu kilka florenów i marsz po ozorki. I nie pyskuj mi więcej, bo ci repety żadnej już nie dam, choćbyś i na kolanach prosiła. Niewdzięczne dziewczusko, fochy niczym jaka można panna będzie mi tu stroić!

Nałożyłam szybko czepek na zaplecione w dwa warkocze włosy i pobiegłam do miasta. Wolałam żyć w zgodzie z Anneke, poza tym chyba nie było się czego bać, a przynajmniej tak się pocieszałam. Mulderowie korzystali z usług rzeźnika, którego stoisko mieściło się w zupełnie innym miejscu niż stragan ojca Jespera.

Jesper... Nie odezwałam się do niego ani razu po przyjeździe do Delftu. Nie chciałam wracać do życia i wspomnień, które umarły bezpowrotnie wraz z odejściem mojej rodziny. Pogrzebałam tamtą Cornelię i musiałam pogrzebać również Jespera. Ostatnio myślałam o nim coraz rzadziej. Nowe obowiązki i nowy dom skutecznie zacierały w mojej głowie kontur jego twarzy. Tak było dla mnie lepiej. Choć chyba oszukiwałam samą siebie, bo na sam widok znajomych ścieżek, które razem przemierzaliśmy, serce waliło mi jak młotem.

Kiedy stanęłam zasapana z koszem w dłoni przed wejściem do hali, poczułam odrażający odór. Tuż obok znajdowały się stoiska z rybami. Krążące nad głową mewy łapczywie polowały na odpadki, które sprzedawcy wrzucali do kanału. Zjedzona przed chwilą w pośpiechu zupa podjechała mi do gardła.

– Cornelia? Cornelia Smid? A co ty tu robisz? – rozległ się nagle niesłyszany dawno, tak drogi mi głos.

Jesper! Boże, dlaczego musiałam go tutaj spotkać?

– Jesteś taka blada... Coś się stało? – Podszedł do mnie blisko i wyciągnął w moim kierunku rękę.

Z trudem spojrzałam na jego twarz. Nic się nie zmienił. Jego płomiennorude włosy lśniły w słońcu rdzawymi refleksami, a pokryta

piegami skóra jak zwykle łuszczyła mu się na nosie.

– Kochana moja... – szepnął i otoczył mnie ramionami. – Jak to się stało, że wróciłaś?! Dlaczego nic o tym nie wiem? Od kiedy jesteś w Delfcie?

Poczułam nagłą złość, zalewającą mnie od stóp do głów. „Co za prostak?! Wypytuje mnie jak przekupka na targu, jakby nie wiedział, jaka ogromna tragedia mnie spotkała! Przecież Delft jest małe, na pewno słyszał, co się stało!” – irytowałam się. Odepchnęłam go nagle z całej siły, tak aż zatoczył się prosto na jakąś jejmość niosącą jaja w koszyku. Zdzieliła go po plecach, wyklinając na czym świat stoi, ale on nawet nie uchylał się od jej ciosów, cały czas szukając wzrokiem moich oczu.

– Cornelio...

– Odejdź! Proszę... – zakwiliłam. – Ja już nie chcę... nie mogę się z tobą widywać!

– Dlaczego? Twoja matka i ojciec nadal są temu przeciwni? Może powinienem z nimi porozmawiać?

– Przecież ich już nie ma! Oni nie żyją, rozumiesz?! I bliźniaki też... Ta zaraza w mieście... Nie mów, że niczego nie słyszałeś... – Rozpłakałam się rzewnie.

Nagle zakręciło mi się w głowie tak mocno, że o mało nie upadłam. Jesper ponownie zamknął mnie w swoich ramionach.

– Nie miałem pojęcia, że twoi rodzice nie żyją, ukochana. Tak mi przykro... to ogromna tragedia i zrobię wszystko, żeby ci ulżyć w cierpieniu. Ojciec trzymał mnie praktycznie cały czas na uwięzi, chociaż w mieście zagrożenie było mniejsze. Pod Wagą Miejską wisiały listy tych, którym udało się wydostać z osady. Znalazłem tam nazwisko Smid. Ja naprawdę myślałem, że udało im się uciec. Byłem tam nawet parę razy...

– Gdzie?

– W pobliżu twojego domu. Nie udało mi się do niego przedostać, strażnicy miejscy stali na drogach prowadzących z miasta i nikogo nie przepuszczali. Nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że cię widzę! Nie obchodzi mnie, co powie ojciec. Nie pozwolę ci ponownie odejść, Cornelio!

Wszystkie moje wcześniejsze postanowienia, w których przyrzekłam sobie, że już nigdy nie spotkam się z Jesperem, nagle przestały mieć

znaczenie. Popełniłam błąd, sądząc, że zrywając wszelkie kontakty z nim i zapominając o przeszłości, będzie mi lżej. Potrzebowałam właśnie jego, żeby te żywe ciągle rany szybciej się zagoiły. Zwaantje nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Jediną osobą na tym świecie, która mnie jeszcze kochała, był Jesper.

– Mam ci tyle do powiedzenia... kochany! Tak bardzo za tobą tęskniłam!

– Wszystko mi opowiesz – szepnął w moje włosy. – Możesz przyjść za dwa dni w nasze miejsce przy kanale?

– Nie wiem, czy uda mi się wyrwać. Pracuję w domu państwa Mulderów. Zrobię, co będę mogła.

– Będę na ciebie czekał. To prawdziwy cud, że znowu tutaj jesteś...

Już nie pamiętałam, jak dotarłam z ozorkami dla Anneke na Oosteinde. Fruwałam kilka centymetrów nad ziemią, podśpiewując pod nosem ludowe piosenki i uśmiechając się szeroko jak nigdy przedtem. Zdumiona Merel popatrywała na mnie spod oka.

– Co się stało? Jesteś dzisiaj taka... radosna. Dostałaś pochwałę od pani?

– Nie, nawet jej dzisiaj nie widziałam. Merel... – Zawahałam się, oglądając za siebie. – Potrafisz utrzymać tajemnicę? – Musiałam się z nią podzielić dobrą nowiną, inaczej bym pękła.

– Mów! U mnie jak w studni. Nie miele językiem po próżnicy, jak te pomocnice Anneke, które cały dzień by tylko pytlowały jak w maglu! Za kogo mnie masz?

– Spotkałam swojego chłopca w mieście. Jest synem rzeźnika Kostera. Cały czas na mnie czekał!

– Tylko nie mów nikomu innemu, że spotykasz się z mężczyzną. Jak pani się o tym dowie, wyrzuci cię na zbity pysk. – Zmarszczyła czoło. – Przed ślubem to się nie godzi! Jak panienka zaczęła się spotykać z jakimś kawalerem z miasta, to tylko kłopoty z tego były. Zamknęli ją w domu na kilka miesięcy i laudanum karmili. Może dlatego ona taka... dziwna. Ale nie powinnam ci o tym mówić, to ci się do niczego nie przyda. A teraz migiem kolację zanieś panience, bo niedomaga! Pani kazała tłustego rosołu nagotować. Poproś, żeby Anneke wlała go do kubka.

– Dlaczego ja? – przeraziłam się. – Przecież nigdy jeszcze nie usługiwałam panience Christinie. Ty to zawsze robiłaś...

– Zapytaj pana Muldera, nie mnie. On tak nakazał. – Merel wzruszyła ramionami. – Nawet mi to na rękę, bo młoda pani nabzdyczona ciągle i złym wzrokiem spoziera tak, że aż człowiekowi zimno się robi na duszy. Brrr! Nie lubię chodzić do tej jej pracowni. Ale ty raz-raz, zawijaj spódnice i biegnij, póki rosół jeszcze gorący!

Byłam w tak dobrym humorze, że nawet to polecenie nie mogło mi go zepsuć. Anneke przygotowała już dla panienki parujący kubek pełen aromatycznego bulionu z kapłona. Poprawiłam włosy, zawiązałam staranniej fartuszek i ze srebrną tacą w dłoniach wdrapałam się na górę. Przy wejściu do pracowni panienki zatrzymałam się na chwilę, wzięłam głęboki oddech i zapukałam mocno we framugę. Odpowiedziała mi cisza. Kiedy po kilku minutach nadal nikt się nie odzywał, zapukałam znowu i, już nie czekając na pozwolenie, śmiało uchyliłam drzwi.

Pokój zalany był ciepłym światłem wpadającym do środka przez witrażowe okna. Wszędzie unosił się zapach farb i oleju lnianego. Na środku stały dwie sztalugi, otoczone stołami pełnymi miseczek z farbami, pędzlami i przecieraczkami. Na półkach przy ścianach lśniły bielą wazy i filizanki. Tuż obok ustawiono czyste płótna. Na przeciwległym krańcu pokoju widniał kominek z trzaskającym wesoło ogniem. Na fotelu przy nim siedziała przykryta pledem panienka Christina.

– Po coś tu przyszła? Ojciec nakazał ci mnie szpiegować? – zapytała cichym, jakby przytłumionym głosem.

– Przyniosłam panience bulion na wzmocnienie.

Postawiłam kubek na stole i zbliżyłam się do sztalug. Na obrazie widniała panorama Delftu. Różnokolorowe domy okalał ceglany mur i cienka wstążka kanału. Skrzywiłam się mimowolnie.

– Maluję sobie czasem – odezwał się głos za moimi plecami. Panienka Christina stała za mną jak duch, odziana w jedwabną koszulę do kostek. –

Ojciec każe mi zdobić porcelanę, ale ja wolę tworzyć w oleju. Dlaczego masz taką minę? Nie podoba ci się mój obraz?

– Coś jest tutaj nie tak ze światłem – powiedziałam zamyślona. – Ja bym to zrobiła zupełnie inaczej. Ten niebieski jest na brzegach o wiele za ciemny, niebo nie ma takiej barwy, powinna panienka użyć jaśniejszego

odcienia albo w ogóle nie zamalowywać pewnych miejsc. Gdyby panienka wytarła ten nadmiar farby, obraz można byłoby jeszcze uratować.

Zamilkłam nagle, przerażona własną śmiałością. Christina przypatrywała mi się zdumiona.

– Kim ty jesteś? – zapytała.

– Mam na imię Cornelia...

– Wiem to! – przerwała mi rozgniewana. – Ale skąd u ciebie taka znajomość barw, ich odcieni i światła? Uczył cię ktoś?

– Nie, panienko... – Opuściłam głowę. – Ja sama... Od małości potrafię... dotykać kolorów. I czuję je wszystkimi zmysłami.

Sądziłam, że mnie zrugła, bo przez dłuższą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy przypatrywała mi się w milczeniu. Kiedy w końcu się odezwała, nie byłam pewna, czy los właśnie się do mnie uśmiechnął, czy kolejny raz sobie ze mnie zakpił.

– Od dziś będziesz mi pomagać, zrozumiałaś? Tylko nie waz się nikomu o tym mówić!

Rozdział XXI

Bogna

Delft, 2020

– Jan z Belgii? A przedstawił się z nazwiska? Skąd wiesz, że to nie jakiś świr?

Siedzieliśmy we trójkę („święta delftyjska trójca”, jak mawiał dziadek, kiedy opowiadałam mu o swoich nowych przyjaciółach) pod markizą w ulubionej kawiarni Pod Czerwoną Wiewiórką. Ingmar, na szczęście nie w garniturze, a w normalnej koszulce i dżinsach, zamówił już ciemne piwo D’oost Porter z lokalnego browaru, to samo, które piłam na początku mojej przygody w tym mieście.

– Zapewniam cię, wariatów czyhających na moją cnotę lub próbujących się podszywać pod znawców porcelany już dawno wyeliminowałam. Ten Jan to dobry trop, uwierzcie mojemu czułemu nosowi i intuicji! – zapewniłam z mocą.

– Oczywiście, że ci wierzymy, tylko trochę się o ciebie martwimy – westchnęła Nienke. – A co nam chciałaś pokazać? Przez telefon wspominałaś o jakiejś bombie.

– Jesteś jeszcze gorsza niż ja. – Roześmiałam się. – Od razu byś chciała wszystko wiedzieć.

Z dumą wyciągnęłam ze sztruksowej listonoszki zniszczony kajet w skórzanej oprawie. Jak nazywał ten kolor Jan? Terra! Łacińska nazwa ziemi. Ciemny, podbarwiony złotem brąz.

– Spójrzcie na ten rysunek... – powiedziałam uroczyście i położyłam zeszyt na środku stolika.

Moi przyjaciele nachylili się równocześnie nad stronicami, o mało nie zderzając się głowami. Ingmar gwizdnął cicho przez zęby.

– To koliber. Symbol manufaktury Mulderów. Niezwykle udany szkic! Powiedziałbym wręcz, że mistrzowski! Kto jest autorem?

– Nie mam pojęcia. Nigdzie nie mogę odszukać inicjałów właściciela tego kajetu. Znalazłam go na strychu nad kawalerką.

– Może Jacob będzie to wiedział?

– Sęk w tym, że jeszcze mu nie powiedziałam, że bez pozwolenia szperałam w rodzinnych pamiątkach. Może się wściec...

– Chyba nie masz wyjścia. – Ingmar delikatnie dotknął poszarpanego grzbietu zeszytu. – Tego typu notatniki produkowane były w Amsterdamie w połowie dziewiętnastego wieku. Poznają to po sposobie wyprawienia skóry. Nie należały do tanich, więc na pewno zakupił je ktoś majątny. Mulderowie zaliczali się swego czasu do najbogatszych mieszkańców Delftu, więc ten kajet na pewno był w posiadaniu kogoś z ich rodziny. A ty, Nienke, czemu nic nie mówisz? – Szturchnął kuzynkę w bok. – Zapomniałaś języka w gębie?

Dziewczyna siedziała ze zmarszczonymi brwiami, wpatrując się uważnie w szkic ptaka.

– Ja go już gdzieś widziałam... – mruknęła. – I to całkiem niedawno.

– Chyba nie na łące za swoim domem?! – parsknął Ingmar. – Kolibry żyją w Amerykach. Zejdź na ziemię, królewno!

– Nie denerwuj mnie! – Nienke przewróciła oczami. – Mówię o tym rysunku! Jest bardzo specyficzny, ale nie potrafię określić, co jest w nim innego... – Rozmyślała intensywnie. – Cholera, czemu moja głowa jest taka dziurawa?! Nie mogę sobie przypomnieć, skąd ja znam ten szkic!

– Może pij mniej prosecco ze swoim chłopakiem, to będziesz bardziej lotna – wytknął jej złośliwie Ingmar. – Wczoraj widziałem was na rynku, w bardzo rozrywkowych nastrojach! Jeżeli Adam van Keulen chce być zegarmistrzem, musi bardziej uważać. To koronkowa robota i wymaga wielkiej precyzji, której zbyt długie nocne imprezowanie zdecydowanie nie służy...

Nienke spojrzała na niego jak na zjawę i nagle zerwała się z krzesła! Jakby ją raził piorun!

– Nie czekajcie na mnie! Muszę coś sprawdzić! – I już jej nie było.

– Czasem powinienes ugryźć się w język. Po co jej dokuczasz? Chyba naprawdę lubi tego Adama – powiedziałam i dopiłam piwo.

– Nigdy się tak nie zachowywała... – Zafrasował się. – Może rzeczywiście... trochę przesadziłem, ale czy wy, kobiety, zawsze musicie robić z drobnych żartów taką dramę? Te nasze docinki to rodzinna

tradycja... A ty dokąd? Ciebie też uraziłem? Co was dzisiaj ugryzło? Niskie ciśnienie czy TE dni?!

Położyłam na stole kilka monet i chwyciłam przewieszoną przez oparcie krzesła torebkę.

– Mnie nie tak łatwo urazić, Ingmarku. Po prostu umówiłam się z kimś niedaleko. Potem zdam ci szczegółową relację! *Dag*¹⁴!

¹⁴ hol. cześć

Klimatyczny hotel Vermeer mieścił się w starej fabryce tabaki Swarttouw¹⁵ nad brzegiem kanału Delftsche Gracht. Właśnie to miejsce wybrał Emmanuel Mulder na spotkanie w sprawie zdjęcia, które mi obiecał pokazać. Nie rozumiałam, dlaczego nie możemy porozmawiać w cztery oczy w galerii Błękitny Koliber, ale najwidoczniej familia Mulderów kochała utrudnienia. A raczej dziwne knowania, których nie rozumiałam.

¹⁵ hol. dosł. czarny sznurek

Otworzyłam skrzypiące drzwi i weszłam do znajdującej się na parterze *brasserie* ‘t Straatje van Vermeer¹⁶. Otoczył mnie kawiarniany hałas i zniewalający aromat świeżo mielonych ziaren kawy. Rozejrzałam się niepewnie dookoła. Emmanuel Mulder siedział w głębi lokalu, przy ceglanej ścianie z gigantyczną reprodukcją *Dziewczyny z perłą*. Oczywiście, musiał wybrać najbardziej spektakularne miejsce, tacy ludzie jak on nigdy nie ukrywają się w kątach.

¹⁶ hol. restauracja Uliczka Vermeera

Na mój widok uśmiechnął się krzywo i uniósł na moment z krzesła.

– Jesteś punktualna – powiedział zamiast powitania. – To rzadka, ale bardzo pożądana w moim środowisku cecha.

– Dlaczego miałabym nie być? – Uniosłam zdziwiona brwi. – Przyniósł pan tę fotografię?

– Najpierw usiądź. To nie dworzec kolejowy i pośpiech nie jest wskazany. Może się czegoś napijesz? Mają tu świetną brazylijską kawę.

– Panie Mulder, nie przyszedłam tu na towarzyskie pogaduszki. A kawy napiję się w domu. Holenderska też jest niezgorsza. Przejdźmy do rzeczy.

Emmanuel zaczął się śmiać.

– Teraz w końcu rozumiem, dlaczego mój stryj cię zatrudnił. Masz niewyparzony język i jesteś złośliwa. Ale to akurat...

– Pożądana w pana środowisku cecha?

– Szybko się uczysz! No dobrze... – Sięgnął do leżącej na krześle obok teczki i wyjął z niej plastikowy skoroszyt. Poczułam przepływający wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Wyciągnęłam rękę. – Zaraz, najpierw potwierdzenie naszej umowy – ostudził mój zapal Mulder. – Pokażę to zdjęcie, ale za kilka dni nie chcę cię tu widzieć. Galeria Błękitny Koliber to dla ciebie *terra prohibita*. Dla stryja Jacoba wymyślasz na poczekaniu jakąś bajeczkę o kłopotach rodzinnych i zawijasz się do Polski. *Deal?*

Mruknęłam coś pod nosem i prawie wyrwałam mu skoroszyt z ręki. Znajdująca się w nim fotografia faktycznie była doskonałej jakości. Przynajmniej w tej kwestii nie kłamał. Ostre jak brzytwa kontury filizanki z namalowanymi kobaltem kwiatowymi wzorami. Jasnoblękitny kolor na idealnie białym tle. Dodatkowa warstwa szkliva błyszczała tak, że kwiaty na jej powierzchni wyglądały jak żywe. Delikatne pociągnięcia pędzla, dopracowane co do milimetra kontury. Przybliżyłam fotografię do oczu. Wśród idealnie równych listków dostrzegłam w końcu miniaturową sylwetkę kolibra. Serce zabiło mi mocno, aż się bałam, że za chwilę wyskoczy mi z piersi. Ptaszek wyglądał tak samo, jak na szkicu w kajecie ukrytym w mojej torbie! Pogładziłam lekko opuszką palca jego miniaturowy łebek.

– Pokazał mi pan tę fotografię, bo filizanki już dawno nie ma, prawda? Sprzedał ją pan w Londynie?

Mulder zniecierpliwiał się nagle i wyszarpnął zdjęcie z moich rąk.

– Skąd te informacje, pani dociekliwa?

– Po prostu umiem dedukować. I mam swoje sprawdzone źródła informacji. „Koliberek” nie jest już w rękach rodziny Mulderów, czyż nie?

– Już się nagadałaś? To będę się zbierał. I pamiętaj o naszej umowie. Żeby ci nawet nie przeszło przez myśl złamać jej warunki!

Emmanuel wstał raptownie, odsuwając z łoskotem krzesło. Ja zostałam na miejscu, wpatrując się gdzieś w przestrzeń ponad jego głową.

– Kawę wypilem na twój koszt, to w ramach bonusu – rzucił i poprawiając tweedową marynarkę, udał się do wyjścia.

Kiedy zniknął mi z oczu, nagle odzyskałam werwę. Błyskawicznie wyciągnęłam z torby skórzany kajet i, gorączkowo przerzucając stronicę, w końcu odnalazłam tę ze szkicem kolibra. Wszystko wskazywało na to, że właścicielką kajetu była malarka rodzinnej porcelany, Christina Mulder. W tej historii nie zgadzał się tylko jeden mały szczegół...

– I jak tam, moja współpracownico? – zagaił Jacob Mulder, kiedy rozpakowywałam przedostatnią skrzynię z „błękitnym złotem”. – Rozmawiałaś już z moim bratankiem? Zgodził się pokazać ci „koliberka”? Przyznam szczerze, chociaż nie uzgadniałem tego z tobą, że i ja prosiłem go o tę przysługę. Odburknął mi tylko coś niecierpliwie w odpowiedzi i odłożył słuchawkę.

Czułam się podle, ukrywając przed nim spotkanie z Emmanuelem, ale nawet jeżeli chodziło o słowo dane takiemu podłemu typowi, musiałam go dotrzymać.

– Ja też zrobiłam coś, czego z tobą wcześniej nie uzgodniłam, Jacobie – przyznałam po kilku sekundach milczenia. – Weszłam na stryszek nad kawalerką... Jeżeli uznasz to za wścibstwo i niesubordynację, to będziesz miał absolutną rację. Na moje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że miałam jak najlepsze intencje.

Jacob westchnął i poprawił zsuwające się na środek nosa okulary.

– I tak długo wytrzymałaś! Byłem przekonany, że pociągniesz za sznurek już pierwszego wieczoru, Bogno. Karcilem cię za tę twoją ciekawość, ale przyznam szczerze, że gdybyś nie miała tej cechy, nie byłabyś aż tak skuteczna. I cóż takiego tam znalazłaś? Bo jeżeli nos starego człowieka się nie myli, to na pewno chcesz mnie o coś zapytać.

Kamień spadł mi z serca.

– Twój nos działa lepiej niż u niejednego młodzieńca. – Roześmiałam się i sięgnęłam za pazuchę. – Czy wiesz może, do kogo należał ten zeszyt?

Mulder chwycił podany przeze mnie brązowy kajet i zmrużył oczy.

– Te rysunki... – mrucał, przewracając wolno kartki, aż w końcu dotarł do szkicu kolibra. – To zeszyt Christiny Mulder, mojej prababki. Jestem tego pewien – powiedział stanowczo. – Już ci wspominałem, że pod koniec dziewiętnastego wieku ojciec wciągnął ją do rodzinnego biznesu. Inaczej

popadłaby w tak zwane złe towarzystwo. Lubiła się bawić, ale panience z dobrego rodu nie wypadało się szwendać po lokalnych szynkach i zachowywać jak dziewczka z ludu. Porcelana ją utemperowała, dodała ogłady i delikatności. I to właśnie ona wymyśliła kolibra. Ten szkic to jej dzieło.

– I na pewno tylko ona malowała tego ptaszka na filiżankach? Nie było żadnego innego malarza?

– Co masz na myśli, Bogno? – Spojrzał na mnie zaintrygowany. – Nikt inny nie dorównywał jej kunsztem i biegłością w operowaniu pędzlem. Czy ty coś sugerujesz?

– Nic, nic, tak tylko głośno myślę – odpowiedziałam szybko. – A te obrazy stojące na strychu? Jeden przedstawia panoramę Delftu. To też jej dzieła, prawda?

– Tak. To niezwykle udane pejzaże, nie uważasz? – Ożywił się.

Mruknęłam coś w odpowiedzi i odwróciłam się w drugą stronę, żeby Mulder nie mógł dostrzec rumieńca na mojej twarzy. Niezwykle uzdolniona plastycznie prababka nie mogła stworzyć tak złego obrazu. Albo na odwrót... to nie ona malowała na porcelanie! Musiał to robić ktoś inny! Czułam, że to dobry trop i jestem coraz bliżej rozwiązania tej zagadki.

Wieczorem, kiedy już leżałam w łóżku z wielkim albumem porcelany z Delftu na kolanach, nagle usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości. Drgnęłam, prawie zrzucając miniaturową lampkę z nocnego stolika.

Jan: *Postanowiłem ci pomóc, Blue Girl. A może pomóc samemu sobie? Podgrzej pierwszą stronę zeszytu. Tylko go nie spal!*

Kompletnie oszalałam! Rzuciłam ze złością smartfonem o kołdrę. „Jak to PODGRZEJ? Żelazkiem? A może płomieniem świecy? Albo powinnam położyć go raczej na kaloryferze? Tylko go nie spal!” – ironizowałam w duchu. Jak ja mogłam się tak pomylić? A już mi się wydawało, że ten cały Jan mi pomoże.

Zgasiałam światło i przytuliłam głowę do poduszki. Zegar na kościelnej wieży wybił godzinę dwunastą, a ja ciągle nie mogłam zasnąć, przewracając się z boku na bok. Polecenie tajemniczego Jana nie dawało mi

spokoju. A co, jeśli...? W końcu wyskoczyłam z pościeli, chwyciłam kajet i telefon i pognałam boso do kuchni.

– Jesteś kompletną wariatką, Zasławska – mruknęłam i wyciągnęłam z szafki żelazko.

Nastawiłam je na najniższą temperaturę, po czym rozłożyłam na blacie kuchennym otwarty na pierwszej stronie zeszyt i przykryłam kartkę cienką bawełnianą ściereczką. Delikatnie, metodycznie przesuwając stopą żelazka po stronicy, tak żeby jej nie uszkodzić. Po kilku minutach zerknęłam pod ściereczkę i jęknęłam z zawodem. Chropowata powierzchnia papieru była znacznie wygładzona, ale poza tym nie dostrzegłam niczego innego. „Może powinnam nieco zwiększyć temperaturę?” – pomyślałam i przesunęłam pokrętko. W tym momencie moja komórka zadzwiała.

– O, pan Belg jest ciekawy, jak się skończył jego eksperyment! – warknęłam.

Na wyświetlaczu telefonu widniała jednak wiadomość od Nienke:

Bogna! Nie uwierzysz! Znalazłam kolibra! Tę filiżankę mają rodzice mojego przyjaciela Adama, wiesz, tego od zegarów. Jest w ich domu już od ponad stu lat! Nazywają się van Keulen!

Mało brakowało, a przypaliłabym palce żelazkiem. Syknęłam i odstawiłam je na blat.

W rogu kartki pojawiły się starannie wykaligrafowane litery. Układały się w pochylony napis:

*Cornelia Smid
Delft, Anno Domini 1881*

Rozdział XXII

Cornelia

Delft, 1883

Codziennie przed rozpoczęciem pracy, kiedy nad Delftem zalegała jeszcze mlecznobiała gęsta mgła, przypatrywałam się barkom przepływającym leniwie przez kanał przy kamienicy państwa Mulderów. Łodzie wypełnione były wszelakimi towarami – kapustą, kartoflami, drewnem, kwiatami lub kwiczącymi prosiakami ze sterczącymi ponad burte różowymi uszami. Lubiłam skoro świt biec na targ, żeby kupić warzywa na cały tydzień, chleb, masło i inne sprawunki, i przy okazji spotkać się z Jesperem, który czekał na mnie zawsze przy wejściu do hali rzeźniczej.

Merel zauważyła jednak szybko, że wracam z tych wypraw coraz później, bo kilka razy zabroniła mi iść samej do miasta, narzekając, że to zdecydowanie za długo trwa.

– Cornelio, myślę, że pora powiedzieć o tobie mojemu ojcu – stwierdził pewnej deszczowej środy Jesper, kiedy w końcu ubłagałam Merel o pozwolenie na przyniesienie świeżego mięsa.

Nie mogłam zostać na hali, bojąc się, że już nigdy więcej mnie tam nie puszczą, jeżeli przyjdę za późno, dlatego mój chłopiec postanowił odprowadzić mnie do domu. Szliśmy wolno, trzymając się ukradkiem za ręce.

– Przecież on się nigdy nie zgodzi na nasz związek. Na pewno marzy, że pojmiesz za żonę Bertę Boers. Jej ojciec, podobnie jak twój, należy do najznamienitszych rzeźników w okolicy. To właśnie u niego Merel kupuje tusze wołowe. Twierdzi, że nie ma lepszych w całym Delfcie.

– Boersowie wcale nie mają dobrego mięsa. – Jesper skrzywił się z niesmakiem. – Dodają do kiełbas zmielone kości i ścięgna. Twoja przyjaciółka gada głupoty.

– To nie jest moja przyjaciółka. Pracujemy razem i muszę się liczyć z jej zdaniem – mruknęłam.

– Szkoda, że z moim się nie licysz.

– Wiesz, że to nieprawda! To co z tą Bertą? – dodałam nieśmiało, patrząc na jego zafrasowaną nagle twarz.

– Nic. Chyba nie sądzisz, że dam ojcu sobą kręcić? Berta jest gruba, kostropata i nie potrafi sklecić nawet jednego zdania. Uśmiecha się głupkowato, szczypiąc się w poliki, żeby były bardziej kraśne, i krojąc tę oszukaną kiełbasę, udaje, że jest ósmym cudem świata. Zanudziłbym się z nią na śmierć. Kocham tylko ciebie, Cornelio. Uwierz w to w końcu!

Stanęliśmy kilka kroków przed wejściem do kamienicy Mulderów.

– Musimy się tutaj zatrzymać. – Pociągnęłam Jesa za rękaw chałata. – Jeszcze ktoś nas przyuważy i będę miała kłopoty. Co tam ukrywasz cały czas za pazuchą?

Jesper zrobił uroczystą minę.

– Czekam na odpowiedni moment, żeby ci to pokazać. Pamiętasz, jak jeszcze przed twoim wyjazdem do Alkmaar mówiłem, że pracuję nad portretem? Zobacz sama... – Wyciągnął spod chałata obraz.

Straciłam na moment dech.

– Jes... to ja... – wyszeptałam. – Namalowałeś mnie... Naprawdę jestem taka piękna?

Na portrecie miałam alabastrową cerę i subtelne rysy twarzy, podkreślone tłem w ciepłych barwach brązu, burgunda i rudości. Opadające na ramiona włosy miały odcień dojrzałego zboża, a marszczona przy dekolcie sukienka z jakiegoś szlachetnego materiału delikatnie opinała moje pełne piersi.

– Chciałabym mieć kiedyś takie piękne odzienie... – westchnęłam.

– Będiesz je miała, ukochana. Już niedługo, obiecuję ci. Jeżeli mój ojciec będzie nieprzejednany, uciekniemy do mojego wuja, do Gent.

– Gdzie leży Gent? Nigdy o nim nie słyszałam.

– W Belgii. Mój wuj prowadzi tam piekarnię. Jest samotny i na pewno zgodzi się nas przyjąć. Jest zupełnie inny niż mój ojciec... z sercem, czujący, wrażliwy!

– Niedługo się znowu spotkamy – szepnęłam. – A teraz naprawdę muszę już iść. Przechowaj dla mnie ten obraz, Jes. Kiedyś zawiśnie na ścianie w naszym domu.

Jesper chwycił mocno moją dłoń i pocałował z czułością pomarszczoną i szorstką od prania skórę.

– Bywaj, ukochana. I postaraj się przyjść jutro. Będę na ciebie czekał tam, gdzie zawsze.

Wieszałam właśnie pranie, strzepując i naciągając porządnie każdą sztukę, gdy nagle okno na piętrze się otworzyło i pojawiła się w nim głowa panienki Christiny.

– Zostaw to, Cornelio, i chodź do mnie szybko – poleciała. – Weź ze sobą wiadro i szmatę, musisz u mnie posprzątać.

Rozejrzałam się bezradnie dookoła i spojrzałam na wypełniony powłóczkami i obrusami kosz.

– Tak jest, panienko, tylko skończę robotę.

– Niech Merel się tym zajmie! Bez dyskusji!

Opuściłam potulnie głowę i powlekłam się do kuchni. Merel siedziała przy stole i łuskała fasolę.

– Muszę iść do panienki, wzywa mnie do siebie... – powiedziałam cicho.

– Najpierw powiesz pranie – odpowiedziała spokojnie Merel, nie przerywając pracy.

– Kazała mi iść teraz... Kosz został na podwórku.

Merel nic już nie odpowiedziała, ale po jej mocno zaciśniętych szczękach rozpoznałam, że była bardzo zła.

Kiedy weszłam do pracowni panienki, wszystkie sztalugi stały uprzątnięte w kącie. Christina siedziała przy stole i z zafrasowaną twarzą malowała stojącą na blacie filiżankę. Tuż obok leżały porozrzucane pędzle oraz szpachla z ostrzem w kształcie rombu i kilka pokrytych błękitem palet. Na bogato rzeźbionym miniaturowym biurku przy oknie dostrzegłam jakieś szablony, książki i odbitki.

– Ogarnij tu – rzuciła, nawet na mnie nie patrząc.

– Może umyję okna? – zaproponowałam niepewnie.

– Oszalałaś?! Mają być brudne! Jeżeli je umyjesz, zmieni się światło! A już mi się zdawało, że jesteś rozsądna. Możesz je tylko ostrożnie przetrzeć. I wytrzyj zasłony, bo kurz osiada mi na szkliwie.

Wzięłam szczotkę, wiadro z wodą i szmatę i zabrałam się za sprzątanie. Zaczęłam od kąta, gdzie znajdowały się sztalugi. Starłam się z całych sił, żeby niczego nie potrącić ani przestawić. Przetarłam szybko okno i przeciągnęłam wilgotną szmatką pokryte sinym nalotem zasłony. Potem migiem wypolerowałam krzesła, zamiotłam i umyłam podłogę,

wyczyściłam ściany i drzwi. Zerkałam ostrożnie na siedzącą przy stole panienkę Christine. Chyba przez ten cały czas, kiedy pracowałam, nie pomalowała ani jednej filiżanki. Bawiła się pędzlem, wydymając pięknie wykrojone usta. W końcu, gdy wyżejłam nad wiadrem brudną szmatę, zaszczyciła mnie swoim spojrzeniem.

– Nienawidzę tego! Nienawidzę porcelany, słyszysz? A teraz chodź tutaj – poleciała. – Chciałabym ci coś pokazać.

Posłusznie podeszłam do stołu. Czułam znajome mrowienie w opuszkach palców. Oddałabym wszystko, żeby móc malować porcelanę, tak jak mogła to robić panienka Mulder.

– Usiądź! Tutaj masz wyszczerbioną filiżankę. Nie nadaje się do sprzedaży, więc możesz na niej ćwiczyć.

– Mam ją pomalować? – Spojrzałam na nią zdumiona. Nadal stałam, nie mając śmiałości zasiąść obok niej.

– No przecież mówię! – odpowiedziała zniecierpliwiona. – Potrzebuję kogoś, kto będzie to robił za mnie. Matka i ojciec nie wierzą, że ja tego nie potrafię. Chcę malować obrazy w oleju, a nie te głupie skorupy. Jestem artystką, a nie wyrobnikiem!

– Nie mogą panienki do tego zmuszać. To nieludzkie...

– Oni mogą wszystko! Chcą, żebym doczekała w tej norze staropanieństwa. Rozumiesz to? – rzuciła i przyjrzała mi się nagle uważnie.

Czując na sobie jej wzrok, zaczerwieniłam się aż po nasadę włosów.

– Jesteś ładna! Te twoje długie rzęsy i krągłe, rumiane policzki... Masz już kawalera?

Potrząsnęłam przecząco głową, ale panienka nie dała się nabrać.

– Przecież widzę, że kłamiesz. Mnie nie musisz szachraić. Taka dziewczyna jak ty na pewno nie może się opędzić od adoratorów. Ale nie mów tego w kuchni, tutaj każda dziewczka o drugą zazdrosna i swojego interesu pilnuje. A moja matka nienawidzi mężczyzn. Mnie zabrania się z nimi spotykać... – Panienka odwróciła oczy.

– A miłuje pani jakiegoś? – odważyłam się zapytać. – Tego jedyne? Tak naprawdę, z serca?

– Powiem ci, jak ty pierwsza odpowiesz na moje pytanie. Masz kogoś? Tym razem potaknęłam.

– Mój chłopiec nazywa się Jesper Koster. Jego familia to rzeźnicy z dziada pradziada. Nie będą chcieli takiej jak ja na swoją synową. Jestem biedna jak mysz kościelna i nie mam żadnego nazwiska.

Panienska intensywnie się we mnie wpatrywała, a potem w jej oczach nieoczekiwanie pojawiła się złość.

– I ty myślisz, głupia, że tylko ciebie taka niesprawiedliwość spotyka? Że jesteś taka wyjątkowa? Ja mam majątek i nazwisko i co z tego? Jest moim przekleństwem, a nie błogosławieństwem!

– Nie rozumiem...

– Znasz porcelanowe familie w Delfcie? Oprócz nas, Mulderów? – fuknęła rozgniewana.

– Są jeszcze Houbenowie i ich Niebieska Filizanka.

– I jak świat światem stary, konkurują ze sobą o klientów. Tym bardziej zaciekle teraz, kiedy delftyjskie fajanse sprzedają się coraz gorzej. A wiesz, jak się nazywa mój ukochany i kim jest?

– Nie wiem, panienko.

– Bastian Houben! Jest jedynym synem i spadkobiercą Filizanki! Jak myślisz, co zrobi mój ojciec, kiedy się dowie, że się z nim spotykam? Nie musisz odpowiadać! Spali mnie na stosie! Razem z nim! A teraz dosyć tych wyznań... No już, bierz się do roboty. I nie patrz tak na to brudne wiadro. Porozmawiam z Merel, żeby zostawiła cię w spokoju. Od dziś w każde popołudnie przychodzisz tutaj, zrozumiałaś?

– Tak, panienko...

– Musisz malować różne zestawienia kwiatów. Ojciec chce najczęściej róże, piwonie lub goździki, splecione ze sobą po kilka sztuk. Muszą wyglądać jak żywe, a jednocześnie zdawać się nierzeczywiste, delikatne i ulotne. Twoim zadaniem będzie tchnąć w nie lekkość.

– Chciałabym najpierw zrobić szkice... – odezwał się nieśmiało, przerażona czekającym mnie zadaniem. A co, jeżeli mu nie podołam?

– To nie będzie konieczne. Mistrz Vermeer też nigdy ich nie robił. Zresztą technika poszła naprzód. Zobacz, tutaj masz arkusze welinowego papieru. Lepszego nie ma na rynku.

– Co robisz z tym papierem, panienko? – Już nie czułam strachu, że Merel da mi burę. Przytłumiło go podekscytowanie. Znowu mogłam malować!

– Kreślisz na nim rysunki, dziurkujesz kontury motywów i kładziesz je jak kalkę na filizance. Potem wcierasz węgiel drzewny, zapamiętaj to dobrze, w dziurkowania, tak że na naczyniu pojawia się pożądaný wzór. Teraz wystarczy, że pociągniesz go farbą. Dzięki tym rysunkom mogę pracować szybciej, ale nie lubię się z tym cackać. Tobie taka dłubanina dobrze zrobi, a ja będę mogła malować swoje pejzaże. – Panienska Christina przyciągnęła mnie siłą do siebie. – Siądziesz w końcu? Albo podzielę cię po karku. Patrz! Na palecie rozcieńczasz barwniki, tu, w tej miseczce, zwilżasz i myjesz pędzle. Są z sobola, miękkie i delikatne. Chyba że wolisz sztywniejsze, to masz je po drugiej stronie stołu. Te szare. Rozumiesz? Zostawię cię teraz samą. Tylko nie rób niczego poza tym, co ci przykazałam. Ojciec się boi, że zejdziesz na złą drogę, ale porcelana ma mnie nawrócić. Ja po prostu chcę żyć, możesz to pojąć, dziewczyno? Pragnę żyć!

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego panienska Christina uciekała od swojego przeznaczenia. Ja nie potrafiłam sobie wyobrazić, że gdzie indziej, poza tym stołem pełnym błękitu i pędzli, może być jeszcze jakiś szczęśliwszy świat. I ja, biedna Cornelia Smid z osady, sierota bez dachu nad głową i przyszłości, mogłam do woli z niego korzystać! Jedyne, co nas łączyło z panienką, to miłość, którą obie musiałyśmy ukrywać. I to nas do siebie zbliżyło...

Od tego dnia prawie codziennie zaszywałam się w pokoju Christiny. Pracowałam ciężiej niż kiedykolwiek. Do południa dwa razy szybciej niż dotąd musiałam się uporać ze wszystkimi obowiązkami. Merel patrzyła na mnie z coraz większą niechęcią, ale nie umiała nic na to poradzić. Polecenie panienski było dla niej rozkazem. Mogła, oczywiście, poskarżyć się pani Marie, ale nie chciała popaść w niełaszkę. Christina potrafiła być mściwa, jeżeli ktoś nastąpił jej na odcisk. Domyślałam się, że początkowa sympatia Merel do mnie uleciała jak dym z komina, a jednak pomimo tego nie chciałam rezygnować z odrobiny szczęścia, które w końcu uszczknął dla mnie los.

Po jakimś czasie malowałam już nie tylko kwiaty, ale też ptaki, smoki, pejzażyki z wiatrakami, pawie o strojnych ogonach, ozdobne krzewy i miniaturowe egzotyczne postaci Chińczyków w zwiewnych szatach.

Śniłam o nowych wzorach w nocy, a malowałam je w dzień. Dekorowałam filiżanki, wazy, talerze i dzbanki i czułam, że wychodzi mi to coraz lepiej. Potrafiłam już sprawnie przesuwając pędzlem po powierzchni naczynia, jednym płynnym ruchem, bez odrywania ręki. W ten sposób unikałam nagromadzenia farby na początku linii motywu. Ten błąd popełniałam wcześniej, ale teraz doszłam do takiej wprawy, że z zamkniętymi oczami potrafiłam nabrać na pędzelek właściwą ilość farby.

Christina pojawiała się czasem przy stole, cmokając z uznaniem, ale coraz częściej wymykała się z domu, zamykając mnie na klucz i nakazując pod żadnym pozorem nie otwierać nikomu drzwi. Wracała najczęściej, kiedy słońce już dawno zniknęło za horyzontem, a ja musiałam zapalać świece na mosiężnym lichterzu stojącym na stole. Merel widziała, że rano przy śniadaniu słańiałam się na nogach, ale im bardziej byłam zmęczona, tym mocniej mnie poganiała.

– Idź, zanieś państwu do jadalni wodę. Ja tutaj ręce sobie obrywam, a żadnego zrozumienia nie ma! Ty niedługo i tak do stołu podawać będziesz, boś awansowała z kocmołucha na salony. – Roześmiała się drwiąco.

Chwyciłam bez słowa porcelanowy dzbanek i pobiegłam na górę. Czasem pomagałam Merel myć podłogę w jadalni państwa, ale nigdy jeszcze nie usługiwałam im przy śniadaniu. Pan i pani Mulderowie siedzieli przy nakrytym śnieżnobiałym obrusem stole, pogrążeni w rozmowie. Weszłam cichutko i, opuszczając oczy, postawiłam dzbanek na kredensie. Nie wiedziałam zbyt dobrze, czy mam czekać na pozwolenie odejścia, czy na dalsze polecenia, stanęłam więc niepewnie tuż obok kredensu, za którego szybkami pyszniły się najpiękniejsze naczynia Błękitnego Kolibra.

– Musimy szybko coś wymyślić, moja droga – powiedział pan Mulder i zmarszczył wysokie czoło. – Nasza córka produkuje od jakiegoś czasu prawdziwe cuda, aż dziw, że nabrała nagle takiej wprawy, ale to jednak za mało.

– Poproś ją, niech pomyśli, jak ożywić te filiżanki. Nasi konkurenci nie śpią, a my już od dłuższego czasu nie wypuściliśmy na rynek niczego, co by nas wyróżniało spośród innych.

– Mówisz o Houbenach? Oni zawsze byli bardziej nastawieni na zysk, a my na jakość. Ale, jak widać, i nasza taktyka nie przynosi rezultatów. Porozmawiam z Christiną... Cornelio... – zwrócił się do mnie, odwracając nagle głowę. Drgnąłam. – To nieładnie podsłuchiwać. Możesz odejść.

Zaczerwieniłam się, dygając niezgrabnie, i czym prędzej wycofałam z jadalni.

Wieczorem panią Christina nieoczekiwanie siadła obok mnie i chwyciła ze pędzel. Ostatnio zawsze wymykała się o tej porze, dlatego spojrzałam na nią zdziwiona.

– Ojciec kazał mi myśleć nad czymś nowym – mruknęła. – Nie mam do tego głowy. Może ty masz jakiś pomysł?

Zafrasowałam się, ale nagle mój wzrok padł na drewnianą skrzynię, do której wkładałyśmy gotowe do wypalenia filizanki.

„Błękitny Koliber – przeliterowałam napis umieszczony na skrzyni. – Błękitny koliber...”.

– A może namalujemy na filizankach kolibra? – powiedziałam nieśmiało.

Panią Christina skrzywiła usta.

– Koliber jest już na sygnaturze.

– Ale ja myślałam bardziej o obrazku. – Ożywiłam się. – Ptaszek wśród oplatających go liści i kwiatów, z których kielichów spija nektar. Na samym środku każdej z filizanek, nieco schowany w gąszczu detali, widoczny tylko dla tych, którzy naprawdę chcą go zobaczyć.

Panią Christina z pędzlem w dłoni zamarła nad stołem.

– A umiałabyś go namalować? – zapytała cicho.

– Musiałabym zobaczyć z bliska, jak wygląda.

Christina poderwała się na równe nogi i pociągnęła mnie stanowczo za rękę.

– Chodź ze mną! Tylko bądź cicho, nie stukaj tymi sabotami...

Wyszliśmy z pracowni i na paluszkach zbiegaliśmy na półpiętro. Christina nacisnęła klamkę ciemnych dębowych drzwi i po chwili znalazłyśmy się w pomieszczeniu wypełnionym od sufitu po podłogę półkami z książkami. Jasna poświata płynąca z rozpalonego kominka rzucała długie cienie, które tańczyły radośnie po grubych skórzanych grzbietach opasłych tomisk. Panią Christina podeszła pewnie do długiej półki. Przez chwilę stała

niezdecydowana, a potem wyciągnęła jeden tom i, przysiadając na oparciu fotela, otworzyła go.

– To *Encyklopedia Britannica* – objaśniła. – Ojciec przywiózł ją z Londynu. Tutaj na pewno znajdziemy fotografię kolibra. Przyjrzyj się uważnie, a potem zrobisz szkic, zrozumiałaś?

Wyciągnęłam szybko zza pazuchy swój kajet, który nosiłam zawsze przy sobie. Popatrując na miniaturową rycinę, szybko nakreśliłam kontur ptaszka.

– Zrobisz na górze szablon – przykazała Christina, zaglądając mi przez ramię. – A teraz musimy zmykać, zanim ktoś nas tu zobaczy.

Po kilku minutach zdyszane stanęłyśmy na środku pracowni.

– Dobrze się spisałaś! Ten szkic jest idealny! Ojciec zapieje z radości. W nagrodę będziesz mogła umieścić swoją sygnaturę na filizankach – powiedziała uroczyście panienka. – To prawdziwe zrządzanie losu, że litery twojego imienia i nazwiska są takie same jak inicjały moich imion, więc nikt się nie zorientuje. Tylko my obie będziemy wiedzieć, kto tak naprawdę kryje się pod monogramem C.S.

Tego dnia siedziałam przy kolejnej partii filizanek, pracując tak gorliwie, że kompletnie straciłam poczucie czasu. Kiedy w końcu ból w karku chwycił mnie tak mocno, że aż jęknęłam głośno, oderwałam się od pędzla i przeciągnęłam się. W tym momencie ktoś załomotał do drzwi. Rozejrzałam się spłoszona. Zegar wskazywał już prawie północ, a panienki Christiny nie było jeszcze w pracowni.

– Otwieraj, ale już! Bo inaczej wyważę drzwi! – rozległ się gniewny głos pana.

Zaczęłam się trząść ze strachu, a serce waliło mi jak młotem.

– OTWIERAĆ!

Skulona podbiegłam do drzwi.

– Nie mam klucza, panie... – wymamrotałam. – Panienka... zamknęła mnie od zewnątrz.

Za drzwiami zachrobotąło, rozległy się pospieszne kroki na schodach i nastąpiła cisza. Przyłożyłam dłonie do rozgrzanej twarzy. Teraz to już koniec. Mulderowie na pewno wyrzucą mnie na bruk. Zgubiła mnie

pycha i przekonanie, że zasługuję na coś więcej niż wiadro z wodą, miska z mydlinami i talerz zupy!

Po chwili rozległ się szcęk zamka. Zamknęłam oczy. Drzwi się otworzyły i owionął mnie zimny strumień powietrza płynący z korytarza. Nastąpiła cisza.

Kiedy odważyłam się w końcu uchylić powieki, ujrzałam stojącego nad stołem pana. W skupieniu, ze zmarszczonym czołem i założonymi do tyłu rękoma, przyglądał się schnącym na papierze naczyniom. Czarki, misy, talerze i filizanki tylko czekały na swoją kolej, żeby można je było wsadzić do pieca.

– Idealnie glazurowana powierzchnia. I te motywy... tak precyzyjne... To niewiarygodne – szeptał rozgorączkowany pan Mulder. – A koliber... Genialne! Jak żywy! Ta pierwsza partia zrobi furorę! – Odwrócił się w moim kierunku. – Kiedy przyjmowałem cię do pracy wbrew woli mojej żony, przyznaję, zadziwiła mnie twoja umiejętność nazywania barw i niezwykły zmysł artystyczny. Przez chwilę pomyślałem, że mogłabyś pomagać mojej córce mieszać farby i myć jej pędzle, ale nie przypuszczałem... Na Boga, nie miałem pojęcia, że ty to wszystko robisz sama! Od kiedy to trwa? Czekać, nic nie mów! Od... sześciu tygodni?! To w tym czasie zapotrzebowanie na naszą ceramikę wzrosło prawie dwukrotnie. A teraz mamy jeszcze asa w rękawie. Czy to ty wpadłaś na ten pomysł z kolibrem?

– Nie chciałam, panie. Wybacz mi... – powiedziałam, skubiąc zabarwionymi na błękitno palcami kraj fartucha.

– Wiesz, co mówił mój ojciec, Hidde, kiedy przyuczał mnie do fachu? Stałem z nim przy otwartym piecu, do którego z taką ciekawością zaglądałem, już wtedy wiedząc, że to właśnie w nim jest moja przyszłość.

– Nie wiem, panie...

– Powtarzał, że porcelana powinna być błękitna jak niebo, lustrzana jak zwierciadło, cienka jak papier i winna rezonować niczym dzwon...

– To piękne... – Rozmarzyłam się, w końcu prostując plecy.

– Tylko nigdzie nie było mowy o tym, że stanie się taka dzięki dziewczce z ludu... Nikt nie może się o tym dowiedzieć, słyszysz? – Jego głos nagle stwardniał.

Skuliłam się pod naporem jego pogardliwego tonu. Miałam wielki talent, a jednak nawet pomimo tego nadal byłam dla niego nikim.

– Rozmawiałaś już z kimś na ten temat? Ktoś wie, czym tak naprawdę się tutaj zajmujesz?

– Nie, panie – skłamałam, gdyż czułam, że jeżeli powiem prawdę, Jesper wpadnie w niemałe tarapaty. Musiałam go przed nimi uchronić.

W tym momencie przy drzwiach coś się zakotłowało i do środka weszła, a raczej wtoczyła się panienska Christina. Miała dziwne, błyszczące oczy, krzywo zapiętą sukienkę i głęboko nasadzony na oczy kapelusz. Patrzyła na mnie złym wzrokiem.

– Mówiłam ci, żebyś nikomu nie otwierała, głupia dziewucho! – syknęła, po czym podeszła do stołu i zdzieliła mnie po twarzy ściągniętą z dłoni skórkową rękawiczką.

Kiedy zamachnęła się po raz drugi, pan Mulder chwycił ją z całej siły za nadgarstek. Stał w cieniu, dlatego nie zauważyła go wcześniej.

– Jesteś zakałą naszej rodziny! – ryknął. – Od dziś to ja będę cię tutaj zamykał! Gdyby twoja matka to widziała... spaliłaby się ze wstydu! Z kim to umawiasz się potajemnie na schadzki w mieście? Myślisz, że tego nie wiem?

– Nienawidzę cię, słyszysz?! Nienawidzę! Będę się spotykać, z kim chcę i kiedy chcę! Nie dorastasz Houbenom do pięt! Ich manufaktura jest o wiele lepsza niż Koliber! I to tak cię boli, papo! Ja tu jestem najmniej ważna!

Pan Mulder poszarzał nagle na twarzy i pochylił głowę.

– Cornelio, wystarczy na dziś... – powiedział nad podziw spokojnie. – Wracaj na dół. I dobrze zapamiętaj to, co ci przykazałem!

Rozdział XXIII

Bogna

Delft, 2020

Stałam w pracowni zegarmistrzowskiej Drewniana Kukułka, ze wzruszeniem trzymając w dłoniach porcelanową filiżankę. Wśród delikatnych listków ozdabiających szkliwo widniał miniaturowy ptaszek, którego od kilku dni tak gorliwie szukałam.

– To cacko jest w naszej rodzinie od ponad stu lat – powiedział przesympatyczny Adriaan van Keulen. Miał na sobie elegancką kamizelkę, starannie zaprasowane na kant spodnie i białą koszulę. Wyglądał jak subiekt z przedwojennych filmów z programu *W starym kinie*.

– A mogę wiedzieć, w jaki sposób ta filiżanka trafiła do państwa? Słyszałam, że to bardzo rzadki okaz.

Van Keulen zmarszczył krzaczaste, pokryte siwizną brwi.

– O to by musiała pani zapytać moją ciotkę, Mies van Keulen. Znała historię naszej rodziny lepiej niż niejedna encyklopedia.

– A czy mówi coś panu nazwisko Smid? Cornelia Smid?

Zegarmistrz pokręcił głową.

– A może pana ciocia by pamiętała?! Czy mogłabym z nią porozmawiać?

– Niestety, to niemożliwe. Mies nie żyje już od pięciu lat.

– Bardzo mi przykro... Zdawało się, że byłam już w ogródku i witałam się z gąską, a tu ponownie rozwiązanie zagadki wymyka mi się z rąk.

– Tuż po jej śmierci daliśmy tę filiżankę do taksacji w bardzo popularnym holenderskim programie telewizyjnym *Kunst en Kitsch*¹⁷. Znaczący z różnych dziedzin sztuki wyceniają, czy znalezione w rodzinnych archiwach manuskrypty lub ukryte na strychach dzieła sztuki są rzeczywiście wartościowe, czy stanowią jedynie sentymentalną pamiątkę po naszych przodkach, za którą jednak nikt nie dałby złamanego centa. W sprawie naszego „koliberka” eksperci zasięgnęli porady znawcy porcelany z miejscowego muzeum Prinsenhof. Wyniki okazały się zdumiewające...

¹⁷ hol. *Sztuka i kicz*.

– Jest bardzo cenna, prawda?

– Tak nam powiedziano. Kiedyś na rynku dostępna była podobna filiżanka, ale na tym koniec. Oczywiście zastanawialiśmy się z żoną przez chwilę, czy nie sprzedać tego cacka, ale jest już w naszej rodzinie od tylu lat... Cioteczka Mies z pewnością zeszlaby ze swojego niebiańskiego pastwiska i straszylaby nas po nocach, gdybyśmy spieniężyli jej ukochany bibelot. Pieniądze to nie wszystko. Poza tym z głodu nie umieramy.

– Zgadzam się z panem. I bardzo dziękuję za pomoc. Jak to dobrze, że Nienke dostrzegła ją w państwa domu.

– Nienke to wspinała dziewczyna. – Pan van Keulen wyraźnie się ożywił. – Cieszymy się, że spotykają się z Adamem, ale są jeszcze tacy młodzi... W każdym razie mocno z żoną trzymamy za nich kciuki.

Pożegnałam się i wyszłam na rozstłoneczniony rynek. Doskonale rozumiałam sympatycznego zegarmistrza. W naszej rodzinie też mieliśmy takie pamiątki jak filiżanka pana van Keulena. Babcia chowała za szybką peerelowskiego kredensu na wysoki połysk swoją ukochaną różową porcelaną z fabryki w Ćmielowie.

– To skandal, że trzymasz w naszym domu wyrób konkurencji – droczył się z nią dziadek, ale sam był zakochany w serwisie, który dostali w prezencie ślubnym.

Podobno autorem oryginalnej receptury na różową porcelaną był przedwojenny właściciel ćmielowskiej fabryki. Kochałam przystawiać cieniutkie filiżanki do światła, które przenikało przez ceramiczną masę, wydobywając z niej jasny, delikatny róż. Dziadek twierdził, że ten serwis to porcelanowa arystokracja i prawie niemożliwe jest odnalezienie odpowiednich składników i ich proporcji do uzyskania tej szlachetnej ceramiki bez znajomości tajnej receptury.

– Ale ty, oczywiście, wiesz, dziadziu, co potrzeba, żeby takie cuda wyprodukować? – pytałam, ciągnąc go za rękaw koszuli.

W oczach małej dziewczynki, którą wtedy byłam, dziadek był niczym czarodziej i mędrzec, który zna odpowiedź na każde, nawet najtrudniejsze pytanie.

– Domyślałam się tego, córciu. Przychodzi mi na myśl złoto, które pięknie koloruje ten typ porcelany. Specjalne pudry i barwniki na bazie złota

sprawiają, że porcelana ma ten subtelny kolor i tak pięknie przepuszcza światło...

– Bogna, śniesz na jawie! – Zza pleców dobiegł mnie śmiech Ingmara i Nienke, którzy czekali na mnie w pubie Pod Czerwoną Wiewiórką.

– I jak spotkanie z teściem mojej niepowtarzalnej kuzynki? – zagaił jak zwykle ironicznie Ingmar.

Nienke poczęstowała go solidnym kuksańcem.

– Spóźniłam się o pięć lat – westchnęłam. – Podobno historię „koliberka” znała jedynie ciotka van Keulen, której już nie ma wśród żywych.

– Masz poparzone palce? Co się stało? – zaniepokoił się Ingmar.

– Przeprasowałam cały kajet Cornelii, kartka po kartce, żeby się upewnić, że nigdzie indziej nie ma już jakichś informacji zapisanych atramentem sympatycznym. A ponieważ żadna ze mnie gospodyni i żelazka używam sporadycznie, oto rezultaty! Przepraszam was na moment... – powiedziałam i zerknęłam do torebki. Na wyświetlaczu telefonu pojawiła się właśnie nowa wiadomość.

Jan: *Brawo za odkrycie tajemnicy atramentu sympatycznego. Teraz szukaj dalej. Ułatwię ci sprawę. Na świecie są tylko trzy filizanki z kolibrem.*

Bogna: *Odrobiłam lekcje. Diabeł tkwi w szczegółach. Ha! I pierwszą z nich już znalazłam. Zegarmistrz van Keulen, rynek w Delfcie. Jesteś ze mnie dumny?*

Jan: *Przyznaję, dobra jesteś. Nabieram coraz więcej chęci na spotkanie na żywo.*

– Co ty tam skrobiesz? To nieładnie korespondować w towarzystwie oddanych i wiernych przyjaciół – powiedziała z wyrzutem Nienke i zmrużyła dyskretnie prawe oko.

– A może dałaś mi kosza, bo znalazłaś już sobie innego adoratora? Nie przeżyję tego! – Ingmar zrobił grobową minę.

– Wasze teorie spiskowe mnie przerażają. – Roześmiałam się i pokazałam im wiadomości od mojego porcelanowego znajomego.

– Coś mi się tu nie zgadza... – Ingmar zmarszczył czoło. – Przecież znalazłaś już dwie filizanki. Zapomniałaś o tej od młodszego Muldera?

Wprawdzie to było tylko zdjęcie, ale on rzeczywiście ma ją w swoich zbiorach.

– Jestem prawie pewna, że ją sprzedał. Borykał się ze sporymi kłopotami finansowymi, jak wygadała się Coba, gosposia Jacoba.

– Masz rację, to zdjęcie było na pokaz, żeby ci zamydlić oczy – stwierdziła Nienke. – Jacob na pewno nie ma pojęcia, że „koliberka” już nie ma. To smutne.

– Znalazłam jeszcze coś... wczoraj studiowałam gatunki kolibrów w atlasie. W świecie tych ptaków takie dzioby jak na rysunku Cornellii mają samce. Tak jakby chciała zaznaczyć jego odrębność, wyjątkowość, władczość...

– Albo poddaństwo. Może to była służąca?

– Służąca nie umiałaby tak malować! Biedne dziewczyny raczej nie miały pieniędzy na płótna i pędzle, a ona musiała się gdzieś uczyć. Miała niesamowity talent, jeden na milion.

– I co, umówisz się z tym Janem na porcelanowe pogaduszki? – zagaił Ingmar.

– Nie mam wyjścia! Nie spocznę, dopóki nie rozwiążę tej tajemnicy.

– Czyżbym wyczuwała w twoim głosie zazdrość, kuzynie? To taka brzydka cecha. Nie bądź małostkowy! – parsknęła Nienke.

– Kochani, nie ma o co kruszyć kopii. Przecież ten Jan to na pewno jakiś staruszek z siwą brodą. Jeżeli przyjdzie na spotkanie ze mną, to raczej o lasce. Czy naprawdę myślicie, że zakocham się w kimś w wieku mojego dziadka?

– Nigdy nie wiadomo. W historii znane są przypadki związków kobiet z o wiele starszymi partnerami. Na przykład księżniczka Małgorzata Windsor...

– Błagam cię, tylko bez wykładów z czasów prehistorycznych! – Nienke przewróciła oczami.

– Na mnie już pora, kochani. Widzimy się niedługo.

Pożegnałam się z wiecznie dogryzającymi sobie przyjaciółmi i pobiegłam do Kolibra. Moja misja inwentaryzacji błękitnych cacek powoli dobiegała końca, a ja, pomimo że wiedziałam już tak dużo, nadal nie mogłam się pochwalić spektakularnym sukcesem. Ciągle miałam wrażenie, że

rozwiązanie zagadki znajduje się tuż przed moim nosem, a ja jak na złość nie mogę nic zobaczyć.

Przy wejściu do galerii stał Emmanuel Mulder. Palił nerwowo papierosa i przebierał niecierpliwie nogami. Wszystko wskazywało na to, że na kogoś czekał.

– W końcu jesteś! – rzucił na mój widok. – Tylko nie rozumiem, co ty tu jeszcze robisz? Zapomniałaś o naszej umowie? Nie powinnaś już pakować manatków?

– Co tu się dzieje? – W drzwiach stanął nagle Jacob Mulder. – O jakiej umowie on mówi, Bogno? Czy mogłabyś mi to wyjaśnić? – Staruszek po raz pierwszy patrzył na mnie tak srogo.

– Twoja zaufana pracownica nie jest aż tak krystalicznie czysta, jak myślałaś, stryju! Skoro z taką łatwością weszła ze mną w spółkę, kto wie, z kim jeszcze się układa. – Emmanuel roześmiał się drwiąco. – A teraz muszę państwa opuścić. Jestem umówiony na mieście – rzucił i oddalił się w kierunku rynku, pogwizdując pod nosem. Niesnaski pomiędzy Jacobem a mną były mu bardzo na rękę.

– Przyznaję, że zrobiłam coś, czego na pewno nie pochwalasz, ale z twoim bratankiem nie można normalnie dojść do porozumienia. Zawsze trzeba się uciekać do jakichś sztuczek – wydusiłam w końcu, przerywając przedłużającą się ciszę. – Po prostu obiecałam mu, że w zamian za pokazanie mi fotografii filizanki... usunę się w cień.

– Co masz na myśli? Mogłabyś mnie tak zostawić z dnia na dzień i wyjechać bez słowa pożegnania?

– To nie tak... Chciałam po prostu... I tak bym nie odeszła ot tak, jak złodziej – plątałam się w zeznaniach.

– Czyli obietnice dane mojemu bratankowi również były bez pokrycia? Trochę kręcisz, Bogno. Szczerść i prawda zawsze popłacają. Ale już chyba za późno, żebym udzielał ci takich rad. Twoja misja dobiegła końca, spisałaś się dobrze. Szczegółowe listy z opisem wszystkich znajdujących się w galerii delftów i innej ceramiki całkowicie mnie satysfakcjonują. Pora definitywnie pożegnać się z Kolibrem. Emmanuel tylko czeka na sfinalizowanie sprzedaży. Ja też już jestem zmęczony utrzymywaniem tego miejsca.

– Proszę mi pozwolić doprowadzić tę sprawę do końca. Chyba trafiłam na jakiś trop. Czy słyszał pan o Cornelii? Cornelii Smid? – zapytałam szybko, próbując zajrzeć mu w oczy.

– Nie, to nazwisko nigdy nawet nie obilo mi się o uszy. – Pokręcił głową. – A co do zagadki... Niniejszym zwalniam cię z obowiązku jej rozwiązania. Tak długo żyłem w nieświadomości, najwidoczniej jest mi również pisane w niej umrzeć.

– Przypuszczam, a właściwie jestem tego pewna, że to właśnie ta tajemnicza Cornelia malowała filizanki w okresie, kiedy naniesiono na nie koliberka – powiedziałam rozgorączkowana. Nagle prawie wszystkie puzzle ułożyły się w spójny obraz. – Ten skórzany kajet, który panu pokazywałam, to jej własność. Tych rysunków nie wykonała Christina Mulder. Ona nie potrafiła tak malować... dowodem są jej obrazy, które stoją na strychu.

– I tylko na tej podstawie wysnułaś te daleko idące wnioski?

– Pana brat na łożu śmierci wspominał o tajemnicy tkwiącej w porcelanie. Myślę, że chodziło mu właśnie o Cornelie i filizankę z kolibrem. Tylko nadal nie wiem, kim była ta kobieta i jak się znalazła w manufakturze w tym czasie... Najwidoczniej pan Eugène to wiedział... Pytanie tylko skąd?

– Jestem pewien, że mój brat również nie znał żadnej Cornelii. Teraz trochę nawet żałuję, że ci o tym powiedziałem...

Przez całe popołudnie nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Wrażenie, że zawiodłam Muldera, ciążyło na moim sercu jak kamień. Choć po prawdzie, gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym dokładnie tak samo. Miałam nieodparte wrażenie, że do pełnego obrazu brakuje mi tylko ostatniego elementu układanki. Tylko czy wystarczy mi czasu, żeby go znaleźć?

Wieczorem, siedząc na kanapie w swojej kawalerce, postanowiłam chwycić się ostatniej deski ratunku.

Bogna: *Nie wiem, czy zdążysz się ze mną zobaczyć, Janie. Na dniach wracam do Polski. Jeżeli naprawdę chcesz mi pomóc, to jest Twoja ostatnia szansa.*

Po wysłaniu wiadomości znużona emocjami niezwykle intensywnego dnia, zapadłam w sen.

Kiedy obudziłam się z przeraźliwym bólem karku, skulona w nienaturalnej pozycji na kanapie, z ciekawością zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Był pusty.

– Ale jak to pożegnalny obiad? Co się stało? Mulder wyrzuca cię na bruk? Co mu odbiło? – Nienke, wystrojona w hotelowy uniform, o mało nie wyskoczyła zza blatu recepcji.

Wpadłam do niej na chwilę, kończąc codzienną poranną przebieżkę. Byłam ubrana w ulubiony stary dres i nowe sportowe buty, które kupiłam w świetnym sklepie na rynku. Długie jasne włosy spięłam w koczek na samym czubku głowy. Jak to mówił zawsze dziadek – wyglądałam jak zadziorny urwis, któremu lepiej nie wchodzić w drogę.

– Moja misja dobiegła końca – westchnęłam. – Przyznaję, trochę się naraziłam Jacobowi, układając się z jego bratankiem, ale siedzenie tutaj po próżnicy i tak nie miałyby sensu. Pora wracać do domu, do dziadka i do codziennych obowiązków. Ej, nie rób takiej zmartwionej miny! Przecież nie wyjeżdżam na koniec świata! Musicie mnie odwiedzić z Ingmarem w Polsce. Zabiorę was do fabryki porcelany i do muzeum.

– Wolałabym iść na jakąś dyskotekę. – Roześmiała się. – Muzealnych okazów w Delfcie mamy aż nadto.

Odniosłam wrażenie, że w tej pozornej radości przyjaciółki krył się jednak smutek.

– Na dyskotekę też pójdziemy. A teraz muszę lecieć. Posprzątam trochę w kawalerce i zrobię ostatnie zakupy. To do zobaczenia o osiemnastej w naszej knajpce. Tylko błagam, żadnych garniturów, róż i łzawych pożegnalnych przemów, bo inaczej nie chcę was znać!

– Oczywiście, szefowo! Zero sentymentów!

Zapięłam suwak swojej bluzy prawie pod samą szyję i ruszyłam truchtem w kierunku galerii. Na rynku panował codzienny rozgardiasz. W Delfcie co czwartek ustawiano na wielkim placu otoczonym kolorowymi kamieniczkami ponad sto pięćdziesiąt straganów, na których okoliczni sprzedawcy reklamowali swoje towary. Było tutaj wszystkiego po trochu:

oczywiście porcelana, ale i odzież, książki, artykuły gospodarstwa domowego i świeże kwiaty. Postanowiłam kupić wielki bukiet dla Jacoba i postawić go w przepięknym błękitnym wazonie na kontuarze Kolibra. Kiedyś przyznał się w jakiejś rozmowie, że kocha żółte tulipany. Może w ten sposób choć trochę go udobrucham.

Weszłam pomiędzy kolorowe stragany. Od razu zostałam poczęstowana pokrojonymi i ułożonymi na miniaturowych tackach cząstkami jabłek od miejscowego sadownika. Podziwiałam porcelanowe filiżanki i gigantyczne kręgi żółtego sera Beemster, skusiłam się nawet na narodową holenderską rybę, czyli solonego śledzia, którego jedzono tutaj prosto z beczki. Otaczał mnie gwar rozmów, śmiech bawiących się pomiędzy kramikami dzieci oraz niezamordowane pokrzykiwania sprzedawców zachwalających swoje wyroby.

Poczułam nagle wibrujący w kieszeni bluzy telefon.

– Dziadziuś! Jak dobrze, że dzwonicz! Zgadnij, kogo zobaczysz już pojutrze w Przesławicach? Mam nadzieję, że uraczysz swoją wnusię jej ulubionym ciastem? Co to za hałasy? – Zaniepokoiłam się. – Gdzie ty jesteś?

Na linii rozległy się jakiś piski i trzaski, a po chwili rozbrzmiał radosny głos dziadka. Już dawno nie słyszałam go aż tak podekscytowanego.

– Bogienko, Krysia wyciągnęła mnie na kilka dni nad morze. Wieje tak, że musimy się trzymać obiema rękoma głowy, żeby nam ich nie urwało, ale jest pięknie! Sto lat nie byłem w Kołobrzegu!

– Krysia? Pani Krysia z malarni? Spotykacie się?

Byłam prawie pewna, że Michał Zdanowicz zaczerwienił się jak uczeń.

– Podczas twojej nieobecności zaprosiła mnie kilka razy na obiad... a potem jakoś tak... sama wiesz... Co o tym sądzisz, wnusiu?

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, mój kochany! I wiesz co? Myślę, że babcia też by się cieszyła. Bo jeżeli się kogoś kocha najbardziej na świecie, to chce się na przekór wszystkiemu, żeby ten ktoś był szczęśliwy. Po prostu...

Z szerokim uśmiechem schowałam telefon do kieszeni i wybrałam ogromny bukiet żółciutkich tulipanów. Mój kok się poluzował, palce woniały cebulą od śledzia, a na bluzie tkwiła wielka plama po sosie

musztardowym. Kiedy stanęłam w końcu przed wejściem do Kolibra i sięgnęłam po klucz, usłyszałam nagle za plecami swoje imię:

– Bogna?

Odwróciłam się zaintrygowana. Na chodniku stał wysoki, barczysty mężczyzna z burzą rudych włosów. Kiedy zobaczył moją zdziwioną minę, jego usta rozchyliły się w uśmiechu, ukazując piękne, równe zęby.

– Nazywam się Jan Koster – powiedział. – Przywiozłem ci kolejną filiżankę, *Blue Girl*. I wiesz co? Dokładnie tak sobie ciebie wyobrażałem.

Rozdział XXIV

Cornelia

Delft, 1883

Tego dnia włożyłam żółtą sukienkę, którą przewiązałam wokół pasa niebieskim fartuchem. Kiedy weszłam do pracowni panienki Christiny, ta ledwo rzuciła na mnie okiem.

– Wyglądasz jak dziewczyna z obrazu Vermeera. On lubił malować służące i kuchenne dziewczki. Uważał je za urodziwsze od szlachetnie urodzonych panien.

Nie odpowiedziałam. Usiadłam za stołem i chwyciłam filiżankę, którą pokrywały już kwiatowe ornamenty.

Pan Mulder kazał nam nadal pracować razem. Wiązał ogromne nadzieje z pierwszą partią „koliberków”. Liczył na to, że ten unikatowy szczegół doda jego filiżankom splendoru i przekona do nich zamożniejszych mieszkańców kraju. Teraz, jak powiedział, woleli stawiać na swoich stołach błękitno-białą porcelanę z Miśni. Nie słyszałam o takim mieście, ale pan Mulder wyjaśnił, że chodzi o germański kraj sąsiadujący z Niderlandami. Nasz „koliberek” miał sprawić, że wybredne bogate panie będą go chciały mieć w swoich kredensach obok germańskiej porcelany.

Do swojej córki nadal się nie odzywał. Ignorował ją, ale ona ciągle snuła swoje plany.

– Pomyśl, Cornelio, jakby to było pięknie, gdyby zamiast konkurować, nasze fabryki by się połączyły. Ojciec mojego ukochanego jest najlepszym zdobnikiem porcelany w Delfcie. Mulderowie mogliby produkować te swoje kafle, filiżanki i zastawę stołową, a on zająłby się malowaniem waz, kałamarzy, tabakier i mleczników.

– A co stałoby się ze mną? Nie potrzebowalibyście już malarki, skoro robiłby to pan Houben.

– Ty mogłabyś wyjść za mąż za swojego rudego rzeźnika. I wszyscy bylibyśmy szczęśliwi. Poza tym sama rozumiesz... Gdyby się wydało, że służąca maluje porcelanę w Kolibrze, mogłoby się to źle skończyć. Żadna szanująca się mieszczka nic już by od nas nie kupiła.

„Tak, Cornelio Smid. Nawet jeżeli stworzyłabyś dzieła na miarę Johanna Vermeera, dla bogatych panów zawsze pozostaniesz jedynie służącą” – pomyślałam gorzko.

– Bardzo go kochasz? – zapytałam nagle.

– Bardzo. Chyba nie mniej niż ty swojego Jespera.

Zabrałam się ponownie do pracy. Mój szkicownik wypełniały teraz nowe wzory, o których śniłam nawet w nocy. Unosiły się na kartkach kajetu jak niespełnione marzenia na falach kanału Schie. Tyle jeszcze było do zrobienia, do narysowania! Musiałam wierzyć, że być może kiedyś ludzie nie będą zwracać uwagi na moje pochodzenie, tylko na to, co potrafiłam najlepiej – moje malunki.

Przez chwilę pomyślałam o matce. Gdy byłam mała, więcej w niej było radości, którą potem zagubiła w szarości i biedzie żywota, który musiała wieść w osadzie. Pamiętałam jak przez mgłę, że kiedy chodziłyśmy na spacer za mury miasta, wiatr od morza porywał jej szeroką spódnicę, pod którą się chowałam przed zimnem. Jej piękne włosy, z których zdejmowała na moją prośbę czepek, otulały głowę matki niczym welon młodej panny. Zrywałam polne kwiaty, przeskakiwałam przez kałuże, a ona śpiewała mi ludowe piosenki. Nie musiałyśmy nawet rozmawiać, dzieląc w milczeniu zachwyt nad wszystkim – jasnym różem kwiatowych płatków, orzechowym brązem strzelistych kęp ostrych traw rosnących na torfowiskach i śpiewem rudzika. Czekaliśmy cierpliwie na moment, aż siedzący na trawie motyl rozłoży skrzydła, zaciekawione, czy to będzie pawik czy admirał, a potem szłyśmy za rozziewającym uszy krzykiem derkacza, który ukrył się na łące, w gęstych zaroślach.

Zieleń, żółć, czerwień i błękity tamtych wspomnień... To one nauczyły mnie czuć i widzieć kolory. Te spacer z matką i chłonięcie świata jak ta gąbka, którą uderzałam teraz w mokry barwnik, żeby go nieco rozmazać na powierzchni filiżanki.

– Zobacz mojego kolibra... Jak cię się podoba? – zapytała nagle panienska, podsuwając mi pod nos śnieżnobiałą filiżankę z nałożonym węglem drzewnym konturem. – Próbuję, ale nie umiem tak jak ty... – przyznała po chwili, rozdrażniona. – Żaden szablon nie odda twojego

kunsztu. Czasem myślę, jaka to prawdziwa tragedia, że nie urodziłaś się w majątnej rodzinie, Cornelio.

– I w niej mogłabym być uwięziona – odpowiedziałam spokojnie. – Tak jak panienka.

– Dzisiaj wieczorem będę chciała znowu wyjść na spotkanie z Bastianem. – Ożywiła się. – Nie wydasz mnie?

Pędzelek zadrżał w mojej dłoni.

– Niech panienka tego nie robi... To niebezpieczne. Pan pilnuje nas teraz jak oka w głowie!

– Zrobiłam kukłę z prześcieradeł, przykryję ją kołdrą w swoim łóżku. Gdy ojciec przyjdzie sprawdzić, czy jestem w pracowni, powiesz mu, że śpię.

Nagle ogarnęły mnie złe przeczucia. Te osaczające nas zewsząd kłamstwa nie mogły się dobrze skończyć.

– Cornelio, nie bądź takim tchórzem! Ojciec o mnie zapomniał. Ma jakieś problemy w manufakturze. Podobno dzieciak jednego z pracowników wpadł do dołu ze szklivem i okropnie się poturbował. Wdała się gangrena i chłopak zmarł. Wszyscy udeptywacze strajkują, domagając się sprawiedliwości. Papa nie mówi o niczym innym. Jacy ludzie są niewdzięczni! Przecież gdyby nie Koliber, nie mieliby na chleb!

Po południu, kiedy wynosiłam brudną wodę do kanału, zza winkła sąsiedniej kamienicy wyłonił się Jesper. Przypadł do moich rąk i pomimo że go odganiałam i odpychałam w obawie, iż ktoś nas dostrzeże, z jego ust nie schodził uśmiech.

– Mój wuj w końcu odpisał na list, Cornelio! Zgodził się, żebyśmy u niego zamieszkali. Nigdy nie mogli się dogadać z moim ojcem, który nie wybaczył mu, że wybrał mąkę zamiast mięsa i przeprowadził się aż do Belgii. Pakuj się, najdalej pojutrze przyjdę po ciebie. Koniec tej uwięzi u Mulderów. Wykorzystują cię i zarabiają wielkie pieniądze na twojej pracy, a ty dostajesz tylko marne ochłapy.

– Nie mogę zostawić teraz panienki. Daj mi trochę czasu, Jesperze. – Spojrzałam na niego błagalnie. – Skończę tylko pierwszą partię filizanek. Panienka jeszcze nie umie malować kolibra...

– To nie jest twoja sprawa, Cornelio. Wystarczająco im pomogłaś. Nie mamy już czasu! Będę na ciebie czekał przy murach miejskich w piątek, gdy tylko wszędzie słońce. Nikomu nie mów o naszych planach. W Belgii weźmiemy ślub, będziemy mieli dom, dzieci... Nie cieszysz się?

– Cieszę, bardzo się cieszę, ukochany... – szepnęłam.

Jesper zamknął mnie na moment w swoich ramionach, a potem pobiegł, pogwizdując radośnie, w kierunku Nieuwe Kerk.

Wróciłam do domu państwa Mulderów z nisko opuszczoną głową. Nie zaznałam tutaj złego, mogłam robić to, co kochałam najbardziej na świecie, ale Jesper miał rację – moje miejsce było u jego boku. Musiałam pożegnać się na dobre z manufakturą Błękitny Koliber.

Wieczorem panią Christina ukradkiem wymknęła się z kamienicy. Z duszą na ramieniu siedziałam przy stole i, próbując odgonić od siebie czarne myśli, kończyłam malowanie kolejnego kolibra. Patrzyłam z dumą na pierwszą partię filiżanek, którą przywieziono właśnie z wypalarni. Były tak piękne, lśniące, idealne! „Świat oszaleje na ich punkcie...” – pomyślałam z dumą i po raz kolejny zerknęłam na sygnaturę na spodzie naczynia. Przecież te literki były moje... Znałam prawdę i to było najważniejsze...

Miałam wyrzuty sumienia, ponieważ wczoraj zabrałam potajemnie trzy filiżanki ze skrzyni. Jedną ukryłam pod łóżkiem w swoim tobołku, drugą podarowałam pani Liselotte van Keulen, a trzecią zaniosiłam do szynku Pod Czerwoną Wiewiórką, dla karczmarki Lieke, która była dla mnie taka dobra.

Nagle stojąca na stole świeca zgasła, a ja poczułam na swoich nagich łydkach nieprzyjemny powiew wiatru. Po chwili drzwi pracowni się otworzyły. Zmartwiałam. Najwyraźniej panią zapomniała tym razem zamknąć je na klucz.

– Gdzie jest moja córka?! – zagrzmiała pani Mulder. Jej oczy były stalowo zimne, a twarz trupio blada.

– W swojej sypialni... – odpowiedziałam cicho, wstałam zza stołu i schowałam za plecami drżące dłonie.

– Nie ma jej tam, już sprawdzałam. Myślicie, że jesteście takie sprytne...? – zapytała i podeszła do stojących w skrzyniach filiżanek. – To twoja robota, tak? Jak mój mąż mógł dopuścić do tego, żeby filiżanki z naszej porcelany ozdabiał ktoś taki... ktoś taki jak TY?! Od samego początku, jak tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, co z ciebie za ziółko...

Zamachnęła się i zrzuciła skrzynkę wypełnioną filiżankami z kolibrem. Podłogę zasłał gruby dywan błękitno-białych skorup. Kilka odłamków fajansu boleśnie poraniło moje nagie stopy. Purpurowa krew opryskała zimny kobalt tysiącem drobinek. Krzyknęłam bezwiednie i zasłoniłam dłońmi oczy.

– Moja córka jeszcze nie wie, że Bastian za trzy niedziele poślubi młodą szlachciankę z Hagi – powiedziała głucho pani Mulder. – Kosztowało nas to krocie, ale jego ojciec zawsze był łasy na pieniądze. Nigdy nie pozwolimy, żeby nasza jedyna córka związała się z odwiecznym wrogiem rodziny. Wolałabym umrzeć, niż doczekać takiej poruty! A tych twoich filiżanek nie chcę już widzieć na oczy. Są synonimem kłamstwa, którym się brzydę.

Nie mogłam tego słuchać. Ruszyłam na oślep przed siebie. Pani zniszczyła wszystkie „koliberki”... Nie ocalała ani jedna filiżanka, wszystko poszło na zmarnowanie! Po moich marzeniach zostały tylko skorupy... Chciałam wyc z bólu na cały dom. Zbiegłam po schodach, wpadłam do swojego pokoju przy kuchni i wyciągnęłam spod łóżka tobołek. Nic już mnie tutaj nie trzymało. Spojrzałam po raz ostatni na pochrapującą pomocnicę kucharki, Aagje, i wybiegłam na zimną ulicę. Dopiero wtedy przypomniałam sobie o ukrytym pod siennikiem skórzanym kajecie i kaflu od ojca, moim talizmanie. Ale na powrót było już za późno.

Już nie pamiętałam, jak udało mi się pod osłoną księżyca przetrwać ostatnie godziny w załomie muru przy naszym kanale. Na szczęście noc była ciepła, a ja, otulona szalem od pani van Keulen, schroniłam się pod rozłożystymi liśćmi łopianu i w towarzystwie zawodzącego rudzika czekałam na mojego chłopca. Kiedy tylko słońce przedarło się przez linię horyzontu, przy murach pojawił się Jesper. Gdy zobaczyłam, kto mu towarzyszył, z moich oczu wytrysnęła fontanna łez.

– Zwaantje! – zawołałam i otworzyłam szeroko ramiona.

Moja siostra, a właściwie połowa dawnej jej, dopadła do moich kolan i wtuliła twarz w moją spódnicę.

– Wybacz mi, Cornelio, byłam taka głupia. Jak mogłam uwierzyć, że ty kłamiesz, a Ruben mówi prawdę? Od początku mnie oszukiwał, a potem, po twojej ucieczce... zbałamucił dziewczkę od sąsiadów i wszystkiego się wyparł. Brzemienna dziewczyna rzuciła się do kanału, a Vermeulenowie nie zrobili nic, wszystkiego się wyparli! Nie było już tam dla mnie miejsca. Przyjechałam do Delftu, ale nie wiedziałam, gdzie cię szukać i tak trafiłam do hali rzeźniczej, do Jespera. Gdybym spóźniła się o jeden dzień, nigdy bym was już nie spotkała. Powiedz, że nie gniewasz się na mnie, Neeltje. Przeze mnie tyle wycierpiałaś...

– Już dobrze, Zwaantje. Jesteś moją siostrą i kocham cię. Nie mogę się ciebie wyprzeć, bo to tak, jakbym wyrzekała się własnych korzeni.

– Musimy ruszać, *meiden*. Nasza łódź odpływa z portu za dwie godziny.

– Jesper, kochany, proszę cię tylko o jedno... – Złożyłam dłonie jak do modlitwy. – Pozwól mi jeszcze ostatni raz spojrzeć na manufakturę Błękitny Koliber. Została mi po nim tylko ta filiżanka... – Ostrożnie wyciągnęłam zza pazuchy kruche cacko z miniaturowym ptaszkiem. – Wszystkie inne wytłukła pani Mulder.

– Dobrze, ale musimy się pospieszyć.

Fabryka porcelany ciągnęła się prawie na całej długości ulicy Oosteinde. Składała się z kilku jednokondygnacyjnych budynków otoczonych pięcioma piecami. Kiedy ukryci za załomem muru obserwowaliśmy wejście, trzy paleniska buchały już ogniem. Ze spiczastych szczytów wzbijał się biały dym. Na dziedziniec wjeżdżały właśnie wozy pełne gliny, które zostawiały swój ładunek w specjalnych baliach. W warsztatach garncarze zapewne siedzieli już przy kołach, napełniano kadzie płynną glazurą, a piece nagrzewały się do właściwej temperatury.

Patrzyłam na to wszystko szeroko otwartymi oczami i myślałam o moim ojcu.

– Chodźmy już, Neeltje... – powiedział łagodnym głosem Jesper i pociągnął mnie delikatnie za rękaw.

– Pssst, popatrzcie! – zawołała nagle Zwaantje.

Jak na komendę wyciągnęliśmy szyje. Tuż przy pierwszym budynku stała zakryta czarną chustą kobieca postać. Przez chwilę rozglądała się dookoła, a potem ruszyła w kierunku pieców. Chustka na jej głowie opadła nieco, a promienie słońca na sekundę rozświetliły jej piękne lniane włosy.

– To panienka Mulder.... – szepnęłam. – Co ona tam robi?

Przez moment patrzyliśmy na siebie zdezorientowani. Nagle rozległ się ogłuszający huk, jakby od jakiegoś wybuchu. Skuliliśmy się za załomem muru, tracąc równowagę. Zanim zdążyliśmy pojąć, co się stało, rozbrzmiał drugi grzmot. Na dziedzińcu wybuchła panika, ludzie przepychali się nawzajem, próbując uciec. Nagły swąd dymu wdarł się w nasze nozdrza. Wejście do fabryki wypełniała teraz chmura czarnego jak węgiel pyłu.

Jesper zaniósł się kaszlem i wyrzęził:

– To pożar! Musimy uciekać!

Tuż przed naszymi oczami zaczęły spadać kawałki drewna, deski i dachówki. Jesper chwycił nas obie za ręce i pociągnął. Biegliśmy ile sił w nogach uliczką w kierunku portu. Miałam wrażenie, że gorące języki ognia depczą nam po piętach. Kiedy odwróciłam się na moment, nad manufakturą Błękitny Koliber ziała krwawa luna.

– Boże miłosierny... To panienka... – szepnęłam.

– Cicho, Neeltje, nie myśl teraz o tym.

Nasza łódź cumowała już na nabrzeżu. Otarłam fartuchem twarz z ciemnego pyłu.

– Dlaczego Mulderówna to zrobiła? – zapytała cicho Zwaantje.

– Straciła swojego ukochanego. Rodzice sprzedali ją, jak Jesper sprzedawał mięso w hali rzeźniczej – powiedziałam i przytuliłam się mocno do jego ramienia, myśląc o tym, że w świecie wielkich panów miłość była tak samo nieważna, jak ochłap mięsa w koszyku służącej...

– Gdybym była na jej miejscu, zrobiłabym to samo... – stwierdziłam po chwili.

– Nie wolno ci tak mówić! Musimy zapomnieć o wszystkim, co przed chwilą widzieliśmy. To już nie nasz świat. Pora zacząć nowe życie.

Rozdział XXV

Bogna

Delft, 2020

Przyglądaliśmy się sobie długo. Właściwie to przez pierwsze godziny naszego spotkania więcej milczeliśmy, niż rozmawialiśmy ze sobą. A potem nagle zaczęliśmy mówić jedno przez drugie. A właściwie to Jan mówił, a ja od czasu do czasu zadawałam mu pytania, nadal nie mogąc uwierzyć w tę niezwykłą historię.

– To ty jesteś potomkiem Cornelii Smid i Jespera Kostera? Co ona później robiła w Gent? Malowała?

– Codziennosc przytłumiła tę pasję. Pod koniec dziewiętnastego wieku, pochodząc z takiego środowiska, nie miała szans na rozwój ogromnego talentu. Oboje z Jesperem przejęli interes jego wuja i prowadzili piekarnię. Cornelia urodziła troje dzieci, w tym mojego pradziadka. Jej pasja do sztuki przechodziła, na szczęście, w genach z pokolenia na pokolenie. Ale nikt już w rodzinie Kosterów nie miał takiego talentu jak ona.

– W jaki sposób Eugène Mulder dowiedział się o twoim istnieniu? Bo mówiąc na łożu śmierci o tej tajemnicy, miał na myśli Cornelie, prawda?

– Kiedyś w jednej z galerii w Paryżu spotkałem ich oboje, ojca z synem. Mulder prezentował z dumą filizankę z kolibrem, którą, o dziwo, ja tak dobrze pamiętałem z opowieści mojej babci. Mało tego, ta filizanka cały czas stała w naszym domu. Zacząłem szperać w rodzinnych archiwach. Znalazłem pamiętnik siostry Cornelii, Zwaantje, i zapiski jej córki, w których dość szczegółowo relacjonowały historię naszej rodziny. W ten sposób wpadłem na trop kolibra ukrytego na filizance. Na stronie internetowej manufaktury Mulderów nie znalazłem nawet wzmianki o mojej praprababce, dlatego zadzwoniłem pod podany tam numer. Telefon odebrał Eugène. Nie wiedziałem, że był już wówczas bardzo chory. Opowiedziałem mu pokrótce, kim jestem i w jakiej sprawie dzwonię. Ta historia tak go zainteresowała, że umówił się ze mną na spotkanie w Brukseli, ale nigdy się na nim nie pojawił. Na początku byłem oburzony jego niesłownością, wyglądał na przedwojennego dżentelmena, ale potem

się okazało, że moja złość była bezpodstawna, bo Mulder zmarł. Emmanuel, z którym próbowałem się skontaktować, konsekwentnie odmawiał rozmowy. A potem... pojawiłaś się ty, *Blue Girl*. I na nowo odkryłaś historię mojej praprababki. Jestem ci za to ogromnie wdzięczny. Dzięki tobie w końcu świat pozna historię Cornellii. Ona naprawdę na to zasłużyła.

– Ale wspominałeś tylko o trzech ocalałych filiżankach. Według moich obliczeń zachowały się cztery: ta Cornellii, ta pani van Keulen, ta Lieke z szynku Pod Czerwoną Wiewiórką i... chyba ta kogoś z Mulderów, skoro to cacko jest w posiadaniu Emmanuela.

– Dowiedziałem się z moich tajnych źródeł, że Mulderowie nie mieli swojego egzemplarza – wyjaśnił Jan. – Parę miesięcy po wyjeździe Cornellii do Gent Lieke z karczmy przyniosła filiżankę do domu Marie i Brama. Liczyła na spory zarobek, ale, o ile wiem, pomimo że wiedzieli, ile jest warta, zapłacili jej jakieś grosze.

Patrzyłam na Jana z przyjemnością. Miał w sobie chłopięcy urok, a jednocześnie był niezwykle męski. W taki czuły i delikatny sposób opowiadał historię filiżanki z ponadstuletnią historią. Zaczerwieniłam się jak pensjonarka, wdzięczna naturze, że Jan nie mógł odczytać teraz moich myśli.

– O wilku mowa! – wykrzyknął mój towarzysz.

W drzwiach kawiarni Pod Czerwoną Wiewiórką stanął Jacob Mulder.

– Cieszę się, że was tutaj widzę! Oboje! Chciałbym cię przeprosić, Bogno, za to, że zlekceważyłem twój upór i ciekawość.

– Wcale się na ciebie nie gniewam, Jacobie – rzuciłam lekko. – Dzięki tobie przeżyłam niezapomnianą przygodę.

– A jednak czuję się winny... Dlatego mam dla ciebie mały upominek.

Mulder wyjął z kieszeni piękne drewniane pudełko.

– Nie trzeba było! – zakrzyknęłam i zaciekawiona uchyliłam wieczko.

– To wisior z mosiądzu, przedstawiający kolibra. Ręczna robota mojego przyjaciela z Hagi.

– Jest przepiękny, dziękuję. – Od razu założyłam łańcuszek na szyję.

– Ładnie ci w nim... – Błękitne oczy Jana błyszczały jak kobaltowe wzory na białej porcelanie.

– Koliber to symbol serca, miłości i szczęścia – powiedział Jacob i podniósł się zza stołu. – I tylko tego ci życzę, Bogno. A teraz pora się zbierać. Czekam na Ciebie jeszcze dużo pracy w związku z finalizacją sprzedaży galerii. Nie mówię „żegnajcie”, tylko „do widzenia”, bo mam nadzieję, że być może jeszcze się kiedyś spotkamy.

Kiedy Mulder zniknął za drzwiami kawiarni, popatrzyłam wesoło na Jana.

– Podobno najpiękniejsze kolibry żyją w Ameryce Południowej. Bardzo chciałabym je zobaczyć na własne oczy.

– Rubinobrody koliberek, taki jak na rysunku Corneli, zamieszkuje Rio Grande Valley, najbardziej na południe wysunięty kraniec Teksasu.

– Już pakuję walizki! – Roześmiałam się dźwięcznie.

Jan nieoczekiwanie położył swoją dłoń na mojej.

– A może zechcesz zapakować i mnie do tej walizki? Nigdy nie byłem w Teksasie.

Miałam nieodpartą ochotę zanurzyć palce w jego miedzianych, podbarwionych ogniem włosach.

– Zgoda – powiedziałam ciepło. – Tylko nie zabieraj ze sobą tej filizanki. Obiecuję, że zostawisz ją w domu.

Epilog

Bogna

Ten spontanicznie zaplanowany amerykański wyjazd zmienił już na zawsze nasze życie. Pocałowaliśmy się po raz pierwszy, kiedy słońce wstawało nad gorącym Rio Grande Valley, a my, sprytnie ukryci w zaroślach, podglądaliśmy kolibry.

– Nie uważasz, że domki, które budują z gałązek i kawałków kory drzew, przypominają miniaturowe filiżanki? – szepnął Jan i czułym gestem odgarnął wpadające do moich oczu włosy.

– Zgadzam się. Tak samo piękne, jak te, które malowała Cornelia. – Przytuliłam się do jego ramienia.

Gniazdo kolibra, którego obserwowaliśmy, miało rozmiar orzecha włoskiego. Przysłaniały je mech i cieniutka kurtyna z pajęczyn.

– Brazylijczycy nazywają kolibra *beija-flor* – zamruczał Jan i wyteńczył wzrok.

Zielony ptaszek z rubinowym gardłem zawisł nieruchomo w powietrzu i po kilku sekundach zagłębił swój długi dziób w kwiatowym kielichu.

– Co to oznacza?

– Ptak, który całuje kwiaty – odpowiedział Jan i przybliżył swoje usta do moich warg.

Nad naszymi głowami rozległ się śpiew kolibra. Jego skrzydła, trzepocząc na wietrze, wydawały dźwięki przypominające cichutkie nucenie lub szmer, który płynnie przeszedł w wysoki, cikliwy świergot.

Podobno serca kolibrów biją z częstotliwością pięciuset uderzeń na minutę, ale w tej chwili miałam wrażenie, że moje własne pokonało wszelkie rekordy. Objęłam Jana i nagle poczułam, że już nie chcę i nie muszę szukać dalej. W Rio Grande Valley znalazłam swoje przeznaczenie. A właściwie to ono odnalazło mnie już wcześniej, na wąskiej, krętej uliczce w Delfcie, nad kanałami, gdzie zobaczyłam Jana po raz pierwszy.

Wróciliśmy do Holandii już jako para zakochanych w sobie po uszy młodych ludzi. Jan zabrał mnie do Gent, gdzie prowadził antykwariat, a ja

jego do Przesławic, do dziadka i pani Krysi, którzy nie mogli się doczekać, żeby go poznać. Kiedy myślałam już, że los podarował mi wystarczająco dużo niespodzianek, okazało się, że te dwie największe czekały na mnie jeszcze za rogiem...

Pewnego wieczoru, kiedy po kolacji z Nienke i Ingmarem spacerowaliśmy po rozświetlonym kolorowymi światłkami rynku w Delfcie, Jan pociągnął mnie za rękę.

– Chciałbym ci coś pokazać, moja kochana. Już nie mogę dłużej tego przed tobą ukrywać... – zapowiedział tajemniczo.

Ruszyliśmy przed siebie tak znajomą mi drogą w kierunku galerii Błękitny Koliber. Na skrzypiącym na wietrze metalowym szyldzie z wizerunkiem mojego ukochanego ptaszka widniał napis VERKOCHT¹⁸.

¹⁸ hol. sprzedane

– Ale ja znam to miejsce! – Roześmiałam się. – Chyba że chciałeś wzbudzić we mnie nostalgiczne wspomnienia. Trochę mi szkoda, że Jacob jednak sprzedał tę kamienicę. Na pewno ktoś przerobi wkrótce galerię na jakiś second hand albo, nie daj Boże, bar z hamburgerami.

Stanęliśmy przed pozbawioną błękitu witryną. Zajrzałam zaciekawiona przez zakurzoną szybę do środka. W głębi opustoszałej galerii stały drabiny i puszki z farbą. Jan ujął moją twarz, a ja spojrzałam na niego czule.

– Żaden bar ani sklep z ciuchami. – Roześmiał się cicho. – Bogno, nie mówiłem ci o tym wcześniej, ale to ja kupiłem od Jacoba Muldera Błękitnego Kolibra. Chciałbym ożywić tę galerię, sprawić, żeby zaczęła tętnić nową energią. W ten sposób choć trochę przywołam pamięć Cornelii. Pokażemy światu jej szkice i opowiemy o wielkim talencie. Co ty na to?

Zamknęłam oczy. Po moich policzkach zaczęły płynąć łzy.

– Nie płacz, *liefje*¹⁹... Popatrz na mnie. Nigdy nie uda mi się to bez twojej pomocy. Czy poprowadzisz to miejsce razem ze mną? Powiedz, że się zgadzasz, a będę najszczęśliwszym facetem w Holandii. Co ja mówię, na całym świecie!

¹⁹ hol. ukochana

Nie mogłam w to uwierzyć. Tym bardziej że i ja miałam w zanadrzu niespodziankę dla Jana.

– Pomogę ci we wszystkim. A raczej... pomożemy – szepnęłam i wtuliłam się całą sobą w jego szerokie ramiona.

– Co masz na myśli? – Zajrzał mi w oczy i pocałował mnie w czubek głowy.

– Jestem w ciąży – powiedziałam uroczyście. – Tylko nie każ mi nazwać naszego dziecka Błękitny Koliber! Na rubinobrodego też się nie zgadzam! – krzyknęłam i roześmiałam w głos, gdyż Jan uniósł mnie jak piórko.

Rok później z małym zawiniątkiem w ramionach, z którego wychylała się miniaturowa ruda główka, stanęliśmy przed drzwiami domu mojego dziadka w Przesławicach.

– Poznaj swoją pierwszą prawnusię, dziadziu – powiedziałam wzruszona, kiedy otworzył nam drzwi. – Ma na imię Cornelia Marianna.

Dziadek odchylił kocyk. Nasza córka spojrzała na niego błękitnymi jak delftyjski kobalt oczami. Ostrożnie chwycił becik i otoczył go swoimi ramionami.

– Kocham was, moje dzieci – szepnął, dotykając pieszczotliwie opuszką palca policzka małej.

Cornelia zakwiliła cichutko jak koliber, który gdzieś tam wysoko na niebie trzepotał mocno skrzydłami, ciesząc się z naszego szczęścia.

KONIEC

Słowo od autorki

Z ceramiką z Delftu zetknęłam się po raz pierwszy podczas podróży do Holandii w 2002 roku. Samolot holenderskich Królewskich Linii Lotniczych KLM, którym leciałam do Amsterdamu, miał piękną błękitną barwę, a stewardesy roznosiły pasażerom upominki w postaci kolekcji białoniebieskich porcelanowych domków. Kiedy odwróciłam miniaturową kamieniczkę, dostrzegłam charakterystyczną sygnaturę, którą zapamiętałam już na zawsze.

Delftyjska ceramika powstała na początku siedemnastego wieku, jako alternatywa dla drogiej niebiesko-białej porcelany z Chin. Chińskie wyroby dotarły do Europy dzięki statkom Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, która w mig zwęszyła na chłonnym lokalnym rynku spory ceramiczny interes. Serwisy z Dalekiego Wschodu ze względu na wygórowaną cenę nie były dostępne dla zwykłych ludzi, a produkowane na ich podobieństwo holenderskie „podróbki” można było zakupić bez obawy o stan kieszeni. Traf chciał, że Delft było siedzibą Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, dlatego też to właśnie tam wybuchło prawdziwe ceramiczne szaleństwo. W dobie złotego wieku Delft Blauw był tak popularny, że firma zainwestowała w ponad trzydzieści miejscowych fabryk.

Pod koniec osiemnastego wieku produkcja porcelany w Delfcie znacznie się załamała wskutek stale rosnącej konkurencji angielskiej ceramiki. Delfty wyszły z mody i zaległy w piwnicach i na strychach. Na szczęście od pewnego czasu, ku mojej ogromnej radości, obserwujemy powolny powrót zainteresowania delftyjskimi fajansami, szczególnie za granicą, w Japonii i Stanach Zjednoczonych.

Jeżeli zaintrygowałam Was historią holenderskiej porcelany i chcielibyście na własne oczy się przekonać, jak powstaje, to zachęcam do wizyty w Delfcie, w fabryce De Koninklijke Porceleyne Fles, czyli w Królewskiej Porcelanowej Butelce ****. Będziecie mogli zobaczyć, jak maluje się delfty ręcznie, tą samą metodą, którą ozdabiała je Cornelia Smid w Błękitnym Kolibrze.

Niezwykła postać Cornelii Smid to efekt mojej wyobraźni, ale w tamtych czasach istniało wiele anonimowych malarek porcelany, których pomimo kunsztu i pracy wykonywanej na rzecz znanych manufaktur już nikt nie pamięta. Ciekawostką jest, że wszystkie holenderskie nazwiska i imiona bohaterów są oryginalne. Tak nazywali się dziadkowie i babcie moich holenderskich przyjaciół. Cornelia, Zwaantje, Geertje i Benjamin istnieli więc naprawdę, choć może niekoniecznie w Delfcie i w Błękitnym Kolibrze.

Chciałabym serdecznie podziękować moim Wydawczyniom, Ani i Magdzie, za kolejną szansę wydania powieści z Holandią w tle. Myślę, że już trochę wyspecjalizowałam się w holenderskich historiach, w końcu mieszkam tu już ponad dwadzieścia lat.

Dziękuję Alicji Stodulskiej i Kasi Maderze za pomoc w organizacji czasu i wyręczanie mnie w obowiązkach w firmie, tylko po to, żebym zdążyła na czas z deadline'em. Moje dziewczyny wspierają mnie mocno w tworzeniu nowych powieści i są nieustannym źródłem inspiracji.

Dziękuję mojej Mamie i całej rodzinie za wiarę, że Agnieszka może wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Dziękuję zaprzyjaźnionym blogerom, bibliotekom oraz mojej kochanej grupie *Kociołek pozytywnych wibracji Agnieszki Zakrzewskiej* za wsparcie i radość z każdej nowej książki.

Dziękuję Ani Żochowskiej, Anecie Garbas, moim tropicielkom literówek, i Joannie Wolf za cenne rady w fazie, kiedy książka jeszcze jest w mojej głowie.

A przede wszystkim z całego serca dziękuję Wam, moi kochani Czytelnicy, za to, że cały czas chcecie czytać Agnieszkę Zakrzewską. Dzięki Wam nadal mogę spełniać swoje marzenia.

Wasza autorka

Kochana Czytelniczko, Kochany Czytelniku!

Jeszcze skrupulatnie liczymy nasze książki i wychodzi nam, że przed Wami czternasta wspaniała historia wydana w Wydawnictwie FLOW! Czy kiedyś nam się znudzi to liczenie? Tego nie wiemy, na razie każda premiera cieszy nas jak najpiękniejszy prezent!

O tej powieści słyszałyśmy dużo, zanim jeszcze powstała. Kiedy tylko Agnieszka opowiedziała nam o swoim pomysle, dopytywałyśmy z niecierpliwością o szczegóły. Bo już wtedy czułyśmy magię, która znajdzie się na jej kartach. I tak się właśnie stało, bo dostajecie opowieść, która przenosi nas nie tylko do współczesnego Delftu, urokliwego holenderskiego miasta, którego zakamarki poznaje Bogna, ale również do tego dziewiętnastowiecznego, gdy w tamtejszych manufakturach powstawały ceramiczne cudowna Cornelia Smid, utalentowana dziewczyna z biednej rodziny, pokaże wam, jak można „czuć kolory” i odmalować nimi nie tylko sielskie widoczki, ale również emocje. Zakochacie się w tej historii!

Niestety żadna z nas nie była w Delfcie, ale odwiedziłyśmy Agnieszkę urodzinowo w Amsterdamie i tam, w niewielkich sklepikach nad kanałami, miałyśmy okazję oglądać piękne delfty. Spodobały nam się od pierwszego wejrzenia! Nic dziwnego, że stały się inspiracją dla naszej Autorki. Pewnie picie kawy z takiej ozdobionej misternymi wzorami filiżanki staje się niesamowitą przyjemnością, a ciasto podane na udekorowanym kobaltowymi ornamentami talerzyku smakuje lepiej. Z pewnością tak jest, bo już w takim niebiesko-białym sklepie można się zatracić...

Z ogromną przyjemnością wydajemy tę cudną pod każdym względem powieść. Pełną nie tylko emocji, ale również detali, które Agnieszka opisuje z charakterystyczną dla niej precyzją. Barwnie oddane realia historyczne, malownicze pejzaże holenderskich miast i niuanse związane z tworzeniem unikalnej ceramiki to tylko niektóre z elementów, które zachęcają do czytania. W *Błękitnym kolibrze* jest wszystko, co potrzebne w doskonałej powieści obyczajowej – miłość, tajemnicza historia sprzed lat i... przekleństwo błękitnego kolibra. Ale to już pewnie wiecie, bo jesteście po lekturze. Jeśli nie, czym prędzej zacznijcie!

Jesteśmy wdzięczne Agnieszcze, że znowu zabiera nas do Holandii, gdzie możemy chodzić urokliwymi uliczkami nad kanałami, którymi podążają bohaterowie *Błękitnego kolibra*. To kolejna ciekawa wyprawa! Na tyle ciekawa, że planujemy kolejną podróż – w tamte rejony!

Oczywiście ta książka to efekt pracy całej naszej turkusowej drużyny! Dziękujemy, że przyczyniacie się do tego, by nasze książki były takie piękne. Bardzo dziękujemy Uli Bańcerk, Ani Jeziorskiej oraz Ani Żochowskiej za korektę, a Grzegorzowi Boćkowi za cudną okładkę (i tym razem niebieska!) oraz za cierpliwość, kiedy wymyślałyśmy ilustracje, które mają znaleźć się w środku książki. Nasz redaktor techniczny naprawdę daje radę!

Po angielsku jest taki ładny zwrot na zamieszczany końcu listów czy ważnych przemów. Język polski zna tylko biblijne „ostatni będą pierwszymi”, zatem zakończymy zwrotem anglojęzycznym, a co! Tak więc *last but not least* – Kochani Czytelnicy, bez Was nie byłoby nas! Dziękujemy za to, że sięgacie po nasze książki i że nasza marka jest dla Was powodem, by przeczytać wszystko, co zostaje

wydane pod naszym turkusowym szyldem. A mamy w tym roku dla Was jeszcze wiele niespodzianek!

wydawnictwoflow.pl

facebook.com/wydawnictwoflow

instagram.com/wydawnictwoflow

Magdalena Witkiewicz i Anna Seweryn

Wydawnictwo FLOW